

David
Thomas

Mamusiu
dlaczego?

 hachette
POLSKA

Spis treści

Słowo wstępne	9
Prolog	11
CZĘŚĆ 1 – WYBRANEK	
Życie w cieniu	14
Moja Mroczna Mamusia	28
Reg	49
Piękny sen	64
Łatwy dostęp	80
Przejście	96
Na celowniku	103
CZĘŚĆ 2 – BUNT	
Ból dorastania	122
Samotność długodystansowca	145
Czarna owca	160
Geniusz zbrodni	180
Zrujnowane życie	201
CZĘŚĆ 3 – INNE WSPOMNIENIA	
Skok w płomienie	226
Złamane serca	242
Pamiętnie dni	257
Iskry i popioły	272
Epilog	283
Podziękowania	286

*Moim dzieciom, Molly, Nathanowi i Danielle,
które pokazały mi, że bycie rodzicem
to największa radość na świecie.*

Słowo wstępne

Mamusiu, dlaczego? to prawdziwa historia - moja własna. Wszystkie osoby i wydarzenia przedstawione w książce są prawdziwe, choć - by chronić prywatność mojej rodziny i innych osób - zmieniłem wszystkie imiona i nazwiska z wyjątkiem własnego. Wszystkie postaci odpowiadają jednak prawdziwym osobom. Nazwy miejscowości również zostały zmienione na fikcyjne, choć ich opisy opierają się na prawdziwych miejscach.

Halifax w West Yorkshire to oczywiście prawdziwe miasto - moje miasto rodzinne.

*David Thomas,
Halifax, maj 2007 r.*

Prolog

Wiem, że znowu piła. Słyszę, jak rozbija się na górze i, niespodziewanie, jest już w kuchni. Ledwo może utrzymać się na nogach. Gdy przechodzi przez drzwi, zatacza się i łapie za obskurne szajki, próbując dojść do mnie, na drugą stronę pokoju.

Bawię się klockami na podłodze z linoleum. Podchodzi, przewraca się, a potem próbuje się koło mnie położyć. Jest zupełnie naga, ma szkliste oczy i zamglony wzrok. Wydaje z siebie niski, pijacki jęk.

- David - jej głos oscyluje między ledwo słyszalnym mrukiem a pijackim wrzaskiem - chodź tu.

Chyba nie zdaje sobie sprawy, że jestem tuż obok. Kiedy czegoś ode mnie chce, natychmiast to robię. Uwielbiam sprawiać jej przyjemność i nie cierpię jej zawodzić. Jeśli nie będę posłuszny, przestanie mnie kochać. Nie da mi klapsa ani mnie nie zbije, ale wiem, że będzie zła. Wstaję więc i siadam znowu, żeby widziała, że jestem przy niej.

Kiedy to zauważa, spogląda na mnie i przyciąga do siebie. Potem bierze moją rękę i wkłada sobie między szeroko rozłożone nogi. Czuję się dziwnie. Nie wiem, dlaczego to robi. Pociera moją rękę

po swoim kroczu, w górę i w dół, i znów zaczyna jęczeć. Nagle - nie wiem jak ani dlaczego - zaczynam zdawać sobie sprawę, że te głośne jęki to nie oznaka cierpienia, jak mi się na początku zdawało, lecz rozkoszy.

Kiedy dociera to do mnie, a ona wciąż jęczy, uznaję, że ta zabawa jest dobra i z radością będę to robił tak długo, jak tylko będzie chciała. Porusza moją ręką jeszcze przez jakiś czas. W końcu ma dość.

Wtedy odpycha moją dłoń i bez słowa bierze butelkę, wstaje i chwiejnym krokiem idzie przez kuchnię na schody, ja zaś wracam do zabawy klockami.

Część I

Wybranek

Życie w ciemni

Zazwyczaj jesteś najlepszą mamusią na świecie. Tylko czasem się zmieniasz. Robisz się zła i zmuszasz mnie do rzeczy, których nie rozumiem. Dlaczego nie możesz przepędzić Mrocznej Mamusi? Boję się jej. Nie widzisz, co ona robi? Nie widzisz, do czego mnie zmusza? Czemu udajesz, że nic nie wiesz?

Mam tylko pięć latek, a już dręczy mnie tyle pytań. Czuję, jak kłębią się w mojej głowie. Czasem aż trudno mi oddychać. Nie znajduję odpowiedzi - pojawiają się tylko kolejne pytania. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się na nie odpowiedzieć. Wiem tylko, że piętrzą się i rozsadzają mnie od środka. Próbuję wyrzucić je z głowy, ale jest ich zbyt dużo. Mam wrażenie, że zaraz mnie rozsada.

* * *

Miejsce, w którym przyszedłem na świat 6 kwietnia 1968 roku, to istna sielanka: Calder Bridge pod Halifaxem, w West

Yorkshire. Wieś jak z obrazka, przepiękne domki z miejscowego kamienia, niewielki pub i poczta. To wszystko połączone z niesamowitym pejzażem Gór Pennińskich. Uwielbiam poczucie swobody, które daje człowiekowi to miejsce - wielkie, otwarte przestrzenie, ciągnące się pola, soczyste lasy. Już gdy miałem trzy, cztery lata, matka pozwalała mi bawić się w lesie z innymi dziećmi. Tutaj wszyscy się znali i panowało poczucie prawdziwej wspólnoty.

Nasz dom stał jednak na uboczu - na rozwidleniu drogi gruntowej. Był jednym z czterech domów z grafitowego kamienia, obrośniętych na krańcach ciemnozielonym bluszczem, otoczonych drzewami, wznoszącymi się nad stromym urwiskiem, pod którym lśniąca rzeka opływa omszałe głazy. Choć z przodu domy wydawały się skarłale, miały niskie pokoje, w których nigdy nie było słońca, to tył budynku schodził głęboko w dół urwiska. Od frontu dom miał zatem jedno piętro, z tyłu zaś - kolejne dwa. Dom górował nad rzeką i nawet latem wyglądał tajemniczo i posępnie, jak gotycki dworek.

Moje najwcześniejsze wspomnienia pełne są takich dziwnych kontrastów - ciepłe, miłe chwile zabawy z matką i te zimne, samotne, mroczne, zakazane, gdy wszystko stało na głowie.

Wiele lat temu w dolinie stała przędzalnia i do dziś na ceglanych brzegach rzeki można dostrzec jej ślady. Sto metrów od mojego domu znajdowało się stare złomowisko, które prawdopodobnie było najpiękniejszym złomowiskiem na świecie, ponieważ - niemal dosłownie - wisiało nad rzeką.

Złomowisko było dla mnie niemal drugim domem. Uwielbiałem przyglądać się pięknym stertom metalu piętrzącym się pod samo niebo. Panował tam brud i wszędzie było pełno smaru - wymarzone miejsce dla małego chłopca. Bawiłem się w chowanego z Jeffem, młodym synem właściciela. Biegaliśmy wokół stert opon, śmietników, wymontowanych drzwi, krat, ołowianych rur, brudnych, zniszczonych żeliwnych wanien, części z porozbijanych samochodów, i całej reszty złomu, która układała się niczym warstwy geologiczne w metalowej krainie czarów. Ojciec Jeffa był szorstkim, choć wesołym i szczerym człowiekiem z Yorkshire. Czasem się do mnie uśmiechał, lecz prawie nigdy nie odzywał.

Jeśli akurat nie spędzałem czasu z Jeffem, to bawiłem się sam, a czasem z George'em, chłopakiem w moim wieku, który mieszkał kilka pól dalej. Jego matka bardzo lubiła moją. Moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą niekończącej się zabawy na dworze. Choć jako dziecko nie byłem ani specjalnie żądny przygód, ani odważny, z natury jestem ciekawy i zawsze wypatrywałem ptaków i zwierząt na polu, a ryb w rzece.

Pewnego dnia podczas zabawy na złomowisku znalazłem ptasie gniazdo, uwite głęboko między zardzewiałymi kawałkami metalu. Już jako czterolatek byłem zaskoczony, jak wielka jest siła życia; jak taki delikatny drobiaźdzek jak ptasie gniazdo, z twardą skorupą i mięciutką, ciepłą wyściółką, mógł pojawić się w tak obcym mu miejscu; jak to się dzieje, że życie potrafi trwać i rozwijać się nawet tu, w cieniu.

Kiedy następnym razem poszedłem obejrzeć gniazdo, pisklaki już się wykluły. Oczarowany patrzyłem na popękane

skorupki. Jeszcze wczoraj były to małe, kruche, gruszkowate jajeczka w śliczne, subtelne wzorki. Gdy przyszedłem później tego samego dnia, skorupki już nie było.

Zapytałem właściciela złomowiska, co się z nimi stało.

- Matka je zjadła, synku, albo je wyrzuciła - odpowiedział. - Lubi, gdy jest czysto i ładnie.

- Podobały mi się te jajka - odparłem.

- Tak, synku, ale - jak to się mówi - nie można zrobić omletu bez rozbicia paru jajek.

Pomyślałem sobie o tym omlecie i zacząłem się zastanawiać, ile trzeba rozbić jajek, żeby go zrobić. Czy wszystkie pisklaki to małe omlety? I co się dzieje z mamą-omletem? Zostają razem w gnieździe czy odlatują w świat i nigdy więcej się nie spotykają?

Odtąd codziennie chodziłem tam, żeby podpatrywać pisklęta.

Pewnego dnia okazało się, że gniazdo jest puste. Ciekaw byłem, co też stało się z pisklakami. Uznałem wtedy, że zmieniły się w omlety i odleciały.

Tata miał garaż obok złomowiska i trzymał tam coś wyjątkowego. Któregoś dnia pokazał mi, co to takiego: czerwone volvo P1800. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, bo takim samym wozem jeździł Simon Templar w serialu *Święty*. Volvo było oszałamiająco piękne, miało wspaniałe krągłości i wyglądało bardzo egzotycznie - to jeden z najpiękniejszych samochodów, jakie kiedykolwiek jeździły po drogach. Mieliśmy też rovera, którego nazywaliśmy Dzwonek. Tata parkował go na trawniku przed domem. To śliczny samochód - takim samym jeździł

Jim Callaghan, a mamusia mówiła, że to bardzo ważny człowiek, który pewnego dnia może nawet zostać premierem.

Mój ojciec, Keith, był wielkim mężczyzną, wyższym od matki o trzydzieści centymetrów. Duża twarz, okulary w rogowej oprawie, krótkie czarne włosy zaczesane do tyłu i bujna czarna broda. Nie nosił jednak wąsów, więc wiele lat później uznałem, że jego broda wyglądała jak jedna z tych śmiesznych sztucznych bród, które zakłada się, żeby wyglądać jak rabin.

Tata lubił opowiadać dowcipy, ale poza tym był dość oschły - nie okazywał mi czułości i nigdy się ze mną nie bawił. Był wobec mnie serdeczny i cierpliwy, ale surowy - wymagający, lecz sprawiedliwy. W przeciwieństwie do matki nie lubił brylować w towarzystwie. W ogóle mało się uśmiechał.

Tata pracował jako kreślarz, lecz jego prawdziwą pasją były motocykle i silniki. W domu mieliśmy sporo miejsca. Poza tym w piwnicy był garaż przeznaczony tylko na jego motory - jeździł nimi po osiedlowej drodze. Garażu nie zbudował sam, lecz zaadaptował na niego piwnicę. Kiedy tam byłem, patrzyłem z zachwytem, jak rozkłada silnik. Pozwalał mi się przyglądać i odpowiadał na pytania.

- Co robisz, tato?

- Wymieniam olej w skrzyni biegów.

- A dlaczego?

- żeby koła zębate dobrze się obracały, synu.

- A jak to się robi?

- Najpierw trzeba wyjąć korek spustowy ze skrzyni biegów, wylać olej, a potem wyjąć korek wlewu i wlać nowy olej. Później trzeba wytrzeć resztki i z powrotem założyć korpus...

Cały czas tak mówił. Szczegółowo wyjaśniał, co robi. Ale dla mnie i tak była to czarna magia.

Po zmianie oleju zajmował się śrubami i nakrętkami.

- Mogę ci pomóc, tato?

- Tak. Podaj mi ten klucz, synu.

- A do czego on służy?

- Trzeba dokręcić te śruby... Widzisz? Ale nie można dokręcić za mocno, bo później się nie odkręca. Trzeba to zrobić delikatnie.

Patrzyłem, jak dokręca śruby, całkowicie pochłonięty tym, co robi. Później polerowałem chromowane elementy, które zaczynały lśnić jak słońce nad rzeką.

Dom, w którym mieszkaliśmy, był jednym z czterech stojących w szeregu. Kiedy pozostałe trzy poszły na sprzedaż, tata je wykupił. Najdziwniejsze było to, że niektóre z tych domów należały do rodziny mojej mamy. Najwyraźniej więc tata się wzbogacił, a rodzina mamy zubożała.

Ten dom nad rzeką był naszym małym rajem na ziemi. Nie mieliśmy sąsiadów. Nieopodal mieszkał tylko jeden gospodarz, który przejeżdżając codziennie koło naszego domu, zatrzymywał się, żeby zamienić z rodzicami parę słów. Choć z czasem kupiliśmy wszystkie cztery domy, nadal mieszkaliśmy tylko w tym jednym, najciemniejszym. Przez otaczające go drzewa, niewielkie pokoje i małe okna zawsze panował w nim półmrok.

Dom był surowy i skromnie umeblowany. W kuchni stały najzwyklejsze szafki z płyty, a podłoga pokryta była linoleum. Widziałem podłogi w kuchniach u innych ludzi

i nasza wcale się od nich nie różniła, przynajmniej pod tym względem. Myślę jednak o kuchennym linoleum z innego, dużo dziwniejszego powodu.

* * *

Rodzice poznali się w kościele metodystów. Oboje należeli do chóru i, jak matka zawsze chętnie zaznaczała, gdy pobrali się w 1966 roku, byli niewinni niczym jagniętka. Na podstawie krótkich spotkań z rodziną George'a w jego domu, porównując ich z nami, dochodziłem do wniosku, że nie jesteśmy zwyczajną rodziną. Nigdy nie robiliśmy nic razem. Spędzałem czas tylko z tatą, przy jego samochodach i motorach, albo tylko z mamą, która potrafiła być świetną towarzyszką zabaw.

Mama przed ślubem z tatą nazywała się Carol Stones. Urodziła się w marcu 1945 roku. W salonie stało zdjęcie oprawione w grubą ramkę z ciemnego drewna, przedstawiające matkę, wtedy małą dziewczynkę, i jej starszego brata Jima. Mama uśmiecha się figlarnie – wygląda słodko. Jim jest od niej dużo wyższy i ma ciemniejsze włosy. Mama była też na innych zdjęciach: na jednym trzyma lalkę i wyglądają jak mamusia z córeczką - obie mają identyczne, złociste loczki. Na innym zdjęciu ma włosy proste niczym słoma, zaplecione w warkoczyki. Pozuje z innymi dziećmi ze swojej klasy. Na kolejnych pływa w morzu, jeździ na osiołku, spaceruje z psem. Na jednym wygląda jak królowa wróżek – ma srebrną koronę i bukiet róż. Jest chyba druhną, choć nie wiem, kim była panna młoda.

Na wszystkich zdjęciach mama ma tę samą pyzată buzię i szelmowską minę. Dziadek, jej ojciec, mawiał: „Gdy była mała, każdemu potrafiła zawrócić w głowie”.

Stało tam jeszcze jedno zdjęcie w mniejszej, plastikowej ramce. Tutaj jest już starszą, rudawą dziewczyną. Znow się do mnie uśmiecha - ciepło i przyjaźnie. Na kolejnym zdjęciu jest już dorosłą kobietą - chyba znow druhną. Włosy związała błękitną wstążką w kolorze sukienki. Na nogach ma białe pantofle z zadartymi noskami. Było tam też szarawe zdjęcie mamy w stroju pielęgniarki, ale na nim się nie uśmiecha.

Na zdjęciach ze ślubu rodziców w kościele metodystów tata jest cały w czerni, a mama - w bieli. Ma mniej pyzată buzię i na tych zdjęciach wygląda inaczej - na bardziej delikatną i kruchą. Jest jednak bardzo szczęśliwa. Tata szczyrzy się, jakby właśnie zjadł wisienkę z tortu.

Moim ulubionym zdjęciem rodziców było to, na którym są razem w zoo i śmieją się, jakby świetnie się bawili. Tata, w ulubionym czarnym ortalionowym płaszczu, obejmuje mamę. Pod pachą trzyma malutką czarną małpkę. Mama wyciąga rękę, a na jej ramieniu siedzi wielka papuga, wpatrująca się w nich z zaciekawieniem. Lubię myśleć, że przynajmniej parę razy dobrze się razem bawili.

Wiele lat później zdałem sobie sprawę, że gdy byłem dzieckiem, mama zawsze była nieco rozczochrana i rzadko przywiązywała wagę do ubioru. Miała dość niechlujną fryzurę. Nie była piękna, lecz miała ładną, piegowatą cerę i wciąż mogła się podobać. Zanim się urodziłem, zaczęła robić sobie trwałą i nie zmieniła fryzury aż do śmierci. Nigdy się specjalnie

nie malowała, a z biegiem lat prawie zupełnie straciła poczucie estetyki. Kiedy jednak była szczęśliwa, uśmiechała się promiennie i miała zaraźliwy śmiech.

Kiedy się urodziłem, mama miała dwadzieścia trzy lata. Nigdy nie opowiadała o swoim dzieciństwie, o bracie ani o rodzicach. Czasem tylko wspominała o jakichś drobnych wydarzeniach z czasów, gdy była nastolatką. Na przykład o tym, jak jej chłopak zabrał ją na przejażdżkę motocyklem i jak bardzo jej się to podobało.

Odkąd sięgam pamięcią, odwiedzaliśmy z mamą okoliczne domy i chodziliśmy na spacer do lasu. Lubiła pokazywać mi różne kwiaty, które razem zbieraliśmy. W przeciwieństwie do taty była wobec mnie czuła. Miała też poczucie humoru - dopóki nikt z niej nie kpił. Po prostu nie znosiła kpin.

Inni ludzie zawsze traktowali ją przychylnie. Każdego potrafiła wciągnąć w rozmowę i szybko skłonić, by zaczął mówić o sobie. Ludzie czuli, że mogą się przed nią otworzyć. Mama miała kilkoro oddanych, wieloletnich przyjaciół. Mogła godzinami plotkować o sprawach osobistych - o znajomych, ich życiu i o ich kłopotach - ale to, co o nich mówiła, brzmiało dla mnie równie tajemniczo, co opowieści taty o motorach i silnikach.

Życie i osobowość mojej matki składały się jednak z dwóch odrębnych części: w jej ciele tkwiły dwie osoby. Była czuła, kochająca, delikatna i pomocna, potrafiła też rozweselać i współczuć, a przy tym zawsze była skora do rozmowy.

Miała jednak również drugie, mroczne oblicze, a gdy je ujawniała, robiło się niebezpiecznie. Zagrażała wtedy nie tylko sobie, ale i mnie, jeśli akurat znajdowałem się w pobliżu.

Nie była zła - była *przerażająca*.. Zmieniała się w zupełnie inną osobę: okrutną, złośliwą, mściwą, nikczemną i nieczułą. Normalnie mamusia nigdy nie przeklinała i uważała, że bardzo niegrzecznie jest beknąć lub puścić bąka, lecz gdy nadchodziły te straszne chwile, używała wielu brzydkich wyrazów.

Gdy byłem mały, brzydkie słowa same w sobie nic dla mnie nie znaczyły, ale sposób, w jaki mnie nimi obrzucała, budził we mnie przerażenie. Wpadała przy tym na meble i ściany, co jeszcze potęgowało mój strach.

Czułem, że miało to wiele wspólnego z jej pićciem. Widziałem, jak pije śmierdzący płyn, który - jak się później dowiedziałem - nazywa się brandy. Piła go szybko, prawie przy tym zasypiając. Ale nie spała! Była przytomna i właśnie wtedy się jej bałem.

Już sama brandy sprawiała, że było źle, jednak czekało mnie coś znacznie gorszego. Kiedy mama była pijana, zawsze mnie szukała, ponieważ chciała przycisnąć swoje ciało do mojego. Wspomnienie pierwszego razu, gdy mamusia to zrobiła, pozostało we mnie na całe życie, choć miałem wtedy zaledwie cztery latka.

* * *

Znowu pita, jak zwykle. Nawet jako malutkie dziecko wyczuwałem, że już się nie kontroluje. Kazała mi się wtedy bawić na kuchennym linoleum.

Nie miałem pojęcia, co się dzieje ani czemu jest w takim stanie. Wiedziałem tylko, że nie jest tą samą osobą, która zabiera

mnie na spacerzy do lasu. I to mnie przerażało. Kiedy jej twarz zbliżała się do mojej, czułem ostrą woń jej oddechu. Przysuwała się do mnie niezdarńie, sprawiając wrażenie pełzającej poczwary. Chciałem, żeby sobie poszła, żeby wróciła moja dobra mamusia. Wiedziałem jednak, że to się nie stanie, gdy schwyci już moją dłoń i włoży ją sobie między nogi.

Porusza moją dłonią, w górę i w dół, w górę i w dół, pociera nią to miękkie, włochate miejsce, które nazywa cipką. Paraliżuje mnie strach, lecz rozpaczliwie pragnę, żeby była ze mnie zadowolona. Szukam najmniejszego dowodu na to, że mogę ją uszczęśliwić, powstrzymać gotujący się w niej gniew. Pocieram jej cipkę do momentu, aż odpycha moją rękę.

Czuję ulgę, że mamusia się uspokoiła, i w pewnym sensie mam świadomość, że to moja zasługa: przestała dziwnie się zachowywać i stało się to dzięki mnie. Mam wrażenie, że odniosłem jakiś swoisty triumf, że coś osiągnąłem. Czuję, że mnie potrzebuje i że mogę przegonić dręczące ją koszmary.

Wciąż się boję, ale jestem też dumny, że zostałem wyróżniony: moja mamusia właśnie zaprosiła mnie do zabawy.

* * *

Dziś rano mamusia i tata się kłóćą. Tata ostatnio często wyjeżdża, a nawet gdy jest w domu, to tak jakby go nie było. Rzadko spędzają razem czas, a kiedy już się to zdarzy, wcale nie wyglądają na szczęśliwych.

Tata nigdy nie traci cierpliwości. Także dziś rano, podczas strasznej kłótni, siedzi spokojnie w salonie i popija kawę. Nie wiem, czy mamusia się upiła, ale jest coraz bardziej wściekła.

Wrzeszczy na tatę i rzuca czym popadnie. Nie mam pojęcia, co zrobił i czy w ogóle coś zrobił.

Chciałbym, żeby przestali, ale chyba nawet nie wiedzą, że tam jestem. Nagle mamusia wstaje i oblewa go swoją kawą. On bez słowa wychodzi z pokoju, a potem z domu.

* * *

Coraz lepiej orientowałem się, kiedy mamusia pije. Wyczuwałem w niej wtedy olbrzymi gniew i zaczynałem rozumieć, jak ciężko jest tacie z nią mieszkać. Wiem, jak to jest przebywać z nią w jednym pokoju, gdy zmienia się w kogoś innego - kogoś, kogo się boję.

W miarę upływu dni i tygodni tata coraz częściej wyjeżdża w interesach, a ja przestaję pytać mamusię, kiedy wróci do domu.

Wreszcie któregoś dnia dowiaduję się, że już więcej nie wróci, bo mamusia mówi mi, że nie mogą już z tatą razem mieszkać i od dziś będziemy tylko we dwoje.

- Czemu tata nie chce z nami mieszkać, mamusiu? - pytam,

- Po prostu nie chce - ucina.

Myślę, że wolałaby, żebyśmy nie drążyli tematu. Robi w kuchni konfitury. Zawsze to lubiła, jednak dziś wyczuwam, że robi to tylko po to, żeby zająć się czymś i nie zwariować.

- Ale dlaczego, powiedz.

- Bo razem nie byliśmy szczęśliwi, bo... Przestań zadawać pytania! - wykrzykuje.

Gdy mówi tym tonem, od razu pojmuję, że lepiej już nie pytać. Idę więc na złomowisko i chowam się w zakamarkach metalowych jaskiń. Przypominam sobie, jak tata mówił mi o swoich

motorach i czasem opowiadał dowcipy, które nie zawsze rozumiałem. Wiedziałem, że tata nie wróci już do domu.

Zaczynam płakać i słyszę w pobliżu kroki.

– To ty, Dave? – słyszę głos syna właściciela złomowiska.

– J u ż idę, Jeff.

Wyłażę ze swojej kryjówki i idę się z nim bawić. Tata już nie wróci i nie ma sensu więcej o to pytać.

Okazuje się jednak, że myliłem się co do powrotu taty. Nie tylko wrócił do domu, ale i w nim został. To my z mamusią się wyprowadziliśmy. Dokładnie rzecz biorąc, przeprowadziliśmy się trzy domy dalej, na drugi koniec szeregu. Oba domy są bardzo podobne. Mają identyczne meble i panuje w nich podobna pustka.

Tak więc tata mieszkał na jednym końcu szeregu, a ja z mamą - na drugim. Przez kolejne miesiące kursowałem między jednym domem a drugim, spędzałem mnóstwo czasu z mamusią, za to z tatą - niewiele. Często był zajęty, zwykle wyjeżdżał w interesach i nigdy nie rozmawiał ze mną o niczym, co dotyczyło mamusi i mnie, naszej dalszej rodziny albo wspólnego życia. Zawsze jednak chętnie gawędził o samochodach, motorach i tym podobnych.

Ilekoć się z nim widziałem, chciałem, by łącząca nas więź była silniejsza, lecz nigdy się tak nie stało. Pragnąłem, aby mnie przytulił lub wziął na kolana, ale zdarzało się to niezmiernie rzadko.

* * *

Moi rodzice rozstali się około 1973 roku, gdy miałem pięć lat. Dopiero później dowiedziałem się, że oboje odjakie-

goś czasu wiedzieli, że ich małżeństwo już się rozpadło, ale potrzebowali czasu, by to omówić, bo mogli to zrobić tylko wtedy, gdy mama nie piła.

Już w wieku pięciu lat moje życie zaczęło ziać pustką. Byłem szczęśliwy, gdy mamusia pomagała mi ją zappełnić, poświęcając mi swoją uwagę. Nie przychodziła do mnie i nie kazała się dotykać codziennie - czasem mijaly całe tygodnie, nim złożyła mi taką wizytę. Kiedy jednak to zrobiła, w jakiś sposób zaspokajała potrzeby, które odczuwaliśmy oboje.

Byłem zdecydowanie za młody, by zrozumieć, skąd bierze się jej potrzeba. Przyczyna mojej była dużo prostsza: pragnąłem uwagi. Już w tym młodym wieku pomagało mi to budować z nią więź. Była teraz jedynym aktywnym rodzicem, jakiego miałem, więc instynktownie rozumiałem wagę tego faktu.

Po wszystkim nigdy mi nie dziękowała. Zacząłem to akceptować jako swego rodzaju normę. Zawsze raczej unikałem krytyki, niż szukałem pochwały.

Byłem za mały, żeby o tym wiedzieć, jednak w rzeczywistości matka wykorzystywała moją uległą naturę, dokonując najgorszego nadużycia władzy nad dzieckiem, jakiego może dopuścić się rodzic. Wkrótce to rozumiałem i wtedy kłopoty zaczęły się na dobre.

Moja Mroczna Mamusia

W roku 1973, w wieku pięciu lat, poszedłem do szkoły. Podstawówka w Calder Bridge to wielki, stary budynek z wysokimi oknami, zbudowany w zacienionej okolicy i otoczony drzewami. Nawet latem panował tam mrok i chłód - niczym w horrorze. Już wcześniej byłem nerwowy, więc wcale nie cieszyłem się na myśl o szkole.

Co gorsza, mamusia na początku odprowadzała mnie do szkoły, jednak potem zaczęła wysyłać mnie autobusem. Szkoła była niedaleko i mama prosiła któreś ze starszych dzieci, żeby się mną zaopiekowało. Choć Lizzy była bardzo miłą dziewczyną, bałem się i nie rozumiałem, czemu mamusia nie chce wsiąść do autobusu i zaopiekować się mną.

- Zabierz mnie do szkoły, mamusiu - proszę, gdy autobus wyjeżdża zza zakrętu.

- Nic ci nie będzie - mówi mama, pakując mnie do autobusu. - Zmykaj!

Wcale nie czułem się dobrze w nowej szkole. Obce twarze napawały mnie lękiem. Chyba wszystkie inne dzieci były odprowadzane do szkoły przez co najmniej jednego rodzica. Niektóre przychodziły nawet z dwojgiem.

Nikogo nie znałem i trudno mi było rozmawiać z innymi dziećmi, a co dopiero zaprzyjaźnić się z nimi. W pierwszej klasie podstawówki uwzięła się na mnie Karen, wysoka dziewczyna, starsza ode mnie o dwa czy trzy lata.

Miałem rude włosy i - ku uciesze Karen - lekko sepleniłem. Nie potrafiłem wyraźnie wymówić „s”. Zaczęła się mnie czepiać przy każdej okazji. W szkole skupiałem się więc głównie na schodzeniu jej z drogi, ale zawsze jakoś mnie znajdowała.

- Co fię ftało, rudy fkarbie? Nafiufiałeś fobie w fpodnie? - wołała do mnie na szkolnym boisku. - Co na to powie twoja mamufia? Pewnie fpufci ci lanie na gołą pupę!

- Idź sobie! Daj mi spokój! - odpowiadałem z rozpaczą w głosie. - Nic ci nie zrobiłem!

- Zaraz fię pofiufia w fpodnie, tak fię zdenerwował! U hu, hu! Idź do mamufi, niech cię pocałuje i wszyftko będzie dobrze!

Nie wiem jakim cudem, ale wiedziała, gdzie uderzyć. Trafiała w mój czuły punkt. Nie rozumiałem, co się dzieje u mnie w domu, ale gdy mamusia traciła panowanie nad sobą, przerażała mnie, więc czułem się przytłoczony i upokorzony zaczepkami Karen.

Zaczerwieniłem się jak burak.

- Patrzcie na rudego fkarba! Zrobił fię cały czerwony! Rudy od ftóp do głów!

Jej koleżanki zaczynały się śmiać. A ja modliłem się, żeby szybko jej się znudziło. Jeśli akurat miałem szczęście, dawała mi spokój aż do końca lekcji. Oczywiście doskonale wiedziała, że nie poskarżę się mamusi. Nie mogłem powiedzieć o tym ani matce, ani nikomu innemu.

Karen nie znęcała się nade mną fizycznie i nikomu nie mówiłem o tych wypadkach, lecz pierwszy raz w życiu byłem dręczony i nie znosiłem tego. Niszczyło to moje poczucie własnej wartości. Byłem bardzo nieszczęśliwy. Zamknąłem się w sobie i miałem wrażenie, że patrzę na siebie z zewnątrz. Od tej pory trzymałem się z dala od innych dzieci, rozmawiałem tylko z podobnymi do mnie, spokojnymi.

Nie spodziewałem się, że ludzie będą dla mnie tacy niemili. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, że byłem dręczony przez chuliganów. Dotarło do mnie też, że matka wykorzystywała mnie seksualnie, lecz gdy miałem pięć lat, nie potrafiłem nazwać tego, co mnie spotykało. Wiem tylko, że w szkole Karen zamieniła moje życie w piekło, a w domu miałem dwie mamusi - Jasną Mamusię, czułą, kochającą i ciepłą, oraz Mroczną Mamusię, której się bałem, bo piła i często traciła nad sobą kontrolę.

Nawet przy Mrocznej Mamusi nabierałem niekiedy otuchy, ponieważ chciałem sprawić jej radość. Jeśli ona była szczęśliwa, ja także czułem się lepiej. Poza tym ona nie robiła mi przecież krzywdy i tylko to się liczyło.

Nie wiem, czy mama to zauważyła, ale po paru tygodniach zastraszania zacząłem wymyślać rozmaite wymówki, żeby tylko nie iść do szkoły.

- Boli mnie głowa/ząb/ucho/brzuch/noga/łokieć.

Zwykle mama nawet nie chciała o tym słyszeć: jeśli zdołałem wstać i zjeść śniadanie, musiałem iść do szkoły. Nagle, cudownym zrzędzeniem losu, nabawiłem się poważnego przeziębienia i na ponad tydzień zostałem w domu.

Kiedy nadszedł dzień powrotu do szkoły, byłem niewiarygodnie przestraszony i zdenerwowany. Tymczasem Karen, ku mej wielkiej uldze, znudziło się naigrywanie ze mnie i – nie licząc słownych zaczepek od czasu do czasu - dręczenie w zasadzie się skończyło. Pewnie znalazła sobie inną ofiarę. Mnie w każdym razie zostawiła w spokoju.

Poza tym trochę się zmieniłem. Może Karen to zauważyła i pomyślała dwa razy, zanim postanowiła się do mnie przyczepić. Dała mi spokój i więcej nie musiałem się nią martwić.

Zmieniło się we mnie to, że zacząłem się uczyć, jak się bronić. Przydało mi się noszenie w szkole chodaków. Parę kilometrów od naszego domu znajdowała się fabryka chodaków, a ponieważ takie buty są solidne i wytrzymałe, mama uznała, że warto mi je kupić.

Nosek chodaka jest bardzo sztywny, a kopnięcie nim - bolesne. Niestety, postanowiłem uczynić z butów broń i kopałem każdego dzieciaka, z którym się pokłóciłem. Zrobiłem się agresywny, bo chciałem bronić się przed dręczycielami.

Przez te kopniaki inne dzieci zaczęły na mnie uważać. Kiedy kogoś kopnąłem, zaczynał ryczeć, a ja trafiałem na dywanik do nauczycielki. Choć upierałem się, że robię to w obronie własnej, zawsze wpadałem w kłopoty. Zasadniczo rozdawałem kopniaki tylko w klasie i nie zdarzało się to zbyt

często, ale nigdy tego nie żałowałem. Oczywiście nie wychodziło mi to na dobre.

- Ale proszę pani - skarżyłem się - to oni zaczęli.

- To mnie nie interesuje, Davidzie - upierała się nauczycielka. - Nie wolno ci więcej nosić chodaków.

Takie bury sprawiały mi jeszcze większą przykrość niż dręczenie, więc starałem się opanować. Nienawidziłem też wracać do domu i mówić mamie, że znowu miałem w szkole kłopoty.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że w moich relacjach z mamą jest coś niewłaściwego. Uważałem tę szczególną, intymną bliskość za nasze „wyjątkowe chwile” i było to dla mnie tym samym, czym w normalnej rodzinie jest przytulanie. Nie chciałem zepsuć tego, co nas łączyło, więc stałem się wzorowym uczniem, który nie sprawia nauczycielom żadnych kłopotów. Prawie nigdy nie musiałem zostawać po lekcjach za karę i nigdy nie odesłano mnie do domu.

Przestałem też kopać inne dzieci i unikałem konfliktów. Jeśli ktoś kazał mi coś zrobić - niezależnie od tego, czy było to dziecko, czy dorosły - zgadzałem się lub próbowałem się wykręcić w taki sposób, żeby nikt nie był na mnie zły. Nie chciałem, by ktoś mnie skrzywdził, i nie chciałem mieć nieprzyjemności, jeśli to ja zrobię komuś krzywdę. Miałem uległą naturę i nie chciałem być dręczony. Takie nastawienie spowodowało na mnie później jeszcze większe kłopoty.

W pierwszym roku nauki w Calder Bridge zdobyłem złotą gwiazdę. Wręczył mi ją sam dyrektor. Byłem dumny jak paw. Właśnie odkryłem, że bardzo lubię być w centrum uwagi. Uwielbiałem czuć, że jestem w czymś dobry. Gdy parę tygodni

później zobaczyłem, że jakiś starszy chłopak znalazł się w centrum uwagi, bo miał urodziny, poczułem straszną zazdrość. Chciałem, żeby uwaga wszystkich skupiała się wyłącznie na mnie. Odkryłem też coś jeszcze.

Pewnego dnia wracałem ze szkoły z innym chłopakiem. Ścigaliśmy się i to ja byłem pierwszy.

Uwielbiałem zwyciężać.

* * *

W domu mamy było bardzo mało pieniędzy. Po tym, jak rodzice się rozstali, tata płacił mamie alimenty, ale - według niej - zawsze za mało. Nie miałem pojęcia, jak naprawdę został podzielony majątek, i byłem wdzięczny za to, co miałem - kilka książek, gier planszowych, resoraków i klocki Lego. Nie narzekałem na nadmiar zabawek. Do tego większość z nich pochodziła z drugiej ręki. Mniej więcej w tamtym czasie, w latach 1974-75, mama należała do Piernikowej Grupy z Halifaxu, która skupiała samotnych rodziców. Spotykali się oni w swoich domach i organizowali wieczorki przy pierniku. Mama zawarła tam nowe znajomości, a jednym z tematów spotkań były dzieci. Bywało, że przynosiła mi z tych imprez nowe zabawki. Zawsze się z tego bardzo cieszyłem.

Choć mieliśmy mało pieniędzy, mama dbała o to, żebym miał wszystko, czego potrzebuję. Zawsze tak było. Pewnego dnia mój kolega George, mieszkający po drugiej stronie pola, dał mi rower. Mamy nigdy nie było stać na to, żeby kupić mi rower. Czasem zastanawiałem się, czy tata mi go kupi, skoro tak lubi

dwukołowe pojazdy, ale w tym czasie bardzo rzadko się spotykaliśmy. Pewnie był zajęty własnymi sprawami.

Nie było sensu jęczeć, żeby mama kupiła mi nowy rower. I tak nic by z tego nie wyszło. Stary rower George'a to najlepsze, na co było nas stać. Był jasnozielony i nie miał siodełka, więc trudno się na nim jeździło, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Dla mnie był doskonały. Poza tym mogłem zjeżdżać z górki, stojąc na pedałach. Na dole zsiadałem i prowadziłem rower z powrotem na górę.

Na szóste urodziny mama dała mi czerwoną ciężarówkę z przyczepą. Była nowa, a nie używana, więc skakałem z radości. Zabrałem ją do szkoły, żeby pokazać innym dzieciom. Wspaniale było znów znaleźć się w centrum uwagi i czuć taką dumę. W pewnej chwili jedno z dzieci zamachnęło się i wytrąciło mi zabawkę z rąk. Ciężarówka upadła na ziemię i roztrzaskała się na kawałki. Wszystkie dzieci krzyknęły „oooo!” i wzięły nogi za pas.

Stałem i płakałem. Nie dlatego, że zepsuła mi się zabawka. Było mi smutno, bo wiedziałem, że nie dostanę już nowej. Schowałem ją do torby, a mamie nie wspomniałem o tym ani słowem.

* * *

Kiedy mama nie piła, bardzo się o mnie troszczyła. I dlatego była dla mnie surowa. Zależało jej, żebym radził sobie w szkole, i gdy wybieraliśmy się na wycieczkę do innych miejscowości w West Yorkshire czy choćby nad morze, do Blackpool, ciągała mnie po różnych historycznych miejscach

- no, może nie siłą, ale czasem nie miałem zbytnio ochoty tam iść, bo zwykle wolałem się bawić. Jak dawniej babcia mamę, tak teraz mama pilnowała mnie, żebym dobrze się uczył.

Zupełnie inaczej zachowywała się, kiedy piła. Na trzeźwo nie tolerowała złego zachowania. Gdy podjęła jakąś decyzję - nie było dyskusji. Zawsze dopilnowała, bym umył ręce przed posiłkiem, a po jedzeniu musiałem poprosić o pozwolenie, żeby móc wstać od stołu. Mama przestrzegała dobrych manier i kazała mi grzecznie zachowywać się w towarzystwie, za to sama niejednokrotnie się kompromitowała.

Pewnej soboty, gdy robiliśmy zakupy w Halifaxie, kupiła mi owocowe dropsy. Gdy wziąłem jednego do buzi, poczułem smak czarnych porzeczek.

Skrzywiłem się i od razu wyjąłem go z ust.

- Chodź, David - powiedziała mama. - Pora wracać do domu.

- Może poszlibyśmy do sklepu z zabawkami i pooglądali kolejki? - spytałem.

- Nie, powiedziałam już, wracamy do domu.

Mama zdecydowanym ruchem pociągnęła mnie w stronę przystanku.

Ja jednak bardzo chciałem iść do sklepu i w przypływie złości rzuciłem dropsa na ziemię.

Staliśmy w samym centrum miasta. Przewijały się tam tabuny ludzi - wśród nich dzieci z mojej szkoły. Ale to jej nie przeszkadzało. Ściągnęła mi spodnie i dała lanie na goły tyłek, zupełnie nie przejmując się przechodniami.

Jeśli mama na coś się zdecydowała i ustaliła zasady, nie zmieniała zdania. Nie pozwalała na żadne kłótnie.

Pewnego wieczoru robiła kedgeree*. Jej ciasta były pyszne, ale zupełnie nie umiała gotować. To jedna z niewielu potraw, które jej wychodziły, więc robiła ją często. Choć zawsze ją jadłem, było to jedno z najmniej lubianych przeze mnie dań. Zjadłem więc tylko tyle, ile dałem radę przełknąć.

- Zostawiłeś jedzenie? - zapytała mama.

- Już się najadłem.

- W takim razie resztę dostaniesz na śniadanie.

Kiedy mówiła coś takiego, wiedziałem, że nie ustąpi. Będę musiał zjeść potrawkę na śniadanie.

Już poprzedniego wieczora posiłek nie był zbyt smaczny, ale przynajmniej ciepły i świeżo przyrządzony. Zimna ryba i zimny ryż na śniadanie to coś okropnego. A jednak następnego dnia rano na mnie czekały. Próbowałem wmusić w siebie jedzenie, robiąc wszystko, co w mojej mocy, żeby nie zwymiotować.

To była dla mnie kolejna nauczka: nie denerwować mamy i robić dokładnie to, co mówi. Od tamtej chwili bardzo starałem się być posłuszny, zarówno ze strachu przed karą, jak i dlatego, że - choć to dziwne - czułem się wtedy bliżej niej. Rzadko jej sprzeciwiałem i zawsze cieszyłem się, gdy mnie chwaliła.

* * *

W pierwsze Boże Narodzenie po przeprowadzce do domu na drugim końcu szeregowca w Calder Bridge mama bardzo się

* *kedgeree* (ang.) - potrawka z ryby, ryżu i jaj. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

starala, zeby Święta byly wyjątkowe: cały dom przystroiliśmy krepiną, a na choince powiesiliśmy ozdoby. Były tanie, więc mieliśmy ich dużo i rozwiesiliśmy je w całym domu. Mama przygotowała również inne dekoracje, na przykład batoniki owinięte kolorowym papierem. Może nie były to prawdziwe prezenty, ale nie myślałem o tym, gdy ujrzałem pod choinką wypełniony nimi wielki wór.

Rankiem pierwszego dnia Świąt zakradłem się do salonu i zacząłem rozpakowywać prezenty. Przepelniała mnie radość i pragnienie, by ten dzień trwał wiecznie. Wiedziałem jednak, że dobiegnie końca i, prędzej czy później, Mroczna Mamusia, ta, która przychodziła do mnie w nocy, wróci. Choć miałem tylko sześć lat, zaczynałem rozumieć, że to, co każe mi robić, jest bardzo złe.

Mama piła więcej niż kiedykolwiek - wiedziałem, bo coraz częściej kazała mi to sobie robić. Nigdy nie przychodziła do mnie, jeśli nie była bardzo pijana. A upijała się szybko - wystarczyło, że otworzyła butelkę brandy.

Zawsze było tak samo. Chciała, żebym sprawił jej radość, pocierając jej cipkę. Nigdy nie dotykała mojego ptaszka i nie miała ochoty na nic więcej. Po prostu brała moją dłoń, kładła na swojej cipce i pocierała.

Jedno się zmieniło. Wcześniej musiała prowadzić moją rękę. Teraz byłem starszy i uczyłem się robić to bez jej pomocy. To sprawiało jej jeszcze większą przyjemność, więc i ja byłem bardziej zadowolony.

Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z seksualnych i moralnych aspektów tego, co robię. Po prostu cieszyłem się,

że mama i ja robimy coś razem i że daje nam to poczucie bliskości. Byłem czułym, przymilnym dzieckiem. Uwielbiałem się przytulać i być przytulany. Wydawało mi się więc, że to, co robimy, jest zupełnie naturalne. Nie rozumiałem jednak, dlaczego pije i dlaczego chce, żebym jej to robił.

Z drugiej strony już jako sześciolatek wiedziałem, że po rozstaniu rodziców mama była bardzo samotna. Życie jej nie oszczędzało, a jednak nie potrafiła zmienić się na tyle, by zatrzymać przy sobie tatę. Myślę, że naprawdę go kochała i chciała spędzić z nim resztę życia. Teraz tylko ona odpowiadała za moje wychowanie, a nie miała żadnego zawodu ani pracy, z której mogłaby nas utrzymać.

Mimo wszystko wciąż potrafiła być świetną towarzyszką. Miała niecałe trzydzieści lat i widziałem czasem, że mężczyźni się za nią oglądają. Jednak kilka lat później zrozumiałem, że mężczyzna, który zaakceptowałby ją ze wszystkimi jej problemami, musiałby być wyjątkowy, zwłaszcza że - na domiar złego - był przy niej sześciolatek.

Zdałem sobie wtedy sprawę, że partnerzy mamy byli od niej dużo starsi. Tylko tacy bowiem potrafili sobie z nią poradzić, gdy się upiła. To właśnie przez jej picie stało się coś strasznego. Coś, co zapamiętam na całe życie.

* * *

Mama miała przyjaciela imieniem Charlie. Mieszkał w szeregowcu we wsi Mystendyke, niedaleko od nas. Charlie miał brodę, był wysoki i chudy. Mnie wydawał się bardzo stary, ale miał może około sześćdziesiątki. Na pewno był sporo starszy

od mamy. Nie wiem, na czym dokładnie polegała ich przyjaźń. Lubiłem go odwiedzać, bo zawsze był dla mnie miły, a ponadto opowiadał mi bajki i dowcipy.

Pewnej nocy, gdy byliśmy w jego domu, mama strasznie się upiła i zaczęli bardzo się kłócić. Choć miałem tylko sześć lat, widziałem to już nie raz. Wiedziałem więc, jak to się skończy. Kłótnia była coraz ostrzejsza i w każdej chwili mogła wymknąć się spod kontroli.

Mama wpadła w szał. Kiedy była pijana, nie miała pojęcia, co się dzieje, i zupełnie nad sobą nie panowała. Wtedy mogło zdarzyć się właściwie wszystko. Gdy doprowadziła się do takiego stanu, w ogóle jej nie obchodziłem. Na trzeźwo była bardzo opiekuńcza, ale tej nocy zrozumiałem, że jestem dla niej dodatkowym ciężarem. Nagle stało się coś, co na zawsze zmieniło mój stosunek do matki.

W trakcie kłótni z jakiegoś powodu znalazła się za drzwiami, ja zaś byłem w środku. Wykrzykiwała przekleństwa i łomotała pięściami w okno. Zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje. Usiadłem i zalałem się łzami. Oczywiście mama nawet nie próbowała mi nic wyjaśnić. Zresztą chciałem tylko, żeby wróciła do środka.

- Charlie! - krzychałem, a lzy ścisnęły mi gardło. - Wpuść mamusię do środka!

- Nie! - krzyknął. - Onajuz tu nie wróci.

Wtedy matka aż się zagotowała.

- Wpuszczaj mnie, stary skurwielu! - wrzasnęła do Charliego przez okno.

- Nie ma mowy! - odkrzyknął.

Walnęła w szybę mocniej. Dał się słyszeć głośny trzask, a pięść przebiła się na drugą stronę. Szkło prysnęło na podłogę, a w otworze pojawiła się głowa mojej matki i rozcięta ręka, cała zakrwawiona. Krew skapywała na parapet.

Wiele lat później zobaczyłem Jacka Nicholsona jako popadającego w obłąd pisarza w filmie Stanleya Kubricka na podstawie *Lśnienia* Stephena Kinga. Scena, w której Nicholson rąbie siekierą drzwi, wsadza głowę do środka i krzyczy do przerażonej żony: „Idzie tatuś!”, przywiodła mi na myśl tamtą awanturę.

Dla mnie, sześciolatka, widok szalonej matki, przebijającej zakrwawioną pięścią okno i wtykającej głowę w dziurę, był dużo straszniejszy niż jakikolwiek film. Ten obraz będzie mnie prześladował do końca życia.

Mama wskazała na Charliego i zaczęła wyzywać go od najgorszych, domagając się, żeby ją wpuścił.

Kiedy odmówił, zwróciła się do mnie:

– Otwieraj drzwi, David, natychmiast!

Choć nie rozumiałem, co się dzieje, czułem, że sytuacja jest beznadziejna. Wiedziałem tylko, że muszę pomóc matce. Podbiegłem więc do drzwi i spróbowałem dosięgnąć do zamka.

- No już, David! - krzyknęła z zewnątrz. - Szybciej!

Za trzecim razem wreszcie mi się udało - otworzyłem drzwi. Mama opierała się o nie, więc nie miałem czasu, żeby odskoczyć. Kiedy drzwi błyskawicznie padły pod jej ciężarem, ja znalazłem się pod nimi. Ale ona w ogóle nie zwracała na mnie uwagi i brnęła przed siebie, torując sobie drogę między meblami. Krew z jej ręki kapiała na dywan.

- Ty jebany sukinsynu! Czemu nie chciałeś mnie wpuścić?
- wrzasnęła do Charliego.

Nie dała mu nawet odpowiedzi. Rzuciła się w jego kierunku i z wściekłością zaczęła okładać pięściami. Ciosy nie były zbyt celne, jednak stary człowiek nie potrafił się przed nimi bronić. Siedział w fotelu i kulił się, próbując odepchnąć jej ręce.

Był zbyt słaby, by jej oddać.

Ona była zbyt pijana, żeby dało się z nią rozmawiać.

Ja zaś byłem zbyt przerażony, by coś powiedzieć.

Chciałem jej pomóc, ale najwyraźniej tylko pogorszyłem sytuację. Teraz również Charliemu działa się krzywda.

Najbardziej wstrząsająca była dla mnie nieprzewidywalność i wybuchowość matki. Prawdę mówiąc, w tym pijanym szale mogła zabić siebie, Charliego, a nawet mnie.

Byłem tak roztrzęsiony, że jeszcze długo nie mogłem wydusić z siebie słowa. Rano trzymałem się od niej z daleka. To, co zobaczyłem poprzedniego wieczoru, zmieniło mnie na zawsze.

Być może była to po prostu utrata niewinności i zaufania, lecz pewna granica została przekroczona. Nie mogę nic naprawić, nie potrafię odnaleźć drogi powrotnej do matki. Do tej matki, której tak bardzo pragnąłem.

Od tamtej nocy Mroczna Mamusia zawsze czaiła się gdzieś w pobliżu.

* * *

Życie z mamą było jak przejażdżka górską kolejką. Sytuacji nie poprawił fakt, że zanim skończyłem sześć lat, tata poznał nową kobietę, a rok później wyprowadził się do niej,

do Manchesteru, wiele kilometrów od Yorkshire. Nazywała się Maureen i miała dwóch synów, Harry'ego i Alexa, starszych ode mnie o dwa i cztery lata.

Kiedy pewnego ranka, latem 1974 roku, zszedłem na dół, mama płakała. Siedziała przy kuchennym stole i swoim staranym, niemal szkolnym pismem wypełniała wielki formularz.

- Co się stało, mamusiu? Dlaczego płaczesz?

- Nic takiego, David. Zjedz śniadanie.

- Co piszesz?

- Skoro chcesz wiedzieć, występuję o pomoc prawną. Tylko tak będę mogła skorzystać z pomocy adwokatów.

- Po co ci adwokaci?

- Nieważne, David. Kiedyś zrozumiesz.

W końcu zorientowałem się, że mama i tata nie są już małżeństwem. W 1975 roku mama powiedziała, że tata ożenił się z Maureen z Manchesteru. Nie rozumiałem, czemu nie zaprosił mamy i mnie na ślub. Przecież wciąż byliśmy jego rodziną. Czemu nie chciał się z nami spotkać?

Maureen nie miała nic wspólnego z separacją moich rodziców, ale nie przeszkodziło to mamie szczerze jej nienawidzić. W jakiś sposób zdobyła jej *zdjęcie*. Na odwrocie napisała „suka”.

Nie jest prawdą, że nie lubiłem swojej macochy. Przecież nawet jej nie znałem, nigdy się z nią nie spotkałem. Z tego co wiem, mama też nie, jednak ciekawiło mnie, czemu mama tak bardzo ją znenawidziła.

* * *

Pewnego dnia koło naszego domu zobaczyliśmy z mamą Rastusa, brązowego colie - naszego ulubionego zwierzaka. Miał pięć lat. Stał po drugiej stronie jezdni, na szczycie wzgórza, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Gdy mama go zawołała, zaczął do nas biec. Patrzyliśmy, jak podbiegł do jezdni, ale się nie zatrzymał. Nagle, gdy był już jakieś pięć metrów od nas, uderzył w niego samochód.

Usłyszeliśmy przeraźliwy pisk opon i samochód zatrzymał się dwadzieścia metrów dalej. To był koniec - Rastus zginął na miejscu.

Nie do końca rozumiałem, co się stało. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem śmierci. Kiedy minął szok, byłem załamany. Nie mogliśmy nic zrobić, żeby uratować psa, lecz w pamięci raz po raz odtwarzałem scenę wypadku niczym film z kasety, próbując nacisnąć pauzę, nim Rastus wbiegnie na drogę.

Przez kilka dni zalewałem się łzami.

Mama też płakała, bo uwielbiała swoje zwierzaki, a zwłaszcza Rastusa. Mimo smutku zareagowała dość spokojnie. Nie wiem dlaczego, ale byłem tym zaskoczony. Spodziewałem się, że będzie histeryzować, tak jak wtedy, gdy pije. Teraz dopiero zrozumiałem, że gdy jest trzeźwa, potrafi kontrolować swoje emocje.

* * *

Tata bywał w Halifaxie raz w miesiącu i wtedy zabierał mnie do swojej matki. Nigdy nie rozmawiali o dziadku, dlatego często zastanawiałem się, kim był. Wyglądało na to,

że tatę wychowywała głównie jego matka. Zawsze wypowiadał się o swoim dzieciństwie w ciepłych słowach.

Bardzo lubiłem, gdy babcia mnie czesała. W ogóle poświęcała mi mnóstwo uwagi. Uwielbiałem spędzać z nią czas. Kochała mnie bez względu na wszystko. Mama też, przynajmniej gdy była trzeźwa. Kiedy jednak się napiła, przypominała sobie o mnie tylko wtedy, gdy chciała, żebym jej dotykał. Sama decydowała, kiedy i jak okaże mi uczucia - nie miałem na to żadnego wpływu. Być może nie rozumiałem tego do końca, lecz wyraźnie to wyczuwałem. Babcia z kolei robiła to, co robią wszystkie babcie - raz na jakiś czas traktowała mnie, jakbym był pępkim świata.

Babcia mieszkała sama. Była to cicha, ekscentryczna i opiekuńcza kobieta z nietypowymi poglądami. Nie była zbyt wysoka, a na dodatek lekko garbiła się podczas chodzenia. Swoje długie siwe włosy upinała w kok. Jej dom wyglądał jak pchli targ - roiło się tam od książek, mebli i dziwacznych bibelotów, takich jak drewniane figurki trzech małych zakrywających sobie oczy, usta i uszy.

- To znaczy: „Nie widzę nic złego, nie mówię nic złego, nie słyszę nic złego” - wyjaśniała.

W porywający sposób opowiadała o rzeczach, o których nigdy nie słyszałem. Wsłuchiwałem się z uwagą w każde jej słowo. Babcia wiedziała mnóstwo rzeczy. Dziwiło mnie to i fascynowało. Często zastanawiałem się, jaką była mamą dla taty, jak sobie radzili, żyjąc we dwoje, i jak to na niego wpłynęło. Ciekawiło mnie też, co tata sądził o tym, co mówiła mi babcia. Siedział wtedy po prostu w fotelu, między palmami w doni-

cach i pawimi piórami. Wyglądał na lekko znudzonego, jakby to wszystko już kiedyś słyszał. Ale nigdy jej nie przerywał.

Kochałem babcię za jej szalone pomysły. Dzięki niej tata nie musiał stawać na głowie, żeby zapewnić mi rozrywkę.

Uważałem, że tata czasem zachowywał się jak ojciec tylko dlatego, że tak wypadało. Był dla mnie ideałem i rozpaczliwie pragnąłem, żeby zaangażował się bardziej, on jednak oddalił się ode mnie zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. I nigdy już nie wrócił. Postanowił być ojcem na odległość i nie chciał wtrącać się w moje codzienne życie. Nie wiem, czy to dlatego, że byłem mu obojętny i nie chciał mieć mnie na głowie, czy po prostu się do tego nie nadawał.

* * *

To mama musiała dbać o moje szczęście. Ona jednak również nie potrafiła tego zrobić. Życie z nią było jak rejs rozchybotaną łódką.

Jedno mama potrafiła jednak doskonale - znajdować sobie przyjaciół. Jeden z nich mieszkał tuż za szkołą w Calder Bridge. Nowy przyjaciel mamy miał córkę w moim wieku. Katie była bardzo ładna - miała śliczny uśmiech i długie brązowe włosy. Nosila okulary. Często się z nią bawiłem, a ponieważ zawsze chciałem wszystkich zadowolić, z radością robiłem wszystko, co mi kazała.

Pewnego wieczoru byłem z Katie sam na sam w jej domu. Chciałem zrobić to, co robiłem mamie: włożyłem jej rękę pod spódnicę, a potem w majtki. Jej cipka była inna. Mniejsza i bez włosków. Zacząłem ją pocierać tak samo jak mamę,

ale na Katie najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia. Zdziwiłem się, bo mama zawsze reagowała, zwłaszcza że bardzo starałem się robić to dobrze.

Po chwili Katie odepchnęła moją dłoń i zaczęliśmy bawić się w coś innego. Nie przeszkadzało mi to, bo nawet nie podejrzewałem, że było w tym coś niestosownego. To była tylko zabawa.

* * *

Kiedy miałem siedem lat, mama piła już regularnie. Nie robiła tego bez przerwy - na pewno nie codziennie. Poza tym wiele przede mną ukrywała. Nie widziałem, jak zaczynała pić. Widziałem tylko efekt, gdy opróżniła już butelkę. Nigdy nie widziałem jej podpitej. Albo była zupełnie trzeźwa, albo kompletnie pijana.

Dużo później, gdy wyjątkowo naszło ją na zwierzenia, wyznała mi, że jej główny problem polega na tym, iż kiedy otworzy butelkę brandy, nie jest w stanie przestać pić, póki jej nie opróżni.

Gdy była już pijana, zupełnie traciła nad sobą kontrolę - nie tylko nad emocjami, ale i nad ciałem.

Kiedy piła wieczorem, działo się coś jeszcze. Pamiętam, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy...

Mama zwykle robiła mi obiad, gdy wracałem ze szkoły, ale tym razem było inaczej. Wpuściła mnie do domu i natychmiast poszła na górę.

Zdawało mi się, że nie było jej całą wieczność. Byłem już bardzo głodny.

- Mamo, gdzie jesteś? Gdzie obiad? - wołam w końcu.

- Już schodzę, David - odpowiada po chwili.

Przychodzi do salonu po paru minutach.

Jest na wpół rozebrana i choć stara się iść normalnie, nie jest w stanie ukryć, jak wielką sprawia jej to trudność.

Zegar na kominku wskazuje dziesięć po siódmej. Powinienem być już w łóżku, ale mama nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

- David! - krzyczy na mój widok.

Podchodzi do mnie chwiejnym krokiem.

- Przytul matkę.

Mówi niewyraźnie, a gdy zbliża swoją twarz do mojej, czuję zapach brandy.

- Mamo, zjemy coś? Jestem głodny.

- Zjemy. Zrobię kolację - mówi i wlecze się do kuchni.

Idę za nią z uczuciem narastającego lęku, choć nie do końca wiem dlaczego. Nigdy wcześniej nie zapominała o kolacji, nawet kiedy piła.

Próbuje otworzyć puszkę z fasolą i wścieka się, bo otwieracz nie chce chwycić. RzUCA puszkę na stół i sięga do dolnej szajki po rondel. Wtedy się przewraca.

- David, chodź tu i pocałuj mnie! - rzUCA gniewnie, zapominając, po co się schyliła.

- Mamo, nie możemy po prostu zjeść kolacji?

- Rób, co ci matka każe! - wrzeszczy.

Dobrze wiem, że nie wolno się jej sprzeciwiać.

Idę do niej, a ona przyciąga mnie do siebie.

- Pocałuj mnie, David.

Robię, co każe, i natychmiast czuję na jej ustach smak brandy. Trochę mnie mdli, więc w końcu się od niej odsuwam.

- Mamusiu, jestem zmęczony. Możemy zjeść kolację?

- A tak, kolacja... - mruczy i usiłuje wstać, ale znów się przewraca.

Tego wieczoru mamie nie udało się zrobić kolacji. To był pierwszy raz. Chyba zupełnie zapomniała o jedzeniu. O mnie też.

W końcu sam zrobiłem sobie kanapkę z dżemem i położyłem się do łóżka, lecz długo nie mogłem zasnąć. Czekałem, aż usłyszę, jak idzie na górę.

Minęła godzina, może więcej. W końcu usłyszałem, jak wdrapuje się po schodach i trzaska drzwiami sypialni.

Dopiero wtedy udało mi się zasnąć.

* * *

Pierwsze siedem lat życia w Calder Bridge to dla mnie połączenie światła i ciemności - pamiętam dziecięce zabawy w malowniczej okolicy, hasanie po lesie i łąkach, harce na złomowisku i te szczęśliwe Święta. Pamiętam jednak także kontakty seksualne z matką, alkohol, huśtawkę nastrojów, przemoc, krew, przekleństwo i ból. Calder Bridge to dla mnie i dobre, i złe wspomnienia, ale do dziś pozostały mi w pamięci głównie te złe.

Wkrótce mieliśmy się stąd wyprowadzić, lecz nowy dom nie rozwiąże naszych problemów. Moje życie, zamiast ulec poprawie, będzie teraz dużo gorsze...

Reg

Równego dnia - miałem wtedy siedem lat - mama postanowiła mnie komuś przedstawić. Reginald Arthur Brownstone to stary, gruby i łysy pan z wielką rudą brodą. Mama twierdziła, że czasem u niego sprząta. Nie miałem pojęcia, czemu do niego przyszliśmy. Był słoneczny dzień, a dom zrobił na mnie wielkie wrażenie - stał na uboczu, w pięknej dolinie.

Reg rzucił szkołę w wieku dwunastu lat, bo musiał pomagać ojcu w gospodarstwie. Kiedy go poznałem, wciąż pracował w fabryce włókienniczej, lecz robił to jeszcze tylko kilka miesięcy, żeby osiągnąć pięćdziesiąt trzy lata stażu pracy. Wyglądał na jowialnego mężczyznę z ciętym dowcipem. Potrafił rozśmieszyć mamę, a taka umiejętność była niezwykle przydatna.

W domu mama zapytała mnie, co o nim sędzę. Powiedziałem, że jest w porządku. Spodobała jej się ta odpowiedź i od razu poczułem się lepiej. Odniosłem wrażenie, że coś ich łączy i że musi on być dobrym człowiekiem.

W kwietniu 1975 roku wyprowadziliśmy się z domu w Calder Bridge i przenieśliśmy się do Rega, do Ludden Vale, w pobliżu Bradling. Kiedy się wprowadziliśmy, miał już sześćdziesiąt pięć lat, a mama - trzydzieści. Różnica wieku wcale mi nie przeszkadzała i cieszyłem się z przeprowadzki. Liczyłem na to, że Reg stanie się ojcem, którego tak mi brakowało, a mama będzie szczęśliwa. Mieliśmy nowy dom i czekała nas świetlana przyszłość.

Niestety, Reg nie był tym, kim się z początku wydawał.

* * *

Po przeprowadzce poszedłem do nowej szkoły. Była to podstawówka w Bradling. Od razu mi się tam spodobało, bo nie miałem w niej takich problemów jak w Calder Bridge. Ta była pełna światła i powietrza, miała wielkie klasy i miłych nauczycieli. Choć teraz mieszkaliśmy na wsi i w pobliżu stało tylko dwanaście domów, było tu aż ośmioro dzieci w podobnym wieku - stworzyliśmy własną paczkę.

Pola oddzielały nasz dom od osiedla socjalnego, na którym mieszkało wiele dzieci ze szkoły. Okolica była ładna, a blok - zadbane. Mimo to odwiedziny na osiedlu zawsze utwierdzały mnie w przekonaniu, że miałem wyjątkowy dom.

Z oddali nasz dom wyglądał jak z bajki - trzy wczesnowiktoriańskie budynki połączone w jeden. Był specyficzny, ponieważ wzniesiono go na zboczu wzgórza, w dolinie, pośród pól i lasów. Na parterze środkowego budynku znajdowała się jadalnia. Mieliśmy też duży ogród pełen drzew owocowych, kwiatów, warzyw i krzewów. Widok na okolicę zapierał dech, bo przed

oczywiście rozpościerała się cała dolina. Wnętrze domu jednak potrzebowało natychmiastowego remontu. Reg długo mieszkał w nim sam i nie chciało mu się nic w nim robić. Mama jednak postanowiła zająć się tym i dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Życie w Ludden Vale było równie wspaniałe, jak w Calder Bridge. Nie ciążyły na nim żadne złe wspomnienia, przynajmniej na początku. Zaczął się nowy etap w naszym życiu. Byliśmy rodziną i mieszkaliśmy w pięknym domu.

Mama zapisała się na kurs stenografii w szkole wieczorowej i wkrótce zaczęła pracę na pełen etat jako sekretarka. Choć jej pensja nie była wysoka, potrafiła wspaniale gospodarować pieniędzmi. Co roku wyjeżdżaliśmy gdzieś na wakacje, a co cztery, pięć lat kupowaliśmy prawie nowy samochód i jeszcze wystarczało nam na różne drobne remonty. Zawsze mieliśmy też jakieś zwierzęta, bo Reg i mama je uwielbiali. Mama dużo paliła i wciąż piła. To cud, że potrafiła nad tym wszystkim zapanować. Na szczęście Reg był właścicielem domu, więc mama nie musiała pożyczać pieniędzy na czynsz ani spłacać hipoteki.

Kiedy myślę o tym już jako dorosły, nadal nie potrafię uwierzyć, że - o ile mi wiadomo - nigdy nie popadliśmy w długi ani się nie zapożyliśmy. Było to nie lada osiągnięcie, zwłaszcza że połączenie niskich dochodów z piciem musiało pustoszyć portfel matki.

* * *

Kiedy przeprowadziliśmy się do nowego domu, wizyty mamy w mojej sypialni - „wyjątkowe chwile”, których zacząłem się już bać - nagle ustały. Jako siedmiolatek domyślałem

się, dlaczego tak się stało. Podobnie jak rozumiałem, dlaczego się zaczęły. Myślę, że ponieważ mama sypiała teraz w jednej sypialni z Regiem, nie potrzebowała mnie już tak, jak kiedyś.

W każdym razie w ciągu kilku ostatnich miesięcy mieszkania w Calder Bridge sprawy zaczęły się zmieniać. Byłem już dużo bardziej świadomy, co jest dobre, a co złe. Czułem się nieswojo, gdy matka piła i zmuszała mnie, bym ją dotykał. Wiedziałem, że nie powinniśmy tego robić, więc próbowałem się jej przeciwstawić. Do tej pory zawsze robiłem to, co mi kazała, bo po alkoholu stawała się agresywna.

Wydawało mi się też, że ostatnio piła mniej, ponieważ dawno nie czuła się taka szczęśliwa i bezpieczna jak teraz, u boku Rega. Wiedziałem, że pije więcej, kiedy jest zdenerwowana lub nieszczęśliwa. Skończyły się zatem nasze „zabawy” ja miałem nowego „ojca”, a mama mniej piła. Czułem, że był to początek czegoś nowego, a przeprowadzka pomagała mi uporać się z wieloma problemami. Zyskaliśmy stabilność finansową, poczucie bezpieczeństwa, ognisko domowe i pełną rodzinę.

Przynajmniej tak mi się zdawało.

* * *

W ciągu pierwszych miesięcy mieszkania z Regiem mama sprawiała wrażenie dużo szczęśliwszej. Uwielbiała pracę w ogrodzie i chciała mieć z niego jak największy pożytek. Według mnie ogród był tak bardzo zapuszczony, że nie mieliśmy szans na żadną nagrodę za jego uprawianie, ale latem mama posadziła rabarbar, agrest, czerwoną i czarną porzeczkę, ziemniaki, kalafiora i groch. W szklarni znalazły się pomidory i mnóstwo

kwiatów, głównie słodki groszek. Do tego ostrokrzew, żeby na Święta było czym udekorować dom.

Był tam jeszcze mały trawnik, a cały ogród okalał kamienny mur, więc przechodnie nie mogli zajrzeć do środka. Dla siedmiolatka był to po prostu raj. Wymagał jednak jeszcze sporo pracy. Na szczęście mama nie miała nic przeciwko, bo mogła poświęcić się swojemu ulubionemu zajęciu. Owoce mieliśmy nie tylko z ogrodu. Latem mama zbierała w lesie jagody, a w sobotnie wieczory jeździła na targ do Halifaxu i kupowała hurtowo truskawki. Handlarze musieli tanio je sprzedać, bo choć wciąż nadawały się do jedzenia, do poniedziałku już by się zespuły.

Mama lubiła uprawiać i zbierać owoce, a potem przyrządzać z nich powidła i galaretki. Co roku robiła co najmniej sto słoików, więc mieliśmy spory zapas. Wekowała też gotowane owoce, które później trafiały do ciast. Co weekend coś piekła i była w tym naprawdę świetna. Puszki na ciastka zawsze były pełne owocowych rożków, pierniczków, owsianych batoników, babeczek, herbatników i ciastek owocowych. Wypieki i powidła stanowiły podstawę naszej diety. Ilekroć byłem głodny, mama mówiła, żebym wziął sobie chleba z dżemem, a był to jeden z moich ulubionych przysmaków.

Nic dziwnego, że polubiłem słodczyce.

Nasze życie rodzinne znacznie się poprawiło, a na dodatek było nas teraz więcej. Córka Rega, Pauline, mieszkała z mężem i dziećmi dwieście metrów od naszego domu. Była to surowa dama, która rzadko się uśmiechała i nosiła okulary, a włosy

zawsze upinała wysoko. Na początku jej nie ufałem, jednak jej rodzina szybko zaakceptowała naszą.

Dwa lub trzy razy do roku odwiedzał nas Bert, brat Rega. Bert nigdy nie pukał do drzwi i nie wchodził do domu. Siedział w swojej furgonetcie i czekał, aż Reg wyjdzie, żeby z nim porozmawiać. Był jeszcze bardziej małowówny od brata. Dziwiłem się, że w ogóle chce mu się przejechać taki kawał drogi, by się z nim zobaczyć.

- Wszystko OK, Bert? - pytał Reg.

- Taa - odpowiadał Bart.

- U mnie też całkiem nieźle.

- A h a .

- Chyba będzie padać.

- T a k .

Często odwiedzał nas najmłodszy syn Pauline, rok starszy ode mnie Andrew - świetny towarzysz zabaw. Był trochę wyższy niż ja i dużo się śmiał, lecz wyczuwałem w jego śmiechu nutę złośliwości. Lubił rozrabiać, więc nigdy się z nim nie nudziłem. W salonie stał obrotowy fotel. Dostawaliśmy burę, kiedy za dużo się na nim kręciliśmy, jednak Andrew miał to w nosie. Dla niego liczyła się przede wszystkim dobra zabawa.

Mieć coś w rodzaju rodziny to coś wspaniałego. Tata był jedynakiem, a mama miała tylko starszego brata, wujka Jima. Wiem, że co najmniej raz się ożenił i miałem jakichś kuzynów, ale nigdy ich nie widziałem. Odkryłem nawet, że jedna z moich kuzynek urodziła się tego samego dnia co ja. Zafascynowało mnie to i chciałem ją poznać. Wuj miał dzieci, których nigdy nie poznałem, za to z Andrew należe-

liśmy teraz właściwie do jednej rodziny. Mieszkał w pobliżu i często razem się bawiliśmy.

Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, kiedy pojawiła się kwestia „nazywania” Rega. Jego dziadek był moim nowym ojcem, więc postanowiliśmy, że będę zwracał się do Rega „dziadku”, tak jak Andrew i jego rodzeństwo.

Przez pierwsze miesiące Reg potrafił być bardzo dobry i jeśli tylko w weekendy miał czas, spędzał go ze mną. Moim ulubionym zajęciem była jazda na rowerze.

- Uważaj z hamulcami, synku - mówił. - Trzeba delikatnie. Jeśli chcesz tylko zwolnić, a nie zatrzymać się, hamuj delikatnie.

Robiłem tak, jak radził, i dostrzegłem sporą różnicę. Kiedy nabrałem pewności siebie, jeździłem po Ludden Vale i Bradling jak szalony.

Nie posiadałem się ze szczęścia i uznałem, że u Rega mam jak u Pana Boga za piecem.

Jednak wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

* * *

Pierwszym wydarzeniem, które położyło się cieniem na moim nowym wspianiałym życiu, była decyzja mamy i Rega, by dobudować jeden pokój. Do tej pory spałem w pokoju sąsiadującym z sypialnią Rega i mamy, właściwie w magazynie z dostawionym łóżkiem polowym. Był większy niż moja sypialnia w Calder Bridge, lecz tak zagracony połamanymi meblami, sprzętem ogrodniczym, starymi ubraniami rodziny Rega i innymi kłopotami, że ledwo było można się w nim poruszać. Poza tym połówka nie była zbyt wygodna, ale to dało się jakoś znieść.

Pierwszego lata w Ludden Vale Reg i Terry, jego znajomy, dobudowali nad kuchnią dodatkowe piętro. Miała tam powstać moja sypialnia. Mój dotychczasowy pokój stał się drugim salonem, choć tak naprawdę zajęła go mama, żeby móc czasem odpocząć od Rega. Po odejściu od taty przywykła do samotności.

Z zaciekawieniem śledziłem postęp prac. Przez całe lato pomagałem Terry'emu i Regowi, jak tylko mogłem. Obaj byli już na emeryturze. Skończyli sześćdziesiąt pięć lat, więc budowa była dla nich sporym wyzwaniem. Wyczuwałem to i starałem się ulżyć im, jak tylko potrafiłem. Moim ulubionym zadaniem było wyszukiwanie kamieni odpowiedniego rozmiaru. Reg mówił mi, czego potrzebuje, a ja chodziłem z miarką po całej okolicy w poszukiwaniu dobrego kamienia.

Praca na budowie była dla mnie wspaniałym doświadczeniem. Niesamowite, że z tych wszystkich kamieni, cegieł i zaprawy, Reg, Terry i ja wyczarowaliśmy część domu, która wcale się od niego nie różniła. Byłem z siebie bardzo dumny.

Odkryłem też, jak mądra jest mama - miała talent do oszczędzania pieniędzy i załatwiania różnych spraw. Znalazła pieniądze na dodatkową sypialnię, wyremontowanie pozostałej części domu, nowy sprzęt do kuchni, nowe tapety i wykładziny do każdego pokoju. W dodatku postarała się także o inne meble. Nie były może nowe, ale to nieistotne. Wiedziała, jak znaleźć solidne sprzęty z drugiej ręki, i to za grosze. A dokonała tego wszystkiego dzięki pensji sekretarki i emeryturze Rega.

Lubiłem pracować z Regiem na budowie. Nie szczędził mi pochwał. Czulem się potrzebny i pierwszy raz w życiu

doświadczylem ojcowskiej miłości, którą nie obdarzył mnie mój własny tata. W rzeczywistości zbudowanie nowej sypialni znaczyło jednak coś innego: miałem mieć własny pokój.

Stało się to dla mnie źródłem większego bólu niż wszystkie inne problemy dzieciństwa. Zniknęła bowiem jedna z barier, która uniemożliwiała matce nieskrępowany dostęp do mnie. Tymczasem jednak cieszyłem się, że będę miał własny kąt.

* * *

Kolejną nowością w Ludden Vale były pierwsze rodzinne wakacje. Od teraz „wakacje” oznaczały dla mnie wyjazd pod namiot.

Nie cierpiałem biwakowania, zwłaszcza że na początku mieliśmy bardzo kiepski sprzęt. Bez względu na panujące warunki, nie było nam zbyt wygodnie. A kiedy na dodatek popsuła się pogoda, a nasza trójka siedziała upchnięta w jednym lichym namiocie, było naprawdę okropnie. W ciągu następnych paru lat zwiedziliśmy cały kraj. Na pierwszej wakacyjnej wycieczce z Regiem złamaliśmy zasady i na dwie noce zatrzymaliśmy się w hotelu w Paignton, w hrabstwie Devon. To dopiero był luksus. Tym bardziej że nasz dom w Ludden Vale nie był jeszcze odnowiony. Lubilem morskie powietrze, a taka daleka wyprawa oznaczała dla mnie prawdziwą przygodę.

Mama zabierała mnie już nad morze, do Blackpool na północno-zachodnim wybrzeżu Anglii, żeby pokazać mi festiwal świateł*. Devon było jednak zupełnie inne - dzikie i egzotyczne.

* *festiwal świateł* - każdego roku, poczynając od września, 10-kilometrowa promenada w Blackpool na 66 dni zostaje udekorowana instalacjami świetlnymi.

Kiedy już wyjechaliśmy na wakacje, chcieliśmy maksymalnie je wykorzystać. Na zdjęciach widać, jak bawimy się na plaży i wypływamy łódką w morze. To były moje pierwsze prawdziwe rodzinne wakacje. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wyjechał gdzieś z rodzicami, gdy mieszkaliśmy w Calder Bridge.

Po przeprowadzce do Rega jedno się nie zmieniło. Wkrótce mama znów zaczęła dużo pić. Pokusa była zbyt silna, a na domiar złego - wydawało się jej, że może to robić bezkarnie. W końcu on miał sześćdziesiąt sześć lat, a ona zaledwie trzydzieści jeden. Dopiero po latach zrozumiałem, że jednym z powodów, dla których żyła z kimś dużo starszym od siebie, było to, iż mogła go sobie owinąć wokół palca.

Przez pierwszy rok naszego wspólnego mieszkania Reg nie pił dużo, a potem w ogóle przestał pić. Nie wiem, czy rzucił alkohol, żeby móc zająć się mamą, gdy się upije i nie może sama o siebie zadbać, czy z innego powodu. Tak czy inaczej, nie był mężczyzną, który przesiadywałby z kolegami w pubie, więc chyba wcale mu tego nie brakowało. W każdym razie nie pił tak jak mama, za co byłem mu bardzo wdzięczny.

Ale drugiej nocy w hotelu mama się upiła. Był to kolejny punkt zwrotny w moim życiu.

* * *

Od jakiegoś czasu leżę już w łóżku. Nagle wchodzi do mojego pokoju hotelowego. Ledwo trzyma się na nogach. Włącza światło i siada przy mnie.

- David?

Nie obudziłem się.

- David! - powtórzyła głośniej.

Budzę się zaskoczony. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem też, która jest godzina, ale znając matkę i jej zwyczaje, musi być koło dziesiątej wieczorem.

- Co się stało, mamó? - pytam, przecierając oczy i mrugając.

- Nic. Chcę tylko wiedzieć, czy mnie kochasz.

- Tak, mamó - mówię i marzę tylko o tym, żeby przewrócić się na drugi bok i zasnąć.

- W takim razie pocałuj mnie.

- Ojej, muszę?

- Tak. No, już. Pocałuj mnie w usta.

Czuję smród alkoholu. Robi mi się niedobrze. Próbuje mnie pocałować z otwartymi ustami i przez chwilę czuję, jak jej język dotyka mojego. To dziwne uczucie. Jest jakby owłosiony. Odrzuca mnie, ale wiem, że muszę ją zadowolić, więc całuję ją tak, jak sobie życzy. Chcę tylko zasnąć i o wszystkim zapomnieć.

Wycieram usta - ona nawet nie zwraca na to uwagi. Włazi do łóżka i przyciąga do siebie moją rękę.

- Pobaw się ze mną, David. Pobaw się z mamusią. Mamusia chce, żebyś się z nią pobawił.

Pociera się tam moją ręką i zaczyna wzdychać, więc jak zwykle robię to, czego chce.

W końcu widzę, że została zaspokojona. Bez słowa wychodzi z łóżka, gasi światło i zostawia mnie samego.

Wydarzenie to było inne od tych, które miały miejsce w Calder Bridge. Przez jakiś czas miałem trochę spokoju. W ciągu

tych paru miesięcy zmieniłem się. Wiedziałem już z całą pewnością, że to, czego ode mnie chciała, było złe, a jednak jeszcze lepiej rozumiałem, że muszę ją zadowolić. Teraz bowiem skutków odmowy bałem się o wiele bardziej niż wcześniej.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a mama wciąż piła - do tego jeszcze bardziej podporządkowała sobie Rega. Wyraźnie widziałem, jak zachwycony jest związkiem z atrakcyjną, dużo młodszą od niego kobietą. Znosił wszystko. Nie mogłem się nadziwić, że pozwala sobą tak manipulować. Większość mężczyzn uznałaby jej zachowanie za niedopuszczalne, lecz Reg zrobiłby wszystko, żeby tylko matka z nim została. Przeszedł na emeryturę i zaczął prowadzić dom - opiekował się mną, kiedy wracałem ze szkoły, i wykonywał różne prace domowe - co dla człowieka w jego wieku wcale nie było błahostką.

Co wieczór Reg otwierał mamie garaż. Kiedy przejeżdżała koło domu, trąbiła. Wtedy Reg musiał rzucić to, czym się akurat zajmował, i biec do garażu, który znajdował się nieopodal, przy stromej drodze. Zanim mama zawróciła, brama musiała być już otwarta. Choć miałem już osiem lat, nie potrafiłem zrozumieć, czemu Reg musi biec i otwierać jej bramę - czemu sama nie może sobie otworzyć.

Później musiał zaparzyć jej filiżankę herbaty, usiąść z nią do stołu i wysłuchać opowieści o tym, jak minął jej dzień. Zwykle były to narzekania na kogoś z pracy.

Mama uwielbiała towarzystwo. Przy rodzinie i przyjaciółach, u weterynarza czy gdziekolwiek indziej - usta jej się nie zamykały. W pracy miała z tym kłopot. Często wracała do domu i narzekała na koleżanki z biura. Miałem wraże-

nie, że współpracownicy trzymali ją na dystans. Nie spędzała z nimi wolnego czasu. Myślę, że praca z innymi ludźmi była dla niej bardzo stresująca.

W domu nawet błahostka mogła stać się zarzewiem wielkiej kłótni. Reg był stary i nie raz zamykał się w swoim świecie. Na przykład regularnie zapominał o zamykaniu drzwi. Mama wpadała wtedy w szal, zwłaszcza jeśli natychmiast nie rzucił się, żeby je zamknąć.

- Reg, zostawiłeś otwarte drzwi.
- Stoisz przy nich, więc bądź łaskawa je zamknąć.
- Niby czemu, do cholery? To ty ich nie zamknąłeś!
- Carol, przecież stoisz obok. Zamknij je.
- Nie będę zamykała po tobie drzwi. To ty je zostawiłeś na oścież, jak zwykle.

- Ja już siedzę. Bądź tak dobra i zamknij je.

Mama robi się czerwona ze złości.

- Reg! Rusz się i zamknij drzwi, natychmiast!

Widać, że Reg ma już wszystkiego dość. Wstaje, patrzy na mamę spode łba i trzaska drzwiami.

Mama musiała kontrolować każdy aspekt naszego życia - i Rega, i mojego - nawet gdy była trzeźwa. Planowała wszystko - od oglądania telewizji i robienia zakupów po wakacje. Decydowała nawet, kiedy pójdą z Regiem do łóżka. On wciąż kładł uszy po sobie. Później zdałem sobie sprawę, że większość mężczyzn nie przystałaby na taki układ, lecz Reg całkiem nieźle to znosił.

Ja odczuwałem tę samą presję. Miałem robić dokładnie to, czego sobie życzyła. Zwykle oznaczało to wykonywa-

nie prac domowych i punktualność. Kiedy bawiłem się poza domem, często chodziłem do Andrew lub nawet zapuszczałem się aż na osiedle. Mamie to nie przeszkadzało, jeśli tylko wracałem na czas. Kiedy pojawiała się ryzyko choćby najmniejszego spóźnienia, wpadałem w panikę. Biegłem co sił w nogach, żeby tylko nie spóźnić się do domu. Inaczej czekała mnie straszna bura i na dodatek szlaban.

W domu musiałem za to wykonywać prace, które mi wyznaczała. Już jako małe dziecko codziennie coś sprzątałem. Na przykład w piątki miałem myć kuchenkę. Nie przeszkadzało mi to, tyle że mama nigdy tego nie robiła, więc mycie kuchenki oznaczało solidne szorowanie, a nie tylko kilka ruchów ścierką. Musiałem też codziennie czyścić swoje buty na gazecie w kuchni. Jako nastolatek musiałem też prasować wszystkie swoje ubrania i wykonywać wiele innych prac domowych. Bez wątpienia nauczyła mnie tego wszystkiego po to, żeby sama nie musiała tego robić. Zyskałem jednak dzięki temu przydatne umiejętności i nauczyłem się samodzielności.

Reg jakoś znosił jej wybuchy, a ja byłem za mały, żeby się skarżyć czy chociażby pomyśleć, że mogłoby być inaczej. Poza tym na początku w domu panowało coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem - prawdziwe życie rodzinne.

Nic jednak nie trwa wiecznie. Wkrótce pojawiły się pierwsze rysy. Po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę, gdy zrozumiałem, że Regowi znudziło się bycie moim ojcem. Mama piła coraz więcej, a po alkoholu była równie nieobliczalna, jak w Calder Bridge. Gdy już myślałem, że w tym nowym domu

udało mi się uciec od złych wspomnień, dopadły mnie, a wkrótce miały do nich dołączyć nowe, jeszcze gorsze.

Mama powiedziała mi kiedyś, że ciężko żyło jej się z tatą. Myślę, że właśnie to mogło popchnąć ją do poszukiwania fizycznej bliskości w relacjach ze mną. Nie pamiętam, żeby rodzice okazywali sobie czułość albo żeby tata okazywał ją chociaż mnie. Większość ludzi ma przynajmniej jednego dobrego rodzica. Ja miałem troje złych: nieobecnego ojca, który poskąpił mi miłości, matkę, która potrzebowała czegoś więcej niż czułości, oraz ojczyma, którego zachowanie wobec mnie radykalnie się zmieniło.

Nie było nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić, komu mógłbym się zwierzyć, kto pomógłby mi przetrwać ten mroczny czas. Musiałem radzić sobie ze wszystkim sam. Dla małego chłopca była to niewiarygodna tortura. Stałem się gniewnym, samotnym dzieckiem z nerwami w strzępach, co w kolejnych miesiącach i latach miało odcisnąć piętno na życiu moim i moich bliskich.

Piękny sen

Pierwszy rok w Ludden Vale był wspaniały. Reg dał nam piękny dom i świetnie rozumiał się z mamą. Był zaradny. Całe życie utrzymywał się z pracy fizycznej i zawsze potrafił uczynić coś, żeby upiększyć nasze gniazdko. Podczas jednej ze swoich comiesięcznych wizyt tata powiedział nawet, że ma wobec Rega dług wdzięczności, bo zapewnił mi dom. To była prawda: doświadczyliśmy nowego, pełniejszego życia, a dzięki malowniczej okolicy jeszcze bardziej zyskało ono na jakości.

Pierwsza jesień i zima w Ludden Vale to było zupełnie nowe doświadczenie. Dzień Guya Fawkesa* był drugim z moich ulubionych świąt, zaraz po Bożym Narodzeniu. Dom otoczony był lasem, więc poszliśmy nazbierać chrustu. Znaleźliśmy dość suchych gałęzi, by rozpalić wielkie ognisko. Wszyscy sąsiedzi

* *Guy Fawkes* - zamachowiec, który 5 listopada 1605 roku zamierzał wysadzić w powietrze angielski parlament. W rocznicę tzw. spisku prochowego w Wielkiej Brytanii pali się kukły symbolizujące Guya Fawkesa i organizuje pokazy sztucznych ogni.

dołączyli do nas, żeby świętować rocznicę wykrycia spisku prochowego. Mama dała z siebie wszystko. Uwielbiała być panią domu. Przygotowała więc tradycyjne „ogniskowe” potrawy, takie jak hot dogi, toffi, pierniki i owsiane ciastka - to była prawdziwa uczta. Objadałem się bez umiaru, bo na co dzień nie mogłem liczyć na takie delikatesy. Mama kupiła wielkie pudło sztucznych ogni. Mieliśmy wielki ogród, więc mogliśmy odpalić z Regiem najróżniejsze fajerwerki i rakiety, a do tego wirujące koła przymocowane do karmnika. Ogród wypełnił się kolorowymi rozbłyskami i hukiem. To była magiczna noc.

Zima to najlepsza pora roku w Ludden Vale. Mieszkaliśmy na zboczu wzgórza - było to idealne miejsce do jazdy na sankach. Już pierwszej zimy spadł śnieg, więc razem z Andrew szaleliśmy po całym stoku. Nie stać nas było na plastikowe sanki, ale wcale się tym nie przejmowałem. Reg sam zrobił dla nas sanki. Prawdę mówiąc, byłem dumny z tego, że mamy „tatę” - czy też „dziadka” - który kocha nas na tyle, że chciało mu się zrobić dla nas sanki. Zbił je ze starych desek i zamontował plastikowe płozy. Świetnie się na nich jeździło. Poza tym, gdyby się popsuly, Reg od razu mógł je naprawić.

Boże Narodzenie było dla mnie najlepszym dniem w roku, zwłaszcza że wszyscy bardzo się wtedy starali i czułem, że jestem w centrum uwagi. A ponadto tego dnia mama nie piła za dużo. Przede wszystkim zaszalała, jeśli chodzi o prezenty. Nigdy wprawdzie nie wydawała na nie zbyt dużo, ale przygotowała mnóstwo drobiazgów, które starannie zapakowała. Czekwała więc na mnie okazała sarta podarków. Reg i mama cały ranek ciężko pracowali, żebyśmy po południu

mogli zjeść tradycyjny świąteczny obiad. Dwa razy na Boże Narodzenie przyjechała babcia - siedziała wtedy w fotelu, nie ruszając się z niego ani na chwilę.

Wspaniale było mieszkać w domu, jednak ani gałązki ostrokrzewu, ani świąteczne przysmaki nie mogły wynagrodzić mi prawdziwych problemów, które wkrótce miały sprawić, że piękny sen przerodzi się w koszmar.

* * *

Pierwsza istotna zmiana, którą zauważyłem, dotyczyła Rega. Wyglądało na to, że przestał się mną interesować. Do tego stał się niezwykle oschły. Zupełnie jakby stracił sympatię do mnie i nie chciał mnie w swoim domu. Tymczasem ja wciąż byłem w wieku, w którym dziecko chce dowiedzieć się jak najwięcej o otaczającym je świecie. Lubilem zadawać pytania, ale Reg nie chciał na nie odpowiadać. Miał się mną opiekować, gdy wracałem ze szkoły, bo był już na emeryturze, a mama pracowała na cały etat. Był więc pierwszą osobą, na którą natykałem się po powrocie do domu.

- Zgadnij, czego się dziś nauczyłem, dziadku! - krzychałem przejęty, zdejmując płaszcz przeciwdeszczowy i wieszając go na haczyku w sieni.

Reg wzdychał ciężko, nie mówiąc ani słowa.

Niezrażony brakiem reakcji opowiadałem dalej:

- Uczyliśmy się dziś o deszczu. Wiesz, dziadku, skąd się bierze deszcz?

Tymczasem Reg zasiadał przy kominku i zagłębiał się w lekturze gazety, przeglądając wyniki wyścigów konnych.

- Deszcz bierze się z morza. Ogrzewa je słońce i wtedy woda paruje, a potem zamienia się w chmury i, jak jest dużo chmur, to robi się kondensacja i wtedy zaczyna padać deszcz! - kończę triumfalnie, lecz Reg nawet nie podnosi wzroku znad gazety.

Wkrótce dotarła do mnie smutna prawda: nie interesowało go, czego nauczyłem się w szkole ani w ogóle co miałem mu do powiedzenia. Potem stało się jasne, że chce mieć ze mną jak najmniej do czynienia. Interesowała go wyłącznie moja mama. Ich związek był dziwny, z pewnością daleko mu było do ideału, ale wyglądało na to, że naprawdę się kochają. Z punktu widzenia Rega byłem jednak tylko ciężarem. Wkrótce przekonałem się jak wielkim.

Pewnego dnia, po powrocie ze szkoły, bawiłem się w domu i oglądałem telewizję. Musiałem chyba zrobić coś nie tak, bo nagle Reg zaczął na mnie krzyżeć. Wcześniej się tak nie zachowywał. Nigdy na mnie nie krzychał. Widziałem, jak wrzeszczy na mamę, gdy się kłóca, lecz na mnie nigdy nie podniósł głosu. Nie miałem pojęcia, co przeszkrobałem, ale wpadał w szał, jeśli nie przychodziłem od razu, gdy mnie zawołał - tak samo jak mamę gniewało, gdy Reg nie robił natychmiast tego, co mu kazała.

Patrzyłem na niego z przerażeniem. Byłem zdezorientowany. Wiedziałem tylko, że jest źle. Reg znów na mnie krzyknął i ruszył w moją stronę z obłędem w oczach i zaciśniętymi pięściami. Rzuciłem się do ucieczki - pobiegłem do swojego pokoju, zamknąłem za sobą drzwi i podparłem je plecami, wierząc naiwnie, że to go powstrzyma.

Słyszałem, jak stary, gruby Reg, dysząc ciężko, wspina się po schodach. Zatrzymał się na górze, żeby złapać oddech

i równowagę, po czym powlókł się w stronę mojego pokoju. Nacisnął klamkę i spróbował siłą otworzyć drzwi. Nie udało mu się, bo oparłem się o nie z drugiej strony. Nacisnął ponownie, tym razem napierając całą swoją masą. Był ode mnie dużo cięższy, więc drzwi otworzyły się z hukiem i powaliły mnie na podłogę. Reg wpadł do pokoju.

Spojrzałem mu w oczy i dostrzegłem w nich wściekłość. Nie miałem pojęcia, czym go tak rozgniewałem, ale wiedziałem, że muszę uciec. Rzuciłem się w najdalszy kąt pokoju i instynktownie zwinąłem się w kłębek. Nie wiem, czemu ogarnęło mnie takie przerażenie. Przecież nigdy dotąd mnie nie uderzył. Myślałem, że chce tylko na mnie nakrzyczeć, jednak na wszelki wypadek przyjąłem pozycję obronną. On zaś przeszedł przez pokój, nie spuszczać mnie z oczu. Pochylił się nade mną i wysapał groźnie:

- Myślisz, że możesz przede mną uciec, chłopcze?

Wciąż był zmęczony wspinaczką po schodach.

- Nie – odpowiedziałem, odwracając wzrok. Bałem się, że moje spojrzenie może go jeszcze bardziej rozwścieczyć.

- Nie możesz. A masz! - uniósł pięść i szybkim ruchem uderzył mnie w ramię.

Krzyknąłem z bólu.

- Przestań, dziadku! Proszę, przestań.

- J u ż ja ci dam nauczkę! - odpowiedział.

Potem jeszcze wiele razy słyszałem te słowa.

Reg zamachnął się lewą ręką i uderzył mnie pięścią w brzuch. Zasłoniłem go ręką, a wtedy on znów łupnął mnie w ramię. Po chwili okładał mnie już pięściami. Nie byłem w stanie zasło-

nić się całkowicie, więc kolejne ciosy padły na odkryte miejsca. Po dziesięciu czy piętnastu ciosach przerwał i spojrzął na mnie.

- No. Masz być grzeczny, bo inaczej znowu dostaniesz.

Trudno mi było zrozumieć, czym go tak rozwścieczyłem i czemu jego gniew wyparował, gdy tylko skończył mnie okładać.

Wrócił na dół. Słyszałem, jak dyszy na schodach, próbując złapać oddech.

Od tej pory za każdym razem, kiedy mnie bił, pragnąłem, żeby przestał w ogóle oddychać i szybko się przekreślił. Gdy okładał mnie pięściami, zawsze wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać zawału lub wylewu, i czasem myślę, że byłaby to sprawiedliwa kara dla kogoś, kto bez żadnego powodu znęca się nad małym chłopcem.

Zostałem w pokoju i czekałem, aż się uspokoi. Próbowałem zrozumieć, co się dzieje, co spowodowało ten nagły wybuch gniewu i agresji. Chciałem też przeczekać ból. Nikt mnie nigdy tak nie zbił. Czulem się potwornie. Bolały mnie ramiona i brzuch. Posiniaczony i obolały skuliłem się w kącie i łkałem cichutko, kołysząc się w przód i w tył.

* * *

Miałem osiem lat i nie wiedziałem, co spowodowało ten atak. Już wiele lat wcześniej nauczyłem się uległości wobec matki. Tak samo zachowywałem się wobec Rega. Uwielbiałem sprawiać innym przyjemność, dlatego często sam szukałem okazji, by zrobić coś, żeby był ze mnie zadowolony. Poza tym mama kazała mi być grzecznym, kiedy nie ma jej w domu, bo ona musi zarabiać na utrzymanie rodziny. Rozumiałem to i nie

chciałem nikogo prowokować. Uznałem po prostu, że byłem niegrzeczny i zasłużyłem na karę.

Gdy znalazłem chwilę, by pomyśleć o tym, co się stało, zacząłem się zastanawiać, czy przyczyna nie leży w wychowaniu Rega i kilku wydarzeniach z jego późniejszego życia. Był gruby, ale też wielki i silny, nawet jak na swój wiek. Miał wielkie i twarde jak skała pięści. Przez całe życie ciężko pracował - na farmie, w warsztacie stolarskim i w fabryce. Gdy był jeszcze dzieckiem, w wyniku wypadku z pompką do roweru stracił wzrok w jednym oku, a jako dorosły mężczyzna obciął sobie palec piłą tarczową.

Jego matka zmarła, gdy miał dwanaście lat, i odtąd wychowywał go ojciec. Pracowali razem na farmie. Reg opowiadał mi, że już jako chłopiec całymi dniami harował jak wół i że często wdawał się w bójki. Choć był niezłym gawędziarzem, nie ulegało wątpliwości, że szybko nauczył się sam sobie radzić. On w moim wieku nie raz puszczał w ruch pięści, a ja byłem bardzo delikatny. Może uznał, że powinienem zmęźnieć? Jedno jest pewne. Nie zbił mnie dlatego, że z natury jestem niegrzeczny. Czasem coś przeskrobałem, jak to dzieciak, nie byłem jednak złośliwy, bezczelny ani uparty. Świadczyły o tym także moje świadectwa szkolne.

Może winiłem się za to, że byłem zbyt słaby i uległy; może w głębi duszy uważałem, że w jakiś sposób sam pozwoliłem Regowi na zabicie mnie lub wręcz go do tego zachęciłem, tak samo jak zastanawiam się, czy to ja doprowadziłem do tego, co działo się między mną a matką. Może moja niska samoocena miała coś wspólnego z „wyjątkowymi

chwilami": chciałem zadowolić mamę, a jednocześnie bałem się jej sprzeciwić.

Od tej pory Reg systematycznie mnie bił, choć nigdy nie uderzył mnie w twarz. Zapewne nie chciał, żeby mama coś zauważyła. Biorąc pod uwagę, że prędzej czy później mogła zobaczyć mnie bez ubrania, to musiało się kiedyś wydać. Nie o to jednak chodzi. Kiedy Reg wpadał w gniew, tracił nad sobą panowanie. Nie mógł się uspokoić, póki nie sprzął mnie na kwaśne jabłko. Gdy na mnie patrzył, na jego twarzy malowały się złość i obrzydzenie. Cokolwiek zrobiłem, że miały nim takie uczucia, zwykle policzenie do dziesięciu nic by tu nie dało.

Jednak nawet on wiedział, że jeśli mama zobaczy siniaki na mojej twarzy, będzie miał kłopoty.

* * *

Łomot był teraz dla mnie chlebem powszednim. Reg nie bił mnie wprawdzie dzień w dzień, lecz i tak robił to często, a jego ciosy były niezwykle bolesne. Nigdy się nie hamował. Bałem się przebywać z nim w domu sam na sam. Mimo wszystkich problemów z mamą, ona przynajmniej mnie nie biła. Reg zaś nigdy nie podniósł na mnie ręki, gdy była w pobliżu. Często więc przesiadywałem w swoim pokoju i czekałem na jej powrót z pracy, po czym biegłem do drzwi, żeby się z nią przywitać. Dzięki temu przynajmniej przez jakiś czas mogłem uniknąć lania.

Chociaż Reg zaczął mnie bić, wciąż - od czasu do czasu - potrafił być fajny. Gdy miał dobry humor, miło było przebywać w jego towarzystwie. Problem w tym, że nigdy nie wiedziałem, w jakim humorze go zastanę, gdy wrócę ze szkoły. Modli-

łem się, żebym trafił na miłego starszego pana, który krząta się przy obiedzie. Podwójna osobowość mojej matki bardzo skomplikowała mi życie - a teraz to samo działo się z Regiem. Jego zmienność nastrojów napawała mnie lękiem. Ciągłe nasłuchiwanie i zgadywanie, o czym myśli Reg, było dla mnie prawie nie do zniesienia.

Nigdy nie zapomnę, jak waliło mi serce, gdy co wieczór wchodziłem do domu, nie wiedząc, co mnie czeka.

Uczucie łączące mamę z Regiem okrzepło, co z pewnością pozytywnie wpłynęło również na jej stosunek do mnie. Potrafiła być kochająca i czuła. Jako dziecko bardzo spragnione miłości cieszyłem się, gdy byliśmy blisko, zwłaszcza że już nie kazała mi robić tych rzeczy. Z drugiej strony zawsze z niepokojem obserwowałem jej picie, bo wiedziałem, co za sobą pociąga - radykalną i natychmiastową zmianę zachowania.

Mimo tego, co między nami zaszło, próbowała być odpowiedzialnym rodzicem i dbała, żebym miał wszystko, czego potrzebuję. Zachęciła mnie, bym wstąpił do drużyny zuchów, która działała w sąsiedniej wsi. Co piątek chodziłem na zbiórki. Tak bardzo mi się tam spodobało, że gdy miałem jedenaście lat, wstąpiłem do skautów. Wyjeżdżałem na weekendowe wycieczki, brałem udział w ogniskach, biegach na orientację i całe noce nie musiałem spać. Rodzinne biwaki postrzegałem jako wakacje dla ubogich, podczas których w dodatku nie było co robić, a obozy zuchów były dla mnie ich całkowitym przeciwieństwem. Lubilem przebywać z innymi chłopcami i kłaść się spać późno w nocy, a przez cały dzień bawić się i grać.

Mama uważnie studiowała mój dzienniczek ucznia i jeśli coś się nie zgadzało, natychmiast szła do szkoły, żeby to wyjaśnić. Miało to swoje dobre i złe strony. Cieszyłem się, że się o mnie troszczy, ale czasem przesadzała - urządziła w szkole awantury i było mi po prostu wstyd. Znosiłem to jednak dzielnie, bo po pierwsze - nie miałem wyboru, a po drugie - wiedziałem, że chodzi jej o moje dobro.

Pewnego dnia mieliśmy w szkole lekcję historii, podczas której nauczycielka opowiadała nam o ludziach, zwanych dyktatorami. O Adolfie Hitlerze, przywódcy nazistów, z którymi w ostatniej wojnie walczyła Wielka Brytania. O Józefie Stalynie, bezlitosnym dyktatorze Związku Radzieckiego, który nie był jednak aż tak zły, jak Hitler. Był też Mussolini, którego moja nauczycielka nazwała „kieszonkowym dyktatorem”. Chciał być potężny i zły, jak inni okrutni dyktatorzy, ale mu nie wyszło.

Byli też inni dyktatorzy, dobrzy. Nauczycielka nazywała ich „życzliwymi dyktatorami” bo choć byli surowi, chcieli, by ludziom żyło się lepiej. Jednym z nich był przywódca Kuby. Pani pokazała nam jego zdjęcie. Doszedłem do wniosku, że mama jest takim właśnie życzliwym dyktatorem. Zacząłem się zastanawiać, czy Fidel Castro też upijał się co noc.

Mama była życzliwym dyktatorem, jeśli chodzi o czytanie książek. Sama była zapaloną czytelniczką, więc co tydzień zabierała mnie do miejscowej biblioteki. Mogłem tam sobie wybrać dowolną książkę, ale później musiałem ją przeczytać. Najbardziej lubiłem Billy'ego Buntera.

Mama była też życzliwym dyktatorem w kwestii mojego zdrowia. Było to dla niej bardzo ważne. Stała nade mną i patrzyła, jak

myję zęby. Nigdy nie przegapiłem wizyty u dentysty czy innego lekarza. W każdą sobotę jeździliśmy do centrum Halifaxu. Reg zawsze zostawał w domu, więc było jeszcze fajniej.

Najpierw szliśmy do sklepu z używaną odzieżą na Clare Road. Mama kupowała mi za bezcen ubrania z drugiej ręki, dzięki czemu nigdy mi ich nie brakowało. Oczywiście wybierała te, które były w dobrym stanie. Poza tym świetnie robiła na drutach, więc wieczorami i w weekendy wydziergała dla mnie niejednego sweter. Jedyne rzeczy, jakie kupowała nowe, to buty. W tamtych czasach - w połowie lat siedemdziesiątych - buty z tworzywa były tańsze i popularniejsze, lecz mama zawsze kupowała mi skórzane. Były droższe, ale za to lepiej dopasowywały się do stopy.

Po wizycie na pływalni szliśmy do biblioteki, a potem jedliśmy lunch w kawiarni. Strasznie długo przeglądałem menu i zastanawiałem się, o co poprosić. Było w nim wiele potraw, których nigdy nie jadałem - ani w domu, ani w szkole. Zawsze prosiłem o chleb z margaryną: w domu jadaliliśmy tylko masło, a mnie margaryna smakowała dużo bardziej, choć to masło uważa się za bardziej luksusowy produkt. W końcu szliśmy na targ, żeby kupić świeże mięso, owoce i warzywa. Uwielbiałem targowy harmider, przez który przebijały się nawoływania sprzedawców, zachwalających swoje towary.

Takie dni były wyjątkowe i czułem się jak prawdziwy syn, a moja mama była najlepszą mamą na świecie. Choć potrafiła wiele dać, umiała również bez ostrzeżenia wszystko odebrać. Zrozumiałem to już w Calder Bridge i wciąż nosiłem w pamięci „wyjątkowe chwile” i pijackie awantury. Zachowanie mamy

mogło się zmienić w mgnieniu oka, a jej dwie osobowości były jak dzień i noc. Wiedziałem, że to alkohol odpowiada za całe zło, a ostatnio mama piła mniej niż zwykle.

Wkrótce jednak miało się to zmienić.

* * *

Choć często się tego bałem, aż do tej chwili lekceważyłem fakt, że mroczna strona osobowości mojej matki nigdy nie ukrywała się na tyle głęboko, bym mógł żywić nadzieję, że zniknie na zawsze.

Nie wiem, co się stało, ale w pewnym momencie mama strasznie się rozpiła. Oczywiście, jak każdy alkoholik, nie panowała nad swoim uzależnieniem. Teraz zaś okoliczności spowodowały nawrót choroby, która została z nią już na dobre. Matka nigdy z tego nie wyszła. Na tym etapie zaś wykształciła już sobie pewien rytym picia i dokładnie wiedziałem, co robi.

Kiedy wracałem w takie dni ze szkoły, bardzo rzadko zdarzało się, że była już pijana. Nauczyłem się odczytywać wszystkie znaki. Lekko się chwiała, mówiła niewyraźnie, w sposób, który od razu rozpoznawałem. Nie wiem, czy Reg też to widział, bo nigdy ze mną nie rozmawiał - ani o tym, ani o niczym innym. Najczęściej jednak matka była trzeźwa aż do kolacji.

Potem szła na górę.

Zawsze piła brandy i zabierała do sypialni całą butelkę. Mniej więcej co kwadrans znikala na chwilę w pokoju. Piła dużo i szybko, a potem wracała na dół.

Już po pierwszej wizycie w pokoju widać było zmianę w jej zachowaniu i głosie. Zaczynała się zataczać i bełkotać. Po godzi-

nie od pierwszego łyku rozbijała się już po całym domu, kompletnie sponiewierana.

- Złaż mi z drogi, jebany skurwielu! - wrzeszczała na Regę, przetaczając się przez salon.

Reg próbowała ją uspokoić, jednak bez powodzenia. Był już stary, a nad nią nie dało się zapanować. Co gorsza, była bardzo pobudzona - nie mogła usiedzieć w miejscu, nosiło ją po całym domu. Wchodziła i schodziła po schodach, włączała i wyłączała telewizor, wydzierała się na całe gardło.

Na tym etapie zwykle była już na wpół rozebrana - zarzucała tylko coś na górę. Sam fakt, że matka paraduje półnago po domu, był dla mnie stresujący. Jej też to szkodziło. Mieliśmy bowiem kamienne schody. Zawsze, gdy się upiła, przynajmniej raz z nich spadała, a na dodatek obijała sobie łydki o stopnie, więc ciągle miała posiniaczone nogi. Zachowywała się tak dopóty, dopóki byliśmy z Regiem na dole. Kiedy poszedłem już spać, rzadko mnie budziła. Zwykle, zmęczona awanturą, sama się kładła. Jednak przynajmniej raz wydarzenia potoczyły się inaczej.

* * *

*Wstaję i mam wrażenie, że jest późna noc, choć w rzeczywistości dopiero dochodzi dwunasta. Idę do toalety, a gdy z niej wycho-
dzę, zauważam, że na dole pali się światło i jest włączony telewi-
zor, więc postanawiam sprawdzić, co się dzieje. Najpierw zaglądam
do salonu, ale nikogo tam nie ma. Wyłączam telewizor i idę do dru-
giego pokoju - są tam tylko nasze psy. Jeden to mieszańiec labradora
z collie, a drugi to terier. Kocham je i zwykle to ja wyprowadzam
je na spacer. Patrzą na nie przez chwilę z czułością i idę do kuchni.*

To, co ujrzałem, sprawiło, że włos zjeżył mi się na głowie.

Mama leży na podłodze zwinięta w kłębek. Ani drgnie - wygląda na martwą. Jest na wpół rozebrana, jak zwykle, gdy pije. Ma na sobie tylko gruby sweter. Dookoła rozlany jest olej - pewnie próbowała coś ugotować. W kałuży leżą rozsypane zapalki, którymi chciała zapalić gaz.

Schylam się i próbuję ją obudzić.

- Mamo - szepczę jej do ucha - obudź się, mamusiu.

Mamrocze coś niezrozumiale.

Mówię do niej znowu, tym razem trochę głośniej.

- Mamo, to ja, David. Obudź się, proszę.

Potrząsam nią i ciągnę za ramię. Odzyskuje przytomność i szybko odwraca się w moją stronę. Odruchowo unosi rękę i bezwładnie, niechcący, uderza mnie pięścią prosto w usta.

Jestem wstrząśnięty. Przywykłem do tego, że bije mnie Reg, ale matka nigdy nie podniosła na mnie ręki. Poza tym po raz pierwszy dostałem w twarz. Wiem, że nie zrobiła tego specjalnie, ale i tak jestem zaskoczony. Cofam się, żeby wstać.

Matka otwiera przekrwione oczy i rozgląda się dookoła. Nie może skupić wzroku. Patrzy na mnie i próbuje wstać ze śliskiej podłogi. W końcu chwyta za zlew, podciąga się i przytrzymuje jednego z blatów.

- Nic ci nie jest, mamusiu? - pytam zatroskany.

Nie mówi ani słowa. Powoli rozgląda się po kuchni. Zdaje się, że mnie widzi, ale potem patrzy przeze mnie na wskroś i chwiejnym krokiem bnie przez kolejne pokoje, przytrzymując się ścian i mebli, żeby nie upaść. Wreszcie znika w sypialni.

Przez cały ten czas nie odezwała się do mnie ani nie sprawdziła, czy położyłem się spać.

*Zostawiam kuchnię w takim stanie, w jakim ją zastałem,
i wracam do łóżka.*

Ta sytuacja, choć na szczęście nikomu nic się nie stało, to tylko przykład na to, że po alkoholu mama zupełnie traciła nad sobą kontrolę. Mogła zostawić włączony gaz i wysadzić nas wszystkich w powietrze. Zapalenie zapalki mogło w każdej chwili spowodować wybuch. Mogła też podpalić siebie. Gorący olej, na którym chciała coś usmażyć, mógł spowodować ciężkie poparzenia albo nawet wywołać pożar.

Mama była inteligentną osobą. Musiała zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, zwłaszcza gdy rano odkryła nocne pobojo-wisko. Po przebudzeniu zapewne znalazła pustą butelkę po brandy i wtedy dopiero zrozumiała, ile alkoholu wypijała. Nie było jednak możliwości, żeby ograniczyła picie lub całkowicie z nim zerwała. Była uzależniona, co oznacza, że musiała pić i piła dotąd, aż nie mogła już patrzeć na alkohol.

Mimo jej nałogu w domu nie było napoczętych butelek brandy. Matka kupowała nową butelkę i wypijała ją jeszcze tego samego wieczoru. Zajmowało jej to około godziny. Nigdy nie rozcieńczała alkoholu. Kiedy opróżniła butelkę, ukradkiem ją wyrzucała. Nie oddawała do skupu całego worka butelek i puszek - niezbitego dowodu na uzależnienie. W ten sposób sama się oszukiwała - udawała, że jest inna niż pozostali alkoholicy. Nie sądziła, że była w równie złym stanie. Te urojenia sprawiały, że nie brała pod uwagę wpływu swojego picia na Rega i na mnie.

Rano nie rozmawialiśmy o tym, co miało miejsce w nocy. Ja po prostu cieszyłem się, że nic się jej nie stało. Poza tym byłem za mały, by o tym wspominać. Tak czy inaczej, na trzeźwo była dobrą matką i zakładałem, że wiedziała, co robi. Poza tym nie miałem pojęcia, że życie może wyglądać inaczej. Bywałem w domach innych dzieci, ale nie rozmawiałem z nimi o picciu mamy. Zakładałem, że to normalne i że robi tak każdy rodzic. Przerazało mnie to.

Większość dzieci w moim wieku oczekuje od rodziców wskazówek i wsparcia. W moim przypadku było odwrotnie. Już jako ośmiolatek spędziłem wiele bezsennych nocy na pilnowaniu, by matka trafiła do łóżka. Czasem zasypiałem dopiero o świcie. Mama długo tłukła się po domu, więc nie spałem. Nasłuchiwałem, by mieć pewność, że w końcu się położy. Tak było za każdym razem. Reg jej nie pomagał - zostawiał ją samą sobie.

W pewnym sensie miałem poczucie spełnienia, bo pomagałem mamie, którą przecież bardzo kochałem. Nie było to oczywiście zadanie odpowiednie dla dziecka. Przez cały ten czas czułem jednak niesamowitą ulgę, że skończyły się „wyjątkowe chwile”. Ostatnio matka przystopowała. Ciągłe nasłuchiwanie było męczące psychicznie, lecz przynajmniej nie niosło ze sobą fizycznego zagrożenia. Nie musiałem też wykonywać innych jej poleceń, jak wtedy, gdy życzyła sobie, bym jej to robił.

Wydawało mi się, że to już nie wróci. Byłem jednak za mały, by wiedzieć, że los nie zawsze będzie mi sprzyjał, a przeszłość może jeszcze dać o sobie znać.

Łatwy dostęp

Do dziś pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego tata nie zaprosił mnie na swój ślub z Maureen. Kiedy mieszkał w Manchesterze, co miesiąc przyjeżdżał w niedzielę do Halifaxu, żeby się ze mną zobaczyć.

Zawsze cieszyłem się na myśl o jego odwiedzinach. Zabierał mnie do babci, a ona potrafiła zadbać żebym cały dzień świetnie się bawił. Tacie wystarczyło obserwowanie, jak babcia karmi mnie i rozpieszcza.

Tego niedzielnego ranka czułem się wyjątkowo obolały, bo poprzedniego dnia znowu dostałem lanie od Rega. Zbił mnie, gdy mama poszła po zakupy, a potem do koleżanki. Jak zwykle niczego się nie spodziewałem. Siedziałem na podłodze w salonie i oglądałem telewizję, gdy nagle Reg coś do mnie powiedział. Nie dosłyszałem - i nie wiem nawet, czy się odezwałem - w każdym razie nie zareagowałem dość szybko, bo rzucił się na mnie, zanim zdążyłem zerwać się na nogi i uciec na górę.

- Ja ci pokażę! Nie będziesz mnie ignorował!

Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć albo chociaż krzyknąć, zaczął okładać mnie pięściami po rękach, brzuchu i udach. Zwinąłem się na podłodze z bólu, a on wciąż mnie lał. Trwało to kilka minut, ale dla mnie była to cała wieczność. W końcu para z niego uszła i zostawił mnie płaczącego na dywanie.

Kiedy godzinę później wróciła mama, nic nie powiedziałem. Ona też milczała, choć musiała zauważyć moje zdenerwowanie.

Rano paskudne fioletowe siniaki na nogach i rękach zniknęły pod ubraniem, a na to, co działo się w domu, spuściliśmy zasłonę milczenia.

Tata zjawił się o zwykłej porze, lecz tym razem pojechaliśmy aż do Manchesteru. Wciąż mnie bolało. Chciałem mu o tym opowiedzieć, ale nie wiedziałem jak. Tata prowadził i - jak zawsze - był wobec mnie obojętny. Rozmawialiśmy tylko o samochodach, motorach i sporcie. Nie zapytał mnie, jak się czuję, a w każdym razie nie w taki sposób, bym mógł mu opowiedzieć, przez co przechodzę. Po prostu niezbyt go to interesowało. Jak zwykle więc nie powiedziałem nic, tak samo jak nie mówiłem mamie, co robi mi ona i Reg.

Zapomniałem o tym wszystkim, gdy przyjechaliśmy do Manchesteru. Wreszcie poznałem Maureen. Była wspaniała, więc od razu zacząłem o niej myśleć jako o swojej macosze. Troškliwie się mną opiekowała. Nie miała chyba rozdwojonej osobowości: nie było alkoholu, kłótni, wrzasków, bicia - no i nie chciała, żebym się z nią w nocy bawił.

Życie z tatą i Maureen w ich przytulnym domu na przedmieściach Manchesteru znacznie różniło się od życia w Ludden

Vale. Wreszcie zacząłem zdawać sobie sprawę, że rodzina, jaką tworzymy z mamą i Regiem, nie jest normalna. Pobyt u ojca sprawił, że mogłem cieszyć się tym, co było w nim dobre.

Wciąż miał swoje samochody i motory - pokazał mi je wszystkie. Był cierpliwy i spokojny - zupełnie przeciwieństwo mamy i Rega. Zawsze miał na mnie kojący wpływ, nigdy nie krzychał ani mnie nie bił i zawsze odpowiadał na wszystkie moje pytania, nawet te najgłupsze.

Poszedłem z tatą do jego pracy. Wielkie biurko w jego gabinecie zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie. Był wówczas jednym z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie i jego umiejętności były poszukiwane również za granicą. Zaczął pracę jako kreślarz, a potem został ekspertem od galwanizacji, sposobu na zabezpieczanie metalu przed rdzą. Na dodatek zajmował kierownicze stanowisko.

Coraz lepiej rozumiałem swoje relacje z tatą i nie mogłem pojąć jego obojętności. Byłem kopią matki - prócz rudych włosów i uśmiechu odziedziczyłem po niej głód uczuć. Być może wynikał on ze sposobu, w jaki zostałem wychowany. Reg nie zaspokajał mojej potrzeby czułości, matczyzna miłość zaś była skażona alkoholizmem.

Ponownie szukałem więc miłości w tacie. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, nie mogłem jej znaleźć. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że nigdy jej nie zaznam - a w każdym razie nie będzie to uczucie, jakiego pragnę i potrzebuję. Tata nie był złym ojcem - po prostu nie był dobrym. Jako ośmiolatek na swój sposób próbowałem zmniejszyć dzielącą nas przepaść, lecz tata nigdy nawet nie spojrział na mnie

z drugiego jej brzegu, więc poddałem się. Albo nie mógł się do mnie zbliżyć, albo nie chciał.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego pragnąłem bliskości ojca - w domu było coraz gorzej.

* * *

Coraz trudniej było mi znosić bicie Rega. Nigdy nie wiedziałem, kiedy i z jakiego powodu do niego dojdzie. Działo się to bez ostrzeżenia i ilekroć mamy nie było w domu, stawałem się kłębkim nerwów.

Strach przed Regiem był równie nieznośny, co sam ból. Jeśli chodzi o bicie, to przynajmniej wiedziałem, że gdy będzie już po wszystkim, tego dnia lanie już się nie powtórzy. Robiłem wszystko, żeby uspokoić Rega, ale bezskutecznie. Jeśli chciał mnie zbić, nic nie mogłem na to poradzić. Musiałem tylko uważać na różne znaki - choć i tak nie wpływało to zbyt na moją reakcję, bo w oczekiwaniu na najgorsze nie robiłem zupełnie nic. Powinienem był uciekać z domu, gdy tylko widziałem, jak zamieniał się w dyszącego wściekłością potwora. To byłoby sensowne rozwiązanie - dom miał drzwi, od frontu i od tyłu, więc bez trudu mógłbym uciec, a on nigdy by mnie nie dogonił.

Jednak nie uciekałem. Po prostu czekałem, aż zaczną na mnie spadać kolejne razy. Kiedy bicie się zaczynało, wiedziałem, że Reg szybko opadnie z sił. Uderzy mnie może dwadzieścia razy. Teraz jednak ciosy były inne niż kiedyś. Szok związany z tym, że ktoś mnie bije, minął. Przyzwyczaiałem się. Nie krzychałem już z bólu, a gdy było już po wszystkim, nie płakałem zbyt długo.

Dlatego właśnie jego ciosy stały się jeszcze silniejsze i jeszcze bardziej wściekłe. Bił mnie, jakby walczył z dorosłym. Strasznie bolało, ale postanowiłem, że nie dam mu tej satysfakcji - nie rozplączę się. Tak jak wcześniej, od razu zwijałem się w kłębek i czekałem, aż skończy. Dzięki temu mogłem przetrwać. Nie chciałem być bity, czułem jednak, że w jakiś sposób na to zasłużyłem. W końcu Reg był dorosłym, kimś w rodzaju ojca. Na pewno wiedział, co jest dla mnie najlepsze. Nie miałem pojęcia, czemu mi to robi, ale to nie znaczyło jeszcze, że robi źle. Uznałem, że problem tkwi we mnie, a nie w nim, więc znosiłem bicie i nie zadawałem pytań. Nadal też ukrywałem to przed mamą.

Skąd mogłem wiedzieć, że to moja uległość kazała mi pokornie przyjmować lanie, na które nie zasłużyłem? Skąd mogłem wiedzieć, że Reg całkowicie zniszczył swój rodzicielski autorytet, traktując mnie w tak okrutny sposób?

Tymczasem w moim życiu zaszła kolejna zmiana, jeszcze poważniejsza i bardziej niebezpieczna. Mama piła teraz coraz częściej - różnica była niewielka, lecz istotna. Kiedy wracałem do domu, matka nie raz miała już napoczętą butelkę. Obiad szykowała wcześniej, więc wieczorem wystarczyło go tylko odgrzać. Dzięki temu nie musiała zajmować się gotowaniem, gdy zaczynała tracić nad sobą kontrolę.

Zwykle siadała do stołu i jadła z nami, lecz czasem uciekała na górę od razu po podaniu jedzenia. Kiedy wracała ze swojego pokoju, wyraźnie było widać, że jest już porządnie wstawiona.

Zdarzało się, że w ogóle nie przygotowała dla nas obiadu i musieliśmy radzić sobie z Regiem sami - zwykle kończyło się na grzankach z fasolą lub sardynkami. Przygotowywa-

liśmy je zazwyczaj w milczeniu, odzywając się tylko wtedy, gdy było to konieczne - „podaj sól”, „chcesz jedną czy dwie?” „daj mi szklanę”. Tymczasem na gorze mama po cichu się upijała. A niekiedy robiła to całkiem głośno.

Z czasem Reg zaczął starać się jakoś nad nią zapanować, ale kiedy miał już dość, po prostu szedł spać, zostawiając ją samej sobie. Wtedy, jak zwykle, tłukła się po domu, dopóki całkiem nie opadła z sił. Ja w tym czasie siedziałem w łóżku i nasłuchiwałem, czy nie zrobi sobie krzywdy. Zdarzało się, że znajdowałem ją śpiącą na podłodze w kuchni. Wtedy jednak nie kazała mi się dotykać. Myślałem, że po prostu przestało ją to interesować. Tę część mojego życia spróbowałem zamknąć na klucz w swojej pamięci.

Gdybym tylko zdołał...

Teraz miałem prawdziwą sypialnię z prawdziwym łóżkiem. Bardzo się cieszyłem, bo wcześniej, żeby położyć się na swojej połówce, musiałem przebrnąć przez połamane meble i sprzęt ogrodniczy. Oznaczało to jednak, że mama miała do mnie łatwy dostęp.

* * *

Budzę się, wyrwany z głębokiego snu. Myślałem, że mama śpi, ale teraz ją słyszę... Idzie do mojego pokoju. Wypiła tyle, że ledwo trzyma się na nogach.

Wyłącznik światła w moim pokoju znajduje się na korytarzu. Nagle zapala się żarówka, a drzwi otwierają się na oścież. Mama stoi w progu. Jest półnaga. Mrugam, oślepiiony światłem, i patrzę na nią niepewnie.

- To ty, mamó? - chrypię, jeszcze nie do końca rozbudzony.

- Tak, to matka - odpowiada powoli, surowym tonem matrony.

Gdy siadam na łóżku i próbuję zorientować się, co się dzieje, ona rusza do przodu. Nie może ustać na nogach i nie upada tylko dlatego, że łapie się mojego łóżka. Pochyla się nad nim i patrzy na mnie swoimi martwymi, szklistymi oczami. Widziałem to spojrzenie już wiele razy.

Gwałtownym ruchem ściąga ze mnie kołdrę i zrzucają na podłogę. Natychmiast wyskakuję z łóżka. Wystarczająco często widziałem mamę pijaną i wiem, że szybko się to nie skończy. Nie chcę leżeć na łóżku, bez względu na to, co się za chwilę stanie.

- Czego chcesz, mamusiu? - z przerażenia słowa ledwo przechodzą mi przez gardło.

- Chcę, żebyś się ze mną pobawił, David.

Kładzie się na łóżku i rozkłada przede mną nogi.

Jestem wstrząśnięty i przerażony. Z impetem wracają wszystkie złe wspomnienia z Calder Bridge. Bicie przez Rega jest okropne, ale to, co dzieje się w tej chwili, jest po stokroć gorsze. Miałem nadzieję, że ten koszmar się skończył. Ze strachu ledwo mogę wydobyć z siebie głos.

- Mamusiu... ja nie chcę - dukam, cofając się.

- David! Chodź tu i rób, co każę!

Więc robię.

Podchodzę do niej i staję obok. Czuję smród brandy i robi mi się niedobrze. Widzę nagość mamy - choć przywykłem do tego widoku, zawsze odwracam wzrok. Teraz jednak nie mam wyboru.

Mama bierze moją dłoń i kładzie ją na swojej cipce. Pociera ją, leży i stęka.

Czuję się okropnie. To, co muszę robić, jest odrażające. Zbiera mi się na wymioty.

Mama pociera się moją dłonią jeszcze parę minut i odpycha ją. Pewnie się znudziła. Bardzo szybko się nudzi, kiedy jest pijana.

Cofam się znowu i modlę się w duchu, żeby nie zawołała mnie ponownie. Nie robi tego, próbuje wstać. Spada z łóżka na podłogę. Wstaje, opierając się o biurko, i bez słowa wychodzi. Trzaska drzwiami i gasi światło.

Stoję w ciemności i myślę o tym, co się przed chwilą stało. Wiem, że to, co zrobiliśmy, jest złe, ale w końcu to moja matka, a ja jestem jej synem. Muszę robić to, co mi się każe.

Podnoszę kołdrę i układam ją na łóżku. Wskakuję pod nią i nakrywam się aż za głowę. Leżę tak i modlę się, żeby tej nocy mama już do mnie nie wróciła.

* * *

Tamtej nocy nie wróciła, lecz wiedziałem, że nastąpią kolejne wizyty. Gdy byłem młodszy, radziłem sobie z tym, myśląc, że to zabawa. Teraz, choć nie do końca wiedziałem, co to seks, zorientowałem się, jaki charakter miały te spotkania.

Nie potrafiłem sobie poradzić z tym problemem. Nie miałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać, nikogo, kto powiedziałby mi, co mam zrobić. Było mi bardzo ciężko i rozpaczliwie szukałem ratunku. Kiedy miałem dziewięć lat, 30 kwietnia 1977 roku, zdarzyło się coś, co miało wszystko zmienić na lepsze: Reg ożenił się z mamą.

Kiedy mi o tym powiedzieli, uznałem, że to fantastyczna nowina. Sądziłem, że może dzięki temu staniemy się wreszcie

prawdziwa rodziną albo że chociaż nas to zbliży. Mieszkaliśmy już razem parę lat. Ślub miał odmienić nasze życie. Byłem przekonany, że Reg spojrzy na mnie łaskawszym okiem, gdy będę już jego prawowitym pasierbem, i że wizyty mamy w mojej sypialni wreszcie się skończą.

W tym wielkim dniu mama wyglądała olśniewająco. Miała na sobie białą sukienkę i przepiękny biały kapelusz. Była spokojna i cieszyła się z całej ceremonii. Ślub odbył się w urzędzie stanu cywilnego w Halifaxie, lecz było to dla mnie miejsce równie dostojne, jak kościół. Reg wystroił się w elegancki trzyczęściowy garnitur i puszył się jak paw - jak każdy mężczyzna biorący za żonę swoją ukochaną. Oboje wyglądali na bardzo szczęśliwych i - mimo dużej różnicy wieku - doskonale do siebie pasowali. Ja miałem na sobie nowe spodnie, koszulę i krawat, które tym razem mama kupiła w normalnym sklepie. Na ślub przyszło tylko kilkoro gości, ale to nie było ważne. Zjedliśmy pyszny obiad w drogiej restauracji.

Kelner zorientował się, że byliśmy na ślubie.

- Mama wyszła właśnie za mojego dziadka - wyjaśniłem z dumą, uśmiechając się od ucha do ucha. Kelner spojrzał na mnie zaskoczony, a pozostali wybuchli śmiechem.

Jako rodzina prezentowaliśmy się doskonale. Miałem nadzieję, że będzie to początek nowego rozdziału w naszym życiu.

* * *

Rzeczywistość była jednak inna, niż sobie wyobrażałem. Pewnego dnia, gdy mama wypiła już dość dużo - ale jeszcze nie tyle, by stracić nad sobą kontrolę - zrobiła się bardziej

rozmowna niż zwykle, gdy chodziło o jej związek z Regiem. Powiedziała, że ze względu na jego wiek postanowiła zabezpieczyć swoją przyszłość, a tylko ślub mógł jej zagwarantować, że po śmierci Rega odziedziczy dom.

Byłem pewien, że Reg i mama kochają się na tyle, by przypieczętować swój związek ślubem. W razie potrzeby mama potrafiła być jednak bardzo pragmatyczna albo wręcz wyrachowana. Dopóki Reg żył, świetnie radziła sobie z pieniędzmi, lecz gdyby umarł, a ona nie odziedziczyłaby domu, nastąpiłaby katastrofa. Matka nie mogła na to pozwolić.

Jednym z jej zmartwień była Pauline, córka Rega, mieszkająca wraz z rodziną w gospodarstwie na końcu naszej ulicy. Wydarzyło się bowiem coś, co doprowadziło do rozłamu między naszymi rodzinami. Nie wiedziałem jednak, co to było. Próbowałem zapytać o to i mamę, i Rega, ale nie chcieli powiedzieć, a ja wiedziałem doskonale, czym może się skończyć zbytnia dociekliwość.

Sprawa była na tyle poważna, że Reg przestał odzywać się do córki i członków jej rodziny. Domyślałem się, że chodziło o moją mamę. Pewnie uznali, że chce go oskubać. W końcu nawet ja, w wieku dziewięciu lat, wiedziałem, że niewielu ludzi rozumiało, czemu młoda, atrakcyjna kobieta związała się z grubym, łysym facetem, starszym od niej o trzydzieści pięć lat.

Rzeczywistość była jednak inna. Kiedy się poznali, choć na domu nie ciążyła hipoteka, był w opłakanym stanie. Został odremontowany właśnie dzięki wysiłkom mamy, która podjęła pracę na cały etat i umiała świetnie gospodarować pieniędzmi. To dzięki niej pojawiły się nowe meble, a dom można było

rozbudować. Reg wiódł z nią życie, które ani trochę nie przypominało wegetacji emeryta. Dużo podróżował, bo mama zadbała, żeby wyjeżdżał na wycieczki organizowane przez miejscowy klub seniora.

Reg był prostym robotnikiem, człowiekiem starej daty, o niezbyt wyszukanym guście. Mimo to niczego mu nie brakowało - mama dbała, żeby wszystkie jego potrzeby zostały zaspokojone. Nigdy nie musiał płacić rachunków, chodzić po zakupy, zajmować się finansami ani załatwiać spraw związanych z domem. Im był starszy i bardziej zależny od matki, tym bardziej go wspierała.

Niestety, życie z nią miało swoją cenę. I to właśnie mogło być przyczyną kłótni z Pauline. Chodziło o alkohol. Zacząłem dostrzegać pewien model zachowania mamy, który powtarzał się w przypadku wielu jej znajomości. Prawie każda z nich kończyła się katastrofą.

Najpierw się z kimś zaprzyjaźniała. Gdy poznali się lepiej, zaczęli prowadzić coraz bardziej osobiste rozmowy. Mamie łatwo było mówić o sprawach osobistych i potrafiła zachęcić innych, żeby się przed nią otworzyli. Kiedy uznawała, że zna kogoś wystarczająco dobrze, zdobywała jego numer telefonu i zaczynała do niego wydzwaniać.

Wtedy zaczynały się kłopoty. Nie chciała przekroczyć granic przyzwoitości, od razu dzwoniąc do czyjegoś domu. Po prostu lubiła sobie pogadać, a kiedy się z kimś zaprzyjaźniła, usta jej się nie zamykały. Na początku rozmowy telefoniczne były niewinne - miłe i niezobowiązujące. Problem w tym, że potrafiła mówić bez przerwy i trzeba się było nieźle namęczyć, by móc

wreszcie odłożyć słuchawkę. Kiedy byłem starszy i dzwonili do mnie kumple, ich też potrafiła zagadać na śmierć.

- Twoja matka nie zamknie się, póki człowieka nie uspi
- powiedział mi kiedyś kolega.

Jeden z przyjaciół mamy ujął to inaczej. Jeśli zadzwoniła do niego, a jego żony akurat nie było w domu, to ucinała sobie z nim dłuższą pogawędkę.

- Twoja matka potrafi doskonale wyczuć, kiedy zaczyna się mecz rugby - śmiał się. - Człowiek ma szczęście, jeśli uda mu się wtedy obejrzeć drugą połowę.

Legendarne gadulstwo mamy nie było jednak poważnym problemem. Większość ludzi cierpliwie je znosiła. Problem pojawiał się, gdy uznawała, że może rozmawiać z kimś po alkoholu. Po wypiciu butelki brandy była już kompletnie pijana i nie była w stanie wyjść z domu. Zapominała wtedy o dobrych manierach. Jej znajomi, nawet bliscy, nie mieli pojęcia, jak strasznie się upijała, bo nigdy tego nie widzieli. Dzięki telefonowi mogła z nimi jednak przynajmniej rozmawiać. Puszczaly jej wtedy wszystkie hamulce i nigdy nie było wiadomo, co zaraz powie. Zupełnie nie miała wstydu.

Niektórzy ludzie jakoś to znosili i uprzejmie słuchali, jak wylewa swoje żale. Inni z trudem podejmowali próby zakończenia rozmowy, co tylko ją nakręcało i wyzwalało w niej agresję. Zwykle jedna taka rozmowa nie wystarczała, jednak prędzej czy później w ten sposób kończyła się każda jej znajomość. Matka miała straszną huśtawkę nastrojów. Mogła z kimś spokojnie gawędzić, po czym nieoczekiwanie wybuchnąć płaczem i szukać pocieszenia, by po chwili śmiertelnie obrazić swojego rozmówcę.

To właśnie mogło doprowadzić do rozłamu między nami i rodziną Rega. Kiedy dowiedzieli się, że nadużywa alkoholu, a na dodatek po pijaku do nich wydzwaniła, mieli prawo się zdenerwować. Być może nigdy nie dowiem się, co konkretnie spowodowało ten konflikt, lecz rodzina Pauline po prostu przestała się do nas odzywać.

Regowi nie mogło się to podobać - w końcu chodziło o jego córkę i wnuki. Ich pola okalały nasz dom, więc zawsze pracowali gdzieś w pobliżu. Co więcej, jedyny sensowny dojazd do ich gospodarstwa wiódł przez naszą drogę, więc Reg widział ich każdego dnia, choć traktowali się nawzajem jak powietrze.

Matka tylko pogarszała sytuację. Nie potrafiła przeprosić i nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby się mylić. Często widziałem, jak zakrzykiwała Rega i zmuszała go do posłuszeństwa, aż nauczył się, że nie wolno się jej sprzeciwiać. Wiedziałem jednak, że kochają tak bardzo, iż gotów jest zapomnieć o własnej rodzinie, byle tylko nie stracić żony.

* * *

Nie tylko rodzinie Rega nie podobał się jego związek z mamą. Mój prawdziwy dziadek - ojciec mamy - również był mu przeciwny. Dziadek Fred był starszy od Rega zaledwie o rok. Bardzo go lubilem. Od kiedy babcia Sandra zmarła prawie dwanaście lat wcześniej, w 1966 roku, wynajmował dom we wsi Chisendale, w której wychowała się mama.

Dziadek był tam bardzo lubiany. Jeździł samochodami przez całe życie i miał nawet własny, więc często podwoził starszych ludzi na zakupy. Wszyscy go znali. Jego suczka, Bessie, była

naszym ulubionym zwierzakiem już od szczeniaka. Na początku *należała* do moich rodziców, ale potem dziadek zabrał ją do siebie. Bessie była bardzo spokojnym psem. Wyglądała jak labrador. Dziadek nigdy się z nią nie rozstawał. Codziennie kupował jednego loda dla siebie, a drugiego dla psa. Koło domu przejeżdżały dwa samochody, z których sprzedawano lody - Bessie potrafiła je rozróżnić. Kiedy pierwszy wygrywał swoją melodyjkę, ani drgnęła, a gdy podjechał drugi, natychmiast zrywała się i szczekała, żeby zawiadomić swojego pana.

Dziadek miał szelmowski uśmiech i wesołe usposobienie. Lubił robić psikusy. Brał na przykład kalosz i wrzucał do niego psi przysmak. Bessie w poszukiwaniu ciastka wsuwała pysk w cholewę i paradowała z kaloszem na głowie. Pozbywała się go dopiero wtedy, gdy udało się jej złapać przekąskę. Regularnie odwiedzaliśmy dziadka. Mieszkał przy samej ulicy, ale okolica była cicha. Dziadek zabierał nas na spacer po łące, opisywał różne rośliny i kazał nam wąchać kwiaty. Nauczył mnie grać w szachy i choć sam był świetnym szachistą, czasem zdarzało mu się powiedzieć, że dałem mu twardy orzech do zgryzienia.

Pewnego razu odwiedziłem go w jego urodziny, które wypadają w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Zawsze odwiedzało go mnóstwo ludzi, ponieważ miał wielu przyjaciół i braci. Najbardziej podobało mi się, gdy poprosił mnie, żebym przeczytał mu na głos książkę. Był to dla mnie wielki zaszczyt. Kiedy skończyłem, wszyscy bili brawo. Dziadek mało nie pękł z dumy. Ja też.

Czasem myślę jednak, że dziadek mógł mieć drugie oblicze, którego mi nie pokazywał. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek odwiedził go z Regiem. Wiem, że nie podobało

mu się, że mama wyszła za dużo starszego *mężczyznę*. Trudno było żyć z mamą pod jednym dachem, lecz Reg zdobył się na to i stworzyli udane małżeństwo. Dziadek nie chciał tego zrozumieć i nigdy w pełni nie zaakceptował ich związku.

Potrafił być też surowy i miał cięty język.

- Pamiętaj, chłopcze, że umiem sobie poradzić z wnukami!
- mówił, gdy wystawiałem jego cierpliwość na próbę.

Kiedy raz pozwoliłem sobie mu odpysknąć, od razu tego pożałowałem.

- Marsz na górę, szatanie! - zagrzmiał.

Mama czasem opowiadała innym tę historię i zawsze bardzo ją to śmieszyło. Zacząłem jednak zdawać sobie sprawę, że jeśli dziadek potrafił tak surowo obejść się z wnukiem, to wobec mamy, gdy była dzieckiem, mógł być jeszcze gorszy.

W maju 1978 roku, jakiś miesiąc po moich dziesiątych urodzinach, znalazłem na kuchennym stole list, który dziadek napisał do mamy.

Droga Carol,

podupadłem ostatnio na zdrowiu. Chcę, żebyś była ze mną w kontakcie. Dzwoń kilka razy w tygodniu.

Tata

Choć byłem jeszcze mały, zdziwił mnie surowy ton tego listu. Wziął się zapewne stąd, że dziadek należał do pokolenia, które raczej rzadko okazywało uczucia. Tak czy inaczej, był to dość niezwykły list, jak na pismo, w którym ojciec informował córkę, że jego życie dobiega końca.

Parę miesięcy później mama przekazała mi smutną wiadomość: dziadek zmarł tuż przed swoimi siedemdziesiątymi pierwszymi urodzinami. Rozpłakałem się, bo głęboko odczułem jego stratę. Brakowało mi naszych partii szachów i spacerów po łące.

Po pogrzebie pojechaliśmy z mamą do jego domu, żeby uporządkować rzeczy. Znaleźliśmy notatnik. W każdą sobotę pojawiała się w nim notatka: „17.30 T&J”. Nie wiedzieliśmy, o co chodziło, dopóki kilka tygodni później naszej zagadki nie rozwiązała telewizja.

- No tak! - krzyknęła mama.
- Co „tak”? - zapytał Reg.
- T&J to Tom i Jerry - wyjaśniła z uśmiechem.

Dziadek zapisywał godzinę, o której w telewizji pojawiał się *Tom i Jerry*, żeby nie zapomnieć o programie. Cieszyłem się, że tak bardzo lubił kreskówki.

W swoim notatniku dziadek zapisywał też różne maksymy, na przykład: „Pesymista widzi szklankę z wodą i mówi, że jest w połowie pusta; optymista uważa, że jest w połowie pełna”.

Takie wpisy zaciekały mnie, lecz jako mały chłopiec nie wiedziałem, jak ważne staną się dla mnie, gdy będę starszy. Dziadek był jednak w moim życiu wyjątkową postacią. Kiedy go zabrakło, ogarnął mnie żal.

Przejszcie

Do dziś nie mam pojęcia, jak śmierć dziadka wpłynęła na mamę. Choć co roku przypominała o urodzinach swojej matki, ani razu nie wspomniała o urodzinach ojca. W związku z tym, że wypadły w drugi dzień Świąt, łatwo było zapamiętać tę datę, jednak po jego śmierci nie mówiła o nich ani razu i nigdy nie dowiedziałem się, jakie panowały między nimi stosunki.

Dziadek miał silny charakter. Na pewno chciał, żeby jego dzieciom się powiodło. Z całą pewnością powiodło się bratu mamy, wujkowi Jimowi - odniósł w życiu oszałamiający sukces. Mama natomiast nie miała się czym pochwalić. Być może różnice między dziećmi sprawiły, że dziadek wywierał większą presję na mamę i traktował ją inaczej niż wujka. Może dlatego po opuszczeniu rodzinnego domu popadła w alkoholizm i uzależnienie od leków.

Słyszałem kilkakrotnie, zarówno od przyjaciół, jak i od rodziny, że dziadek prawdopodobnie wykorzystywał ją sek-

sualnie. Nie mam pojęcia, czy to prawda. Jeśli tak, to czy na jej pijacki rozum to, co kazała mi ze sobą robić, było normalne, boją spotkało to samo?

A może to życie w cieniu utalentowanego brata skrzywiło jej psychikę i sprawiło, że zaczęła ze mną robić te straszne rzeczy? Wszystko to nie wyjaśniało jednak, dlaczego jej brat również przez całe życie pił i zmarł dość młodo.

Nie wiem, i pewnie nigdy się nie dowiem, czy to z winy swoich rodziców mama i wujek Jim mieli problemy. Dziadek zmarł w wieku siedemdziesięciu lat. Wychował *dzieci* tak, że jedno i drugie przez całe swoje życie siało wokół chaos, zniszczenie i ból.

Pewne fakty, o których ojciec opowiedział mi, gdy byłem już dorosły, pomogły mi dopasować elementy układanki, dotyczące dzieciństwa mamy. Jej problemy zaczęły się, gdy miała kilkanaście lat. Zanim jeszcze zaczęła pić, uzależniła się od leków. W 1963 roku, jako osiemnastolatka, rozpoczęła staż na stanowisku pielęgniarki w szpitalu w Halifaxie. Podczas nocnych dyżurów zaczęła podkraść leki. Być może chciała dzięki nim poradzić sobie z sennością, ale w końcu się uzależniła.

Kiedy w czerwcu 1966 roku zdawała egzaminy końcowe, zmarła jej matka. Mama miała wtedy tylko dwadzieścia jeden lat. Choć uzyskała dyplom w lutym 1967 roku i pracowała jako pielęgniarka przez trzy lata nauki, nigdy nie wróciła do zawodu. W tym czasie spotykała się już z tatą. Pobrali się kilka miesięcy później, w listopadzie 1966 roku.

Tata mówił, że gdy brali ślub, nie wiedział o tkwiących w matce demonach - przez całe życie potrafiła je ukrywać - a problem alkoholu i leków wyszedł dopiero po ślubie.

Myślę, że tata szybko odkrył, jak bardzo było z nią źle, choć niechętnie wspominał tamten okres. Kiedy jednak zaczął mówić, nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem.

Pewnego razu, jeszcze przed moim narodzeniem, mama tak się upiła lub przedawkowała leki, że biegła nago po ulicy w Calder Bridge. Ojciec gonił ją dopóty, dopóki nie zatrzymał jej jakiś mężczyzna.

Kiedy skończyła szkołę, straciła dostęp do leków, od których zdążyła się uzależnić. Wówczas w aptekach powszechną praktyką było wystawianie na ladę lekarstw zamawianych przez pacjentów. Mama wiedziała, jakich leków potrzebuje - kradła je i zażywała w domu. W małej wsi proceder ten musiał się wydać.

Takie zachowanie było zadziwiające, zwłaszcza w przypadku mojej matki - tak surowo wychowanej przez rodziców i przez wiele lat uczęszczającej na nabożeństwa do kościoła metodystów.

Choć jako dziecko chodziłem do kościoła razem z nią, nigdy nie byliśmy zbyt religijni. Nie modliliśmy się przed posiłkiem ani przed snem - po prostu w niedzielę chodziło się na nabożeństwo. Wiedziałem jednak, że było to dla niej ważne - jakby tylko w kościele mogła odnaleźć spokój, którego tak bardzo pragnęła.

Choć sumienie nie dawało jej spokoju, drzemiące w niej demony potrafiły zmusić ją do kradzieży. Była gotowa ukraść wszystko, nawet leki.

Jej zachowanie było dla ojca strasznym ciosem. Był, i nadal jest, jednym z najspokojniejszych i najbardziej przyjaznych ludzi, jakich znam, lecz kiedy mówi o matce,, w jego głosie można

wyczuć ogromny smutek. Kiedy niedawno zapytałem go o życie z nią, odwrócił wzrok, zamilkł, a potem potrząsnął głową. Gdy znowu na mnie spojrział, w jego oczach ujrzałem ból wspomnień prześladowających go od trzydziestu pięciu lat.

- Przepraszam, nie mogę. To było straszne.

* * *

Choć matka rzadko mówiła o swoim dzieciństwie, powoli zaczynałem się orientować, jak wyglądała jej rodzina. Wiem, że jej rodzice byli surowi, lecz dobrzy. Pobrali się w 1933 roku, więc byli małżeństwem od dwunastu lat, gdy w 1945 roku urodziła się mama. Mieli już wtedy syna, Jima, więc musieli mieć jakieś pojęcie o wychowywaniu dzieci. Nigdy nie poznałem swojej babci, Sandry Stones, lecz niedawno spotkałem osobę, która czterdzieści lat temu pracowała z nią w bibliotece publicznej w Chisendale. Tam urodziła się i wychowała moja mama. Kobieta opisała moją babcię jako osobę wesołą i trochę roztrzępaną. Bibliotekarka uwielbiała mamę i wujka Jima. Obsypywała ich prezentami i wyrażała się o nich z taką czułością, z jaką matki mówią o swoich dzieciach. Nie zmieniło się to także później, gdy mama spotykała się z ojcem.

Ojciec mojej matki, Fred, był *znacznie* bardziej surowy. Jego praca polegała na pobieraniu składek ubezpieczeniowych w domach klientów. Cieszył się w okolicy sławą dobrego szachisty. Grywał korespondencyjnie nawet z czterdziestoma przeciwnikami naraz. Ponieważ praca nie była jego pasją, ale lubił ją, wielokrotnie rezygnował z awansu. Miał siedmiu braci. Wszyscy byli bardzo inteligentni, choć z wyboru wykonywali

pracę *fizyczną*. Mieli szansę się rozwinąć, jednak ze względu na purytańskie poglądy postanowili z niej zrezygnować.

Ich podejście do życia najlepiej ilustruje pewna sytuacja. Jeden z braci dziadka dostał życiową szansę. Pracował w młynie i zdobył stypendium w Oxfordzie. W latach dwudziestych dla chłopaka z klasy robotniczej z północnej Anglii była to niesamowita szansa. Wyjechał więc na uczelnię, ukończył studia, a następnie - aż trudno w to uwierzyć - wrócił do rodzinnego miasta i do pracy w młynie, ponieważ uważał, że nie powinien wykorzystywać swojej inteligencji.

Starszy brat matki, Jim, był mądry i utalentowany. W szkole zdobył mnóstwo nagród, w tym „Victor Ludorum” dla najlepszego ucznia ze swojego rocznika. Zagrał główną rolę w szkolnym przedstawieniu, uprawiał sport i ustanowił rekord szkoły, zdobywając 95% punktów na końcowym egzaminie z matematyki. Jim był przystojny, błyskotliwy, potrafił każdego rozbawić i miał cięty język. Świat stał przed nim otworem. Babcia Sandra, bardzo opiekuńcza wobec swoich dzieci, napisała skargę do władz Oxfbrdu, twierdząc, że jej syn nie dostał się na uniwersytet z powodu dyskryminacji klasowej. Co więcej, jej list i niezbyt przekonującą odpowiedź władz uczelni opublikowano w lokalnej prasie.

Jim różnił się jednak od ojca i braci pod jednym względem. Wykorzystał swoją inteligencję, żeby zbić majątek. Został inżynierem górnictwa. Aby zdobyć dyplom, wyjechał do Ghany. Zanim wrócił z Afryki, wypijał już butelkę whisky dziennie. Miał dopiero dwadzieścia kilka lat i, choć był bardzo zdolny, a życie stało przed nim otworem, aż do śmierci pił ogromne ilo-

ści alkoholu. Zmarł w wieku czterdziestu dziewięciu lat, choć do grobu wpędził go nowotwór, a nie picie. Nie pozostawił testamentu, chociaż był bogaty i miał sześcioro dzieci z trzech małżeństw. Musiał wiedzieć, jakie problemy z tego wynikną, więc nie mogłem się nadziwić, że jako roztropny i inteligentny człowiek nie zadbał o uregulowanie spraw majątkowych.

Z całej rodziny alkoholizm dotknął tylko Jima i mamę. Wyczuwałem, że w okresie dorastania pozostawała w cieniu swojego brata. Jim był synem prawie idealnym - towarzyski, inteligentny, lubiany sportowiec i aktor, a do tego wzorowy uczeń. Mama natomiast nie błyszczała. Doskonale radziła sobie z angielskim w mowie i w piśmie, lecz poza tym w niczym nie mogła się równać z Jimem. Być może rzeczywiście to brat przyczynił się do jej problemów emocjonalnych. Ale w takim razie czemu i Jim popadł w alkoholizm?

Mroczna strona osobowości mamy oznaczała poważne konsekwencje dla wszystkich, którzy się z nią stykali. Alkohol powodował w niej tak diametralną zmianę, że chyba zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. To był jeden z głównych powodów, dla których nigdy nie powiedziałem jej, co się między nami wydarzyło - po prostu niczego nie pamiętała. Na trzeźwo za nic nie potrafiła utrzymać języka za zębami - musiała wszystko wypaplać. Nie wierzę więc, żeby wiedziała, co się działo, gdy wypijała, a jednak nie wspominała o tym ani słowem.

Było wiele takich poranków, kiedy chciałem powiedzieć mamie, co zrobiła mi w nocy, lecz nigdy się nie odważyłem. Za dnia życie z nią w niczym nie przypominało koszmaru,

nigdy więc nie zdołałem wyjawić jej tej potwornej prawdy. Czasem nawet sam wątpiłem w swoje wspomnienia i przytomność umysłu.

Jedynym sposobem na przetrwanie tego konfliktu było dla mnie uznanie, że Jasna Mamusia nie zdawała sobie sprawy z istnienia Mrocznej Mamusi i że gdyby kiedykolwiek się spotkały, doszłoby do niewyobrażalnej katastrofy. Dlatego właśnie tylko garstka ludzi wiedziała o tym, co działo się w naszym domu. Gdybym nie zdecydował się na napisanie książki, nikt nie poznałby całej prawdy.

Na celowniku

Kiedy miałem jedenaście lat i chodziłem do ostatniej klasy podstawówki, nadal byłem bardzo grzeczny i rzadko wpadałem w tarapaty. Kiedyś na przykład powiedziałem do nauczycielki: „do diabła”. Nie sądzę, żeby było to najgorsze przekleństwo na świecie, ale i tak zostałem wyrzucony z klasy i musiałem czekać na korytarzu na powrót dyrektora, który wybrał się akurat na przejażdżkę motocyklem. Kiedy wrócił, puknął mnie parę razy swoim kaskiem w głowę. Strasznie się wtedy popłakałem.

Z nauką radziłem sobie bardzo dobrze. Przez ostatnie dwa lata podstawówki byłem drugim uczniem w szkole pod względem wyników. Bardzo się z tego cieszyłem, a i mama była zadowolona. Moje osiągnięcia sprawiały mi tym samym jeszcze większą przyjemność. Stanowiło to powód do radości zarówno dla mnie, jak i dla mojej mamy.

Mama codziennie kazała mi czytać, jednak do samej nauki się nie wtrącała. Pilnowała tylko, żebym odrabiał lekcje i chodził do szkoły. Przez ostatnie dwa lata nauki, 1977-79,

nie opuściłem ani jednego dnia w szkole. Rok wcześniej miałem tylko dwie nieobecności. Musiałbym leżeć na łożu śmierci, żeby nie pójść do szkoły.

Nie miałem talentu do sportu, ale jak większość chłopców bardzo chciałem być częścią grupy. Kilka razy zagrałem w szkolnej drużynie futbolowej i wypadłem całkiem przyzwoicie. Pokazałem, że mam ducha walki i potrafię ciężko pracować na boisku.

W Boże Narodzenie spotkała mnie wspaiała niespodzianka. Kilkoro uczniów z mojej klasy mogło pójść do domu naszej nauczycielki i pomóc jej w pieczeniu słodkich bułeczek na świąteczny poczęstunek. Nazwiska uczniów wylosowano z czapki. Kiedy znalazłem się w grupie wybrańców, nie posiadałem się z radości. Po szkole szczęśliwi uczniowie poszli do domu pani Greenham. Mieszkała w Calder Bridge - w dużym, nowoczesnym bungalowie, z którego okien rozciągał się widok na dolinę. Pani Greenham była szczupłą, atrakcyjną kobietą. Kiedyś zszokowała nas, pokazując zdjęcie, na którym karmi piersią. Jej mąż był właścicielem szwalni znajdującej się jakieś pięćdziesiąt metrów od naszego dawnego domu przy złomowisku. Od kiedy przeprowadziliśmy się do Ludden Vale, rzadko bywałem w Calder Bridge, więc dziwnie się czułem. Okolica przywołała złe wspomnienia - cały koszmar powrócił. Niemniej jednak wieczór był bardzo udany.

W domu działało się jednak coraz gorzej. Reg już nie tylko bił mnie rękoma, ale i kopał. Zupełnie jakby wypracował sobie odpowiednie tempo bicia. Ba, był nawet dumny ze swojego „dzieła” ale pracował nad nim tylko pod nieobec-

ność mamy. Choć bałem się tych długich nocy, gdy mama była pijana, jeszcze bardziej bałem się dni, kiedy zostawiała mnie pod opieką Rega. Staralem się znaleźć jakąś wymówkę, żeby wyjść z domu, lecz Reg zdawał się mnie obserwować i czekać na odpowiednią chwilę, by rzucić się na mnie niczym tygrys na swoją ofiarę.

Teraz, kiedy mnie atakował, wytrzymywał dużo dłużej niż na początku, gdy tylko okładał mnie pięściami. Pilnował się, by nie kopnąć mnie zbyt mocno i nie zrobić mi krzywdy, lecz grad ciosów i kopniaków wykańczał mnie fizycznie i psychicznie. Po takim laniu siedziałem w swoim pokoju jeszcze długo po tym, jak zdyszany Reg wrócił na dół. Nie wychodziłem stamtąd nawet po powrocie mamy.

Co ciekawe, po tym, jak Reg „dał mi nauczkę”, mama nigdy mnie nie wołała. Zresztą może wołała, ale byłem zbyt obolały i słaby, żeby zejść do salonu. W końcu udawało mi się wstać i wślizgnąć pod kołdrę. Płakałem wtedy tak długo, aż zasnąłem. Noce po biciu przespiałem tak mocnym snem, że nie wiedziałem nawet, czy mama po pijaku demoluje parter. Może to i lepiej.

To jednak także miało się zmienić. Do tej pory myślałem, że to niemożliwe, by tej samej nocy dopadli mnie oboje. Wkrótce przekonałem się, jak bardzo się myliłem.

* * *

Gdy miałem jedenaście lat, zacząłem inaczej patrzeć na dziewczęta. Wiedziałem, że kilku chłopców z mojej klasy chodziło już z dziewczynami, na mnie jednak żadna nawet

nie spojrziała. Pewnego dnia zaprosiłem jedną z koleżanek do kina w Ludden Bridge. Nazywała się Sally Seymour. Była długowłosą szatynką, spokojną i nieco wyniosłą. Uważałem ją za najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Podo- bała się wielu chłopakom i aż trudno mi było uwierzyć, że zgodziła się umówić akurat ze mną.

Świetnie się bawiliśmy. Najpierw zjedliśmy coś u mnie w domu, a potem poszliśmy na film. Grali właśnie *Supermana* - wielki przebój lata 1979 roku. Gdy siedzieliśmy w ciemno- ściach, wyobrażałem sobie, że jestem Clarkiem Kentem, a Sally - Lois Lane. Chciałem ocalić ją przed śmiertelnym niebezpie- czeństwem, czyhającym na nią w Ludden Bridge. Zrozumiałaby wtedy, że naprawdę jestem Supermanem - że jestem wysoki, szczupły, przystojny, mam wspaniałe mięśnie, niesamowity inte- lekt i doskonałą pamięć, a do tego jestem uprzejmy, rozsądny i dowcipny - jak Christopher Reeve. Wszyscy chłopcy w szkole zazdrościliby mi i oszaleliby na jej punkcie.

Nie mogłem się doczekać poniedziałku i spotkania w szkole. Od razu powiedziała mi jednak, że nie chce już ze mną chodzić.

Byłem zdruzgotany.

Wiem, że to normalne i że przydarza się milionom dzie- ciaków na całym świecie, ale odrzucenie było dla mnie potęż- nym ciosem. Przez następne lata, gdy zrywały ze mną kolejne dziewczyny - a działo się tak bardzo często - zawsze ciężko to przeżywałem. Może byłem zbyt natrętny? A może uważały, że nie jestem wystarczająco czarujący albo mam słaby charakter. Czasami jednak, gdy sprawy przybierały korzystniejszy obrót, czułem, że jestem królem świata.

Wiem, że byłem sympatyczny, a swoimi żartami potrafiłem rozśmieszyć każdego. Nie cieszyłem się jednak zbyt dużą popularnością i nie miałem wielu przyjaciół. Koleżanki i koledzy pojawiali się i znikali i nie czułem, żeby ktokolwiek z nich stał mi się szczególnie bliski. Właściwie taki stan rzeczy mi odpowiadał. Może dręczyło mnie przekonanie, że nie jestem zbyt przystojny. Na domiar złego miałem rude włosy i wciąż seplenilem.

* * *

Moje życie stanęło na głowie, gdy we wrześniu 1979 roku poszedłem do szkoły średniej.

Przejęcie z najstarszej klasy w szkole do pierwszej klasy w innej sprawiło, że musiałem szybciej dojrzeć. Niektóre rzeczy bardzo mi się podobały - wielki budynek i tłumy ludzi na korytarzach. Na koniec półroczna otrzymałem wyróżnienie za sumienność. Obcowanie z dużo starszymi dziećmi otworzyło przede mną wrota świata, z którego istnienia nie zdawałem sobie dotąd sprawy. Podobała mi się wrzawa panująca w nowej szkole.

Moją ulubioną część szkolnego rozkładu dnia stanowił obiad. Większość dzieci nie przepadała za nim, bo jedzenie nie było najsmaczniejsze, lecz ja przywykłem do prostych posiłków, dlatego szkolna stołówka stanowiła dla mnie miłą odmianę - prawie zawsze brałem dokładkę.

Oprócz blasków były również cienie. Czułem tam jeszcze większą potrzebę wtopienia się w tłum. Nie chciałem różnić się od innych dzieci. Kiedy jednak po paru pierwszych tygodniach nauki wyszło na jaw, że nam się nie przelewa, natychmiast zostałem naznaczony.

Każdy uczeń miał obowiązek nosić szkolny mundur. Mamy nie było jednak stać, żeby kupić mi go już na początku semestru. Napisała więc do szkoły pismo, w którym zobowiązała się kupić marynarkę w późniejszym terminie. Oczywiście nie muszę mówić, że każdy chłopak w szkole - oprócz mnie - miał taki blezer, a do tego „normalny” szkolny granatowy sweter i niebieską bawełnianą koszulę, które kupowało się w sklepach ze szkolną odzieżą. Mama nie poszłaby jednak do takiego sklepu, gdyby nie została do tego zmuszona.

Na pierwszym szkolnym zdjęciu, zrobionym kilka tygodni po rozpoczęciu nauki w liceum w Ludden, jestem ubrany w używany sweter o dziwnym splocie i szarą nylonową koszulę. Nie mam marynarki. Jedyny nowy element ubrania, który upodabnia mnie do innych uczniów, to krawat. Nie cierpiałem być w centrum uwagi, a jednak widać mnie było w tłumie na pierwszy rzut oka. Wszyscy szybko zorientowali się, że nie mamy pieniędzy, zwłaszcza że dostawałem darmowe obiady. Z tego powodu też bez przerwy się ze mnie naśmiewali. Brak pieniędzy nigdy mi nie przeszkadzał - problemem stawał się w szkole, gdy chciałem być taki jak wszyscy. Na domiar złego miałem krzywe zęby i rudą czuprynę.

Pewnego razu, tuż przed wyjściem na przerwę obiadową, podeszła do mnie Lauren, jedna z najpopularniejszych dziewczyn w klasie.

- Cześć, co słyhać? - zapytała ni stąd, ni zowąd.

- Nic ciekawego - odpowiedziałem ostrożnie, zastanawiając się, co mnie za chwilę spotka.

Lauren miała dużo pieniędzy i modnie się ubierała, przez co wszystkie dziewczyny chciały się z nią przyjaźnić.

Do tego była prześliczna - miała klasyczną urodę. Podobała się wszystkim chłopakom w szkole. Dzieliła nas spora przepaść i Lauren nigdy by się do mnie nie odezwała. Kiedy więc mnie zagadnęła, wszyscy momentalnie odwrócili się w naszą stronę. Cała klasa zamarła.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytała ze słodką miną.

- Jasne - odparłem. Ucieszyłem się, że chodzi o przysługę, a nie wystawienie mnie na pośmiewisko.

- Możesz coś powtórzyć?

- Pewnie.

- W czasie suszy szosa sucha.

Powtórzyłem to zdanie i cała klasa zaczęła śmiać się wniebogłosy. Nie udało mi się wymówić poprawnie żadnego wyrazu, więc wyszedłem na totalnego głupka. Bardzo chciałem móc powiedzieć, że śmiałem się razem z nimi i że wcale nie przejąłem się złośliwym dowcipem. Miałem jednak ochotę po prostu zapaść się pod ziemię. Może i była to drobnostka - w końcu nie chodziło o znęcanie się, ot, niewinny przytyk - ale natychmiast przypomniałem sobie, jak dręczyła mnie Karen, gdy w wieku pięciu lat poszedłem do podstawówki. Poczulem się jak najslabsze ogniwo.

W szkole już od pierwszej klasy panowała wśród uczniów ścisła hierarchia. Ja znalazłem się niemal na samym dnie. Ci, którzy stali na górze, narzucali swoją wolę innym i wykorzystywali ich. Wcale nie chciałem być na szczycie. Woląłem wtopić się w tłum i przemykać po szkole niezauważenie.

Tak jednak nie było. Jeśli tak jak ja masz w szkole naturę bardziej uległą niż twoi koledzy, trudno ci zapanować nad tym,

co się wokół dzieje. Ruda czupryna tylko pogarsza sprawę. Ten rzadki kolor włosów stanowi w społeczeństwie rodzaj stygmatu. Chłopcy przepadają za rudymi dziewczynami, ale dziewczyny nie lubią rudych chłopców. Kiedy byłem już dorosły, często dziwiłem się, jak wiele można powiedzieć w towarzystwie 0 ludzi rudych, choć gdyby chodziło o Murzynów albo gejów, byłoby to uznane za bardzo obraźliwe.

Wszyscy bezkarnie sobie ze mnie kpili, więc znienawidziłem swoje rude włosy. Co gorsza, parę tygodni później ruszyła wielka kampania reklamowa nowej linii baterii. Pewien chłopak ze starszej klasy, znany szkolny dręczyciel, pierwszy podchwycił jej slogan. Któregoś dnia szedł przez boisko, gdzie akurat rozgrywał się mecz, w którym brali udział moi koledzy z klasy.

- Ej, rudy! - krzyknął do mnie. Wszyscy spojrzeli na nas, czekając z zapartym tchem na rozwój wypadków. - Jesteś jak bateria Duracell - roześmiał się - ta z miedzianą główką!

Wszyscy parsknęli śmiechem. Chociaż żart był śmieszny, nie podobało mi się, że śmiali się ze mnie, a nie ze mną. Niemniej jednak żarty z mojej wymowy czy czupryny nie były zbyt okrutne. Prawdę mówiąc, w szkole prawie wcale nie znęcano się nade mną fizycznie. Odziedziczyłem jednak po matce jej nadwrażliwość na krytykę i ciężko znosiłem takie zaczepki.

Sytuacja w szkole była dla mnie o tyle trudniejsza, że nie miałem komu się wyżalić. Potrzebowałem ojca, który nauczyłby mnie walczyć. Podsunałby mi kilka ciętych ripost, którymi upokorzyłbym prześladowców. I pokazałby, jak się bić.

Jak wszyscy uczniowie od czasu do czasu biłem się z innymi i zawsze przegrywałem. Był pewien chłopak, dużo większy

ode mnie, który nieustannie się mnie czepiał. Chodził do mojej klasy, więc często się widywaliśmy. Był znanym łobuzem. Nie bił mnie, ale wciąż mi dokuczał - przewracał mi teczkę i popychał. Nie raz żalowałem, że nie potrafiłem się przed nim obronić

Na ironię zakrawał fakt, że choć Reg od dawna mnie bił, w ogóle nie wiedziałem, jak się bronić. Ponieważ był dorosły, nauczyłem się czegoś innego: jak znieść bicie i stanąć potem na nogi. Jeśli chodzi o moje sprawy, Reg zupełnie się już nimi nie interesował. Wszystkie dotyczące mnie decyzje pozostawiał mamie. Jego wpływ na moje życie był praktycznie zerowy. Wynikało to po części z jego wieku - miał już ponad siedemdziesiąt lat - oraz z faktu, że byłem mu po prostu obojętny. Gdy poszedłem do szkoły średniej, traktował mnie jak dalekiego krewnego, któremu przyszło zamieszkać w jego domu. Miał wnuki starsze ode mnie, a własne dzieci już dawno odchowal i nie miał siły ani ochoty zajmować się teraz jeszcze moim wychowaniem.

Tata również nie mógł mi pomóc. Praktycznie odszedł z mojego życia. Wkrótce miało mi go brakować jeszcze bardziej. Pewnego dnia zadzwonił i oznajmił, że wyjeżdża z Maureen i jej dziećmi do Stanów. Nie było żadnej dyskusji: w ogóle nie miałem wpływu na tę decyzję. Musiałem się z nią pogodzić.

Dzisiaj nie mam do ojca żalu za to, że wyemigrował do Ameryki. Chciał zadbać o siebie i swoich bliskich, korzystać z życia. Uznał, że nie może zrezygnować z perspektyw, które otwierały się przed nim w Stanach. Jestem z niego dumny, bo był gotów podjąć ryzyko i diametralnie zmienić swoje życie, choć przecież wygodniej byłoby mu zostać w Anglii i wykorzystywać swoje niebagatelne umiejętności na miejscu. Dziś wiem,

że życie to nie bajka i że *decyzja*, o emigracji wymagała wielkiej odwagi. Z naszych późniejszych rozmów dowiedziałem się, że tata myślał, iż zostawia mnie pod opieką kochającej, normalnej rodziny. Nie miał pojęcia, jak bardzo się mylił.

Choć tata i Reg zrzekli się swoich obowiązków rodzicielskich, mama potrafiła wypełnić stworzoną przez nich pustkę, jeśli tylko chciała. A w jakimś sensie chciała. Bacznie śledziła moje wyniki w nauce i troszczyła się o moje zdrowie. Zrobiła też coś, za co będę jej dozgonnie wdzięczny. Pomogła mi uporać się z seplenieniem. Posłała mnie do dentysty, który usunął mi kilka zębów i założył aparat. Wkrótce problem krzywego zgryzu i wadliwej wymowy zniknął.

Wciąż jednak składała mi nocne wizyty, wciąż wracały „wyjątkowe chwile”. Musiałem w nich uczestniczyć, choć każde takie wydarzenie rozbijało mnie wewnętrznie. Co gorsza, bywałem obolały, jeszcze zanim weszła do pokoju.

* * *

Reg rzucił się na mnie chwilę po tym, jak wróciłem ze szkoły. Zupełnie jakby całe popołudnie na mnie czekał. Popełniłem błąd, pytając go, czy w imbryku jest jeszcze herbata.

- Ju ż j a ci dam herbaty! - wybuchł. - Ja ci, cholero, dam herbaty! Myślisz, że jestem twoją służącą?

Zanim zdążyłem uciec na górę, rąbnął mnie pięścią w brzuch. Zgiąłem się wpół i upadłem na podłogę, a Reg zaczął kopać mnie po pupie.

- Przepraszam, dziadku, naprawdę nie chciałem, przysięgam! - płakałem.

- Nie pyskuj, gówniarzu! - ryknął. Słyszałem jak dyszał, serwując mi kolejne kopniaki. - Już ja cię znam! Ja cię nauczę, jak mi się odpowiada!

Gdy ze mną skończył, czułem się jak ofiara poważnego wypadku - na tyle pechowa, że zachowała przytomność. Zapłakany powlokłem się do pokoju i ległem na łóżku.

* * *

Leżę cały obolały i posiniaczony. Nie mam pojęcia, ile jeszcze wytrzymam, ale cóż mogę na to poradzić?

Mamie nie mogę nic powiedzieć. Jej psychika by tego nie wytrzymała. Nie może się dowiedzieć, co Reg mi robi. Jestem tak skołowany, że zaczynam się zastanawiać, czy mama przypadkiem nie jest z Regiem w zмовie. Przecież jest nieszczęśliwa i pełna gniewu, tak samo jak Reg, i oboje dają mi to odczuć.

Cały wieczór spędzam w swoim pokoju. Wszystko mnie boli, chcę po prostu zasnąć.

Nagle słyszę ją za drzwiami. Włącza światło i otwiera drzwi, po czym wpada do środka i jednym ruchem ściąga ze mnie kołdrę. Wyskakuję z łóżka, a ona się w nim kładzie. Staję w cieniu, licząc naiwnie, że mnie nie zauważy. Oczywiście nie mam żadnych szans.

- David, pobaw się ze mną - rozkazuje.

- Aleja nie chcę, mamoo...

- Chodź tu i zaczynaj, ale już!

Wlokę się przez pokój, noga za nogą, bo wiem, że nie potrafi na długo się skupić i szybko się nudzi. Myślę sobie, że im wolniej będę szedł, tym większa szansa, że rozmyśli się i zostawi mnie w spokoju.

Kiedy jestem już na brzegu łóżka, łapie moją rękę i kładzie ją sobie na podbrzuszu. Celowo bawię się z nią tak, żeby nie odczuwała żadnej przyjemności. Mam nadzieję, że dzięki temu odechce jej się zmuszać mnie do takich zabaw w przyszłości. Ona jednak tylko się denerwuje. Łapie mnie za rękę i próbuje zmusić, żebym robił to tak, jak należy. Wciąż jednak się opieram i staram się wszystko maksymalnie utrudnić.

Wiem, że dużo ryzykuję, ale jeśli będę miał szczęście, da sobie wreszcie spokój, a moja męka szybko się skończy.

Z drugiej strony napytam sobie biedy, jeśli przez mój opór nie będzie jej wystarczająco przyjemnie. Wtedy wszystko potrwa znacznie dłużej, bo będzie chciała zaspokoić się przynajmniej częściowo. Niekiedy potrzebuje na to więcej czasu.

Teraz nie mogę się już opierać, choć ilekroć matka nachodzi mnie w sypialni, instynkt każe mi się przeciwstawić. Jestem wystarczająco duży, by wiedzieć, że to, do czego mnie zmusza, jest bardzo złe. Czuję się okropnie i dostaję mdłości.

Każe mi robić rzeczy, do których żadna matka nie powinna nigdy zmuszać swojego dziecka. Widzę ją w okropnym stanie. Nie dość, że jest pijana, to jeszcze obudziła się w niej potwór. Używa słów, które na trzeźwo nigdy nie przeszłyby jej przez usta.

- David, chodź tu.

- Nie, mam, nie podejmę.

- Ja pierdołę! Czemu, kurwa, nie robisz tego, co ci każe?!

Jest na wpół rozebrana, ma na sobie tylko koszulkę albo sweter. Nie chcę oglądać jej nagiej, a zwłaszcza poniżej pasa. Ciekaw jestem, czemu się tak ubiera. Czasem jest zupełnie goła, jakby rozebrała się już do spania, a potem postanowiła mnie odwiedzić.

Gdy wreszcie skończy, schodzi na dół. Ja tymczasem marzę, by zakopać się pod kołdrę i we śnie zapomnieć o tym, co przed chwilę zrobiła mi matka i co wcześniej zrobił ojczym.

Chcę, żeby to wszystko się skończyło, ale to jeszcze nie koniec koszmaru.

Słyszę, jak matka rozbija się po kuchni. Wiem, że chce coś ugotować. Jeśli nie zejść na dół, może się poparzyć albo zrobić sobie coś jeszcze gorszego.

Kiedy schodzę na dół, usiłuje włączyć kuchenkę. Nie przekonam jej, że to zły pomysł albo że powinna zjeść bułkę czy kawałek ciasta - coś, czego nie trzeba odgrzewać. Czekam przez chwilę, patrząc, jak grzebie po szajkach i robi straszny bałagan.

Wszędzie rozrzuca jedzenie i rozlewa olej. Po raz kolejny próbuje zapalić gaz. Jak zawsze nie mogę się powstrzymać i ruszam z pomocą - nie chcę, żeby wysadziła dom w powietrze - ale kiedy do niej podchodzę, zaskoczona uderza mnie prosto w twarz.

Potem rzuca we mnie jedzeniem i garnkami. Nie obchodzi jej, czy trafi i czy przy okazji nie zdemoluje kuchni.

Uciekam do drugiego pokoju, lecz zostawiam drzwi otwarte - dzięki temu wiem, co robi. Ona nie zdaje sobie sprawy, że ją obserwuję, ja za to widzę i słyszę, co dzieje się w kuchni.

Siedzę i czekam, pilnując matki. Noc ciągnie się bez końca. Mama od godziny próbuje coś ugotować.

W końcu poddaje się. Nie wiem, czy udało jej się zrobić coś do jedzenia, ale efekty jej pracy są już widoczne w całej kuchni. Czekam na ostatnie, niemałe wyzwanie. Muszę odprowadzić ją do łóżka.

Największym problemem - i dla niej, i dla mnie - jest wejście po schodach. Muszę jej pomóc, uważając, by przy okazji nie dostać

w twarz. Matka ślizga się na kamiennych stopniach. Zbytne zbliżenie się do niej oznacza dla mnie ryzyko otrzymania kolejnego ciosu, więc staram się iść z tyłu. Pozwalam jej brnąć na górę o własnych siłach i łapię ją tylko wtedy, gdy traci równowagę.

Gdy wreszcie dociera na górę, wlecze się do swojego pokoju i kładzie się do łóżka. Ja zaś wracam do swojego, poprawiam pościel i gaszę światło.

Strach przed tym, co może się stać, jest często gorszy od tego, co dzieje się naprawdę. Czasem jest tak silny, że nie mogę zasnąć. Choć matka już się położyła, ja cały czas nasłuchuję i modlę się, żeby nie wróciła. Potrafię tak leżeć godzinami, nasłuchując najmniejszego odgłosu dochodzącego z jej sypialni. W końcu - zupełnie wycieńczony - zasypiam.

* * *

Najgorszym aspektem mojego życia było odwrócenie ról. Choć mama miała problem z piciem, na trzeźwo mocno trzymała mnie w garści. Kontrolowała mnie, może nawet przesadnie, ale zawsze wiedziała, gdzie jestem, i dbała, by nie działa mi się krzywda. Nigdy nie musiałem zastanawiać się, co zrobić, bo mama dokładnie wiedziała, jak powinienem się zachowywać. Za każde przewinienie czekały mnie poważne konsekwencje. Jeśli miałem jakieś kłopoty w szkole, natychmiast kontaktowała się z nauczycielami. W nielicznych przypadkach, kiedy musiałem za karę zostać po lekcjach, sprawdzała, na czym polegała moja wina. Byłem uległym dzieckiem i oczekiwałem od rodziców takiej właśnie opieki. Mówiono mi, co i kiedy mam zrobić. A ja to robiłem.

Wszystko to zmieniało się jednak, gdy mama piła. Dobrze pamiętam, jak uderzyła mnie w twarz, kiedy znalazłem ją na podłodze kuchni. Przez kilka dni miałem śliwę pod lewym okiem, ale mama zignorowała ją - tak jak siniaki, które nabijał mi Reg. Wciąż pilnowała, żebym mył zęby i czesał się, lecz nie mówiła ani słowa na temat śladów pobicia, widocznych na mojej twarzy i na całym ciele. W szkole również nikt ich nie komentował. Czasem czułem się jak ciężko ranny, któremu nikt nie chce pomóc.

Potrzebowałem oparcia, lecz choć byłem tylko nastolatkiem, to ja musiałem być oparciem dla matki. Wiedziałem już, że to na mnie spoczywa odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo, jeśli zechce coś ugotować, będąc pod wpływem alkoholu. Nocami przychodziła mnie molestować, a jednak nie chciałem, żeby stała jej się krzywda. Zatem role odwróciły się i to ja musiałem pełnić funkcję opiekuna. Było to okrutne, męczące i niezwykle czasochłonne.

Czasem chciałem ją zostawić i wrócić do łóżka, ale sumienie mi na to nie pozwalało. Zresztą nie miała nikogo poza mną. Reg, choć wciąż miał siłę mnie bić, był już zbyt stary, by znieść psychiczne i fizyczne ciosy, których pijana mama nikomu nie szczędziła. Nie miałem więc wyboru, musiałem wziąć ten ciężar na swoje barki. Musiałem zajmować się nią sam.

Skutki tego odwrócenia ról były druzgocące. Nie mogłem spać. Zrywanie się ze snu po gwałtownej pobudce jest dobre dla strażaka, ale nie dla chłopca w moim wieku.

Mniej więcej wtedy zacząłem lunatykować. Nie wiem, czy było to spowodowane napastowaniem przez matkę, lecz przez

całe późniejsze życie będzie mi się zdarzało chodzić we śnie. Incydenty te były zwykle wywoływane stresem lub obecnością w miejscu, w którym czułem się źle.

Byłem nieszczęśliwym dwunastolatkiem. Moja psychika przypominała kocioł, który lada moment rozsadzi para. Nie miałem nikogo, komu mógłbym się zwierzyć, nikogo, komu mógłbym zadać pytania, które ani na chwilę nie dawały mi spokoju:

Dlaczego moja matka tyle pije?

Dlaczego później przychodzi do mnie?

Dlaczego każe mi robić ze sobą te okropne rzeczy?

Czemu w ogóle zaczęła pić?

Nie mogłem się od nich uwolnić. Ciśnienie pary rosło, czułem coraz większą frustrację i gniew. Im byłem starszy, tym bardziej we mnie narastał. Działo się to powoli, lecz w końcu dałem mu ujście w dramatyczny sposób.

* * *

Moja babcia ze strony ojca wciąż czuła się dobrze, a ponieważ tata wyemigrował do Stanów, mama musiała zabierać mnie do niej w odwiedziny. Widywałem się z nią regularnie i bardzo to lubiłem, bo była niezwykle ciekawą osobą.

Z czasem zacząłem odwiedzać ją sam. Mama nie lubiła mnie do niej zawozić, ale chętnie dawała mi pieniądze na autobus. Do babci jechało się z przesiadką. Najpierw musiałem dotrzeć do miasta, a tam złapać drugi autobus, więc była to dla mnie prawdziwa przygoda.

Gdy przekraczałem próg domu babci, wchodziłem do innego świata. Zawsze była zwariowana, a na starość ta cecha

coraz bardziej się pogłębiała. Jej dom nie wyglądał zbyt gościnnie - w oknach żelazne kraty, a drzwi uzbrojone w liczne zamki. Do tego lampy nie dawały zbyt dużo światła, więc dom wyglądał jak bunkier. Ekscentryczność mojej babci przejawiała się również w jej nietypowych poglądach i zainteresowaniach, dotyczących, na przykład, zjawisk nadprzyrodzonych, medytacji i duchowości. Chętnie dzieliła się ze mną swoimi przemyśleniami. Niektóre kwestie były zupełnie niewinne, lecz o innych - na przykład o okultyzmie - nie dowiedziałbym się w szkole, bo zdecydowanie nie był to temat do rozmowy z dziećmi.

Przy okazji jednej z wizyt u babci dostałem od niej dwie książki o medytacji transcendentnej i o magii. Z pewnością nie była to odpowiednia lektura dla naiwnego dzieciaka. Czytałem je w autobusie, wracając do domu, i pochłonęły mnie bez reszty. Mama doskonale zdawała sobie sprawę z dziwactw babci, ale nie widziała przeszkód, bym ją odwiedzał. Po powrocie jednak zawsze mnie przepytowała.

- Jak było u babci? - zapytała.

- W porządku. Wypiliśmy herbatę - odpowiedziałem, licząc, że nie zauważy torby, którą miałem w rękach.

- Dała ci coś? - zapytała, mierząc mnie wzrokiem.

- Nie - skłamałem - nic mi nie dała.

- A co jest w torbie?

- A nic... tylko słodczyce.

Oczywiście kiepski był ze mnie kłamca i nie potrafiłem ukryć zakazanych książek. Mama od razu mi je skonfiskowała.

- Oj, mamó, proszę, mogę je zatrzymać?

- Nie ma mowy - ucięła.

Dobrze wiedziałem, że nie ma co dyskutować. Nie dość, że nic bym nie wskórał, to jeszcze bym ją zdenerwował. Było już jednak za późno, bo zdążyłem przeczytać książkę o medytacji i szybko pobiegłem do pokoju. Spróbowałem wznieść się w powietrze.

Nie udało się.

Podczas jednej z kolejnych wizyt babcia dała mi kilka batoników Mars. Były to moje ulubione słodczy, więc gdy tylko wsia-
dłem do autobusu, od razu się za nie zabrałem. Nie mogłem czekać, aż wrócę do domu. Ale kiedy rozerwałem opakowanie, nie znalazłem w nim pysznego batona. Na dłoń wysypał się zjeł-
czały proszek. Gdy spojrzałem na datę ważności, okazało się, że słodczy były o rok przeterminowane. Ponieważ czekolada miała długi termin ważności, babcia pewnie kupiła je kilka lat wcześniej i dopiero teraz dała je swojemu jedynemu wnukowi.

Babcia była niewątpliwie dziwna, ale prawdziwe wyzwanie czekało na mnie w domu. Powtarzające się nocne wizyty matki, obojętność i okrucieństwo Rega oraz chłodny dystans ojca sprawiły, że czułem się, jakbym siedział na beczce prochu.

Miałem wrażenie, że nie istnieje nikt, do kogo mógłbym się zwrócić. Doskwierała mi samotność. Spotykały mnie rzeczy, których nie potrafiłem wytłumaczyć i przez które bardzo cierpiałem. W dodatku okres dojrzewania był tuż-tuż, a ja nie miałem przyjaciół, którym mógłbym się zwierzyć. Katastrofa wisiała w powietrzu.

Crescè &

Bunt

Ból dorastania

Miałem trzynaście lat, a Reg wciąż traktował mnie jak worek treningowy. Przypominał sobie o mnie tylko wtedy, gdy chciał wyładować swój gniew. Nie potrafiłem mu się przeciwstawić, więc potulnie przyjmowałem kolejne razy.

Kiedy pewnego dnia rozgniewał się na mnie, natychmiast to wyczułem. Rzuciłem się do ucieczki. Pobiegłem na górę w nadziei, że zanim mnie dopadnie, zmęczy się i nieco ochłonie. Ale to nigdy nie działało. Sam nie wiem, dlaczego znów na to liczyłem. Zawsze, kiedy wreszcie do mnie dopadał, dyszał ze zmęczenia, ale nigdy się nie poddawał.

Tym razem także ruszył w pogoń. Byłem już na schodach, więc wychyliłem się przez barierkę, żeby sprawdzić, gdzie jest. Już miałem otworzyć drzwi do pokoju, kiedy coś we mnie drgnęło. Miałem już dość ciągłego dręczenia.

- Zostaw mnie w spokoju! Nie zbliżaj się! - krzyknąłem co sił w płucach. Nigdy wcześniej się na to nie odważyłem. Teraz nie mogłem się jednak powstrzymać. Czara goryczy się przelewała.

Nie sądziłem, że Reg się zatrzyma. Miał właśnie wejść na górę i zbić mnie - jak zwykle. Tym razem jednak zbladł i zamarł w pół kroku. Krzychałem dalej, a on tymczasem odwrócił się na pięcie i poszedł do kuchni,

Z wrażenia odebrało mi mowę. Postanowiłem zejść na dół i sprawdzić, czy nic mu nie jest. Podkradłem się do kuchni i przez chwilę nasłuchiwałem odgłosów dobiegających zza zamkniętych drzwi.

Sam nie wiem, czy podsunęła mi to wyobraźnia, ale zdawało mi się, że Reg płacze. A może po prostu dyszał.

Bałem się, że krzykiem przyprawilem go o zawał serca. Nie wiedziałem, jak wygląda zawał ani czym może się to skończyć. Postanowiłem jednak nie kusić losu. Nawet jeśli miał zawał, to zasłużył sobie na to.

Tak czy inaczej, poczułem ulgę, gdy godzinę później wróciła mama i usłyszałem, że rozmawiają na dole jak gdyby nigdy nic.

Tak właśnie skończyło się bicie. Reg już nigdy nie podniósł na mnie ręki.

Nie mogłem jednak zapomnieć, ile przez niego wycierpiałem. Dobrze pamiętałem, jaki był bezwzględny. Bicie miało skutki nie tylko fizyczne, ale i psychiczne. Nigdy mnie za to nie przeprosił ani nikomu nie przyznał się do tego, że mnie bił. Kilka tygodni po tym wydarzeniu mama zdecydowała się na dość zaskakujące wyznanie.

Siedziałem z nią przy stole w ogrodzie. Był początek czerwca - piękny, słoneczny dzień. Bardzo lubiłem pomagać przy łuskaaniu grochu. Dookoła unosił się jego słodki zapach. Z każdego strączka podjadałem jedno, dwa ziarenka. Czasem naciskałem zbyt mocno i wtedy je miażdżyłem.

- Rób to delikatnie, o tak - wyjaśniała cierpliwie.

Wystarczył drobny ruch palców, a nienaruszone ziarenko grochu wpadało prosto do miski.

- Jeśli nie będziesz uważał - dodała - nie zostanie nam ani odrobina, bo ciągle podjadasz.

- Nic na to nie poradzę, mamó. Muszę być silny.

- Nie gadaj głupot. A co z Regiem! On potrzebuje więcej siły niż ty. Jest coraz starszy, martwię się o niego. Od paru tygodni jest jakiś nieswój.

Spojrzałem na mamę i przypomniałem sobie, jak Reg o mało nie dostał zawału. Czyżby wiedziała?

Od razu zauważyła, że coś mnie gryzie.

- Co się stało? Chcesz mi coś powiedzieć?

- Nic ważnego, mamó.

- Na pewno? Tere-fere. No dalej, Reg i tak mi powie.

Wszystko mi mówi.

Nie mogłem się powstrzymać i cicho parsknąłem.

- No co? - zdziwiła się.

Wziąłem głęboki oddech. Teraz albo nigdy.

- Wszystko ci mówi? A powiedział ci, że prawie dostał zawału, kiedy chciał mnie zlać?

- O czym ty mówisz?

- Chciał mnie znowu zbić. Bije mnie od wielu lat! Pięciami!

- David, ja...

- Przykro mi, mamó - ciągnąłem. - Nie chciałem ci mówić, bo wiedziałem, że się zdenerwujesz, ale to prawda. Bił mnie, gdy cię nie było, i starał się nie zostawiać siniaków w widocznych miejscach.

Serce podeszło mi do gardła i czułem, że jeśli zaraz nie przestanę mówić, to się rozpłaczę. Nie mogłem uwierzyć, że wszystko jej powiedziałem. Ponownie coś we mnie pękło i byłem pewien, że jeśli nie zamknę ust, wyrzucę z siebie wszystko. Nawet to, co przez te wszystkie lata było naszym największym sekretem.

- David, ja wiedziałam - przyznała cicho.

- J a k t o ?

- Myślisz, że jestem głupia? Od dawna wiem, co ci robi. Ale co mogłam poradzić? Widocznie miał powody. Poza tym potrafisz być niezłym ziółkiem. Nie podobają mi się jego metody, ale nie ma tu twojego ojca. Jest za to Reg. Skoro postanowił wychowywać cię w ten sposób... Czasem potrzebna jest twarda ręka. Musisz do tego przywyknąć.

Jej wyraz twarzy wskazywał, że to już koniec rozmowy.

Odjęło mi mowę. Moja własna matka powiedziała, że przez cały czas o wszystkim wiedziała - o tym, że Reg bił mnie i kopał, jakbym był skrzyżowaniem worka treningowego z piłką. Że robił to, ilekroć miał na to ochotę, a ona postanowiła nie reagować. Byłem wstrząśnięty. Nie mogłem tego zrozumieć - nie mieściło mi się w głowie, że jakakolwiek matka mogłaby patrzeć na to wszystko z założonymi rękami.

Nie mogłem na nią patrzeć. Powiedziała już wszystko, co chciała, i zamilkła na dobre. Wiedziałem, że to było jej ostatnie słowo. Że nie będzie dalszej dyskusji.

Wciąż miałem w dłoni strączek grochu. Ziarna leżały w rządku niczym niewinne dzieci. Nie potrafiłem ich wyłuskać. Odłożyłem je na stół i uciekłem z ogrodu.

Rzuciłem się na łóżko skąpane w promieniach słońca. Próbowałem zrozumieć, co się stało.

Miałem trzy różne życia - odgrywałem trzy różne role.

Wciąż byłem chłopcem, którym opiekowali się matka i ojczym. Czasem mogłem jeszcze sobie na to pozwolić.

Byłem również przedmiotem, na którym matka i ojczym wyładowywali swoje frustracje, kiedy tylko poczuli taką potrzebę. Padłem ofiarą demonów, które ich dręczyły.

Byłem też opiekunem matki. Musiałem być dla niej jak ojciec, tak jak ona musiała być matką dla mojego ojczyma.

Czułem się zdradzony. Reg był dla niej ważniejszy od rodzonnego syna. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej się denerwowałem. W głębi duszy domyślałem się, dlaczego pozwoliła Regowi mnie krzywdzić. W końcu znalazła kogoś, kto jej pragnął - bez względu na to, jak ciężko było z nią żyć. Nie zrezygnowałyby z niego, nawet jeśli katował jej dziecko.

Nagle przeszył mnie dreszcz. A jeśli matka wiedziała, co mi robi, gdy jest pijana, i dlatego nie przeszkadzało jej to, co robił Reg? Nie chciałem i nie mogłem w to uwierzyć. Jak jednak inaczej wytłumaczyć to, że mnie nie broniła? Te myśli mnie przerażały. Zszedłem na dół, wsiadłem na rower i pojechałem przed siebie. Było późne popołudnie. Nie wiedziałem, dokąd jadę. Chciałem znaleźć się jak najdalej od mamy, Rega i domu, z którym wiązało się tyle złych wspomnień. Wróciłem dopiero po zmroku. Mama już się zataczała. Znowu piła. Zignorowałem Rega, zrobiłem sobie kanapkę z dżemem i poszedłem prosto do swojego pokoju. Nazajutrz poczułem ulgę. Przynajmniej tym razem mama dała mi spokój.

* * *

Choć wiedziałem, że mama polegała na Regu i darzyła go głębokim uczuciem, nigdy nie zdołałem rozgryźć ich małżeństwa. Jak dwoje ludzi, którzy właściwie nie mają ze sobą nic wspólnego, a do tego należą do dwóch różnych pokoleń, może stworzyć szczęśliwy związek? Pewnie wyglądało to na małżeństwo z rozsądku, ale mama nie mogłaby żyć ze „zwyczajnym” mężczyzną. W Regu znalazła kogoś, kto zaakceptował jej wady i zapewnił nam nowy dom.

Być może od tego się zaczęło, ale ich małżeństwo stało się czymś więcej. Niemal wszędzie chodzili razem i wszystkie sprawy omawiali bardzo szczegółowo, chociaż mama i tak zawsze stawała na swoim. Dostrzegłem to, kiedy Reg postanowił sam wyjechać na urlop.

Reg miał syna, Anthonyego, który mieszkał w Australii. Przez długi czas go nie widział. Nie poznał też swoich wnuków, a mama i ja nigdy nie poznaliśmy Anthonyego. Korespondencja ograniczała się do kartek na święta i urodziny. Mama sama zadbała o odnowienie kontaktu, i to w całkiem niezłym stylu. Zaczęła od pisania listów do Australii. W odpowiedzi Anthony przysyłał listy i zdjęcia. Potem mama zaczęła również dzwonić. Choć Reg nigdy nie był zwolennikiem utrzymywania bliskich kontaktów z rodziną, zauważyłem, że był zachwycony. Kochał Anthonyego i przez te wszystkie lata bardzo za nim tęsknił. Dzięki działaniom matki odnowiony został kontakt między ojcem a synem. Chętnie wpierała Rega w tej sprawie. W końcu pojawił się pomysł spotkania, jednak

ze względu na koszty szybko został odrzucony. Anthonyego nie było stać na podróż z całą rodziną do Anglii, a tym bardziej nas - na lot do Australii.

Wtedy w głowie mamy zrodziła się kolejna koncepcja. Zaproponowała Anthonyemu, żeby do Australii poleciał tylko Reg. Syn od razu zgodził się pokryć połowę kosztów podróży, więc pomysł został wprowadzony w życie. Mama zaplanowała podróż i w 1982 roku Reg, mając już siedemdziesiąt dwa lata, wyruszył z Halifaxu w hrabstwie Yorkshire do Perth w Australii. Najpierw pojechał autokarem do Londynu, a stamtąd udał się na lotnisko Heathrow, skąd wyruszył do Perth.

Reg całe życie spędził na wsi - tam się urodził. Pracował kilka kilometrów od domu i nigdy nie leciał samolotem. W ogóle nie wyjeżdżał za granicę. A jednak u schyłku życia postanowił przemierzyć tysiące kilometrów, by zobaczyć rodzinę, z którą przez lata nie utrzymywał kontaktu. Było to bardzo ważne zarówno dla niego, jak i dla mamy. Cieszyła się, że Reg spotka swoich bliskich, lecz jednocześnie martwiła się, że już nigdy go nie zobaczy. Twierdziła, że nie uspokoi się, póki Reg nie wróci bezpiecznie do domu.

Kiedy Reg był w Australii, codziennie do siebie pisali. Była to korespondencja dwojga zakochanych, przeżywających ból rozłąki. Gdy Reg wrócił, mama cieszyła się jak dziecko. Skoro jednak tak bardzo się kochali, nie mogłem zrozumieć, czemu nie interweniowała, gdy dowiedziała się, że Reg mnie bił. Dlaczego nawet nic nie powiedziała?

Od kiedy ojczym przestał mnie bić, praktycznie zniknął z mojego życia. Pilnował tylko, żeby ktoś był w domu, kiedy

wracałem ze szkoły. Nie żywił do mnie nienawiści, po prostu go nie obchodziłem. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Za sprawą przypadku zacząłem się zastanawiać, czy jednak czegoś do mnie nie czuje.

* * *

Pewnego popołudnia wracałem autobusem ze szkoły. Wysiadłem na końcu naszej ulicy. Był ze mną chłopak z sąsiedztwa, Alan Carthy. Kiedy odwróciłem się w stronę ulicy, zamarłem. Stało przed nami dwóch chłopaków: wnuk Rega, Andrew, i jego kumpel.

Andrew zmienił się, od kiedy jego rodzice pokłócili się z mamą i Regiem i całkowicie zerwali z nimi kontakt. Teraz mój ojczym rzadko widywał się ze swoim wnukiem, ale nie do końca wiedziałem, z czego to wynikało. Zawsze liczyłem się z tym, że spotkanie z Andrew oznacza kłopoty. Czasem go widywałem, ale zazwyczaj mnie ignorował. Starałem się nie wchodzić mu w drogę i zwykle mi się to udawało. Mieszkaliśmy jednak przy tej samej ulicy, więc nie mieliśmy wyboru - musieliśmy chodzić tą samą drogą.

Teraz Andrew stał przede mną. Szepnął coś koledze do ucha - roześmiali się i spojrzeli na mnie. Zignorowałem ich, lecz instynktownie zwolniłem. Nagle obaj odwrócili się i podeszli, zagradzając mi drogę. Alan Carthy zdążył już pobiec do domu. Ale najwyraźniej to nie o niego chodziło wnukowi Rega.

- Czego chcesz? - zapytałem, choć strach ścisnął mi gardło.

- Spadaj, ty mały bękartcie! - wyparował. - Jak będę czegoś chciał, to dam ci znać.

Stałem jak wryty, a Andrew miotał siarczystymi przekleństwami. Wiedziałem, że w każdej chwili może mnie uderzyć, więc postanowiłem go nie prowokować. Milczałem. Podszedł jeszcze bliżej i przeszył mnie spojrzeniem pełnym nienawiści. Odwróciłem wzrok. Widać było, że się boję. To wystarczyło, żeby zrezygnował z bójki. Na pewno chciał, żebym go sprowokował. Wtedy bez wahania porachowałby mi kości. Po dłuższej chwili dał mi spokój i odszedł. Stałem jak na rozżarzonych węglach. Poczekałem, aż zniknął mi z oczu, i dopiero wtedy poszedłem do domu.

Kilka minut później byłem na miejscu. Powiedziałem Regowi, co się stało. Nie oczekiwałem, że coś zrobi. Zaskoczył mnie jednak. Przerwał pracę i odwrócił się w moją stronę, czerwony z wściekłości.

- Gdzie to się stało? - wycedził przez zęby.

- Koło przystanku - odpowiedziałem.

Reg zerwał się z miejsca i szybkim krokiem ruszył we wskazanym przeze mnie kierunku. Odprowadzałem go wzrokiem. Nigdy nie widziałem, żeby tak szybko chodził. Po pewnym czasie wrócił zdyszany, ale spokojny.

- Jeśli to się powtórzy, masz mi od razu powiedzieć.

- Tak jest, dziadku.

Byłem oszołomiony. Wyglądało na to, że Reg chciał obronić mnie przed Andrew. A więc jednak mnie kochał, a przynajmniej nie byłem mu obojętny, choć to nie ja byłem jego rodzonym wnukiem.

Kiedy mama o tym usłyszała, zapytała mnie, czy chcę nauczyć się boksować. Oczywiście, że chciałem. Udaliśmy się

więc do ośrodka kultury w pobliskim Mystendyke. Uczyli tam nie boks, lecz karate. Od razu się zapisałem i przez kilka lat uczęszczałem na treningi. Zajęcia odbywały się w poniedziałki i środy wieczorem i trwały po dwie godziny.

Sytuacja była w pewnym sensie kuriozalna. Z jednej strony uczyłem się karate, żeby móc bronić się przed ludźmi, którzy będą chcieli mnie skrzywdzić. Z drugiej - moim opiekunem był ojczym, który przez lata znęcał się nade mną fizycznie i psychicznie.

Karate było dla mnie wybawieniem. W szkole przestałem być chłopcem do bicia, mimo że chuligani wciąż szukali sobie ofiar. W porównaniu z położeniem innych uczniów moja sytuacja znacznie się poprawiła.

Wcześniej dla każdego stanowiłem łatwy cel. Spotykały mnie wprawdzie tylko drobne nieprzyjemności, ale i tak miałem ich serdecznie dość. Czepiano się wszystkiego. Wdzięcznym tematem do drwin było zwłaszcza moje ubranie. Wciąż nosiłem używane ciuchy, które już dawno wyszły z mody. Większość kolegów ubierała się mniej więcej zgodnie z obowiązującymi trendami, ale nie ja. Mama w ogóle nie interesowała się modą i uznała, że ja też nie powinienem przejmować się takimi drobnostkami. Dla niej funkcjonalność była stokroć ważniejsza od wyglądu. Dotyczyło to nawet mojej szkolnej teczki.

Każdy uczeń w mojej szkole miał sportowy plecak, a ja, o zgrozo, musiałem zadowolić się wielką brązową aktówką z mnóstwem przegródek. Mama kupiła ją na początku roku szkolnego. Teczka była bardzo solidna, więc

długo mi służyła. Kiedy wreszcie dokonała żywota, liczyłem, że mama w końcu się ugnie i zgodzi się na plecak. Niestety, dostałem coś jeszcze gorszego - tradycyjna, skórzana teczkę. Świetnie spełniała swoją rolę i była nie do zdarcia... A ja byłem jedynym chłopakiem w szkole, który nosił takie brzydactwo. Co gorsza, torby na ramię były tradycyjnym atrybutem dziewczyn, więc tym bardziej jej nie znosiłem.

Takimi właśnie drobiazgami wyróżniałem się z tłumu, nieustannie narażając się na kpiny. Wciąż bardzo się nimi przejmowałem, ale znałem już trochę karate, więc potrafiłem się bronić. Widząc, że nie zamierzam się podkładać, inni uczniowie szybko dawali mi spokój. Było jednak kilku bardziej upartych. Kiedyś pokłóciłem się z jednym z nich, więc chciał się ze mną bić.

- Stoi - odparłem. Spotkaliśmy się za szkołą. Zebrał się całkiem spory tłumek gapiów. Już mieliśmy zaczynać, gdy ktoś szepnął mu do ucha parę słów. Udało mi się to usłyszeć.

- Lepiej uważaj, John, on ćwiczycy karate - powiedział, wskazując na mnie.

Mina mu zrzędała. Zrozumiał, że bójka ze mną wcale nie jest dobrym pomysłem i wycofał się. Od tamtej pory już nikt mnie nie zaczepiał. I o to mi chodziło. Nie miałem ochoty się z nikim bić. Po prostu nie chciałem, by ktokolwiek zwracał na mnie uwagę. Poza dziewczynami.

* * *

Interesowałem się nimi coraz bardziej. Miałem już prawie czternaście lat, lecz nigdy z żadną się nie całowałem, nie mówiąc

już o „chodzeniu”. Dziewczyny w ogóle nie zwracały na mnie uwagi, więc byłem już gotów chodzić z każdą, bez względu na to, jak wygląda i jaką ma opinię.

Któregoś dnia moje modlitwy zostały wysłuchane. Podeszła do mnie dziewczyna, którą znałem z widzenia.

- Chodź tu, David! - zawołała.

- Słucham? - odparłem ostrożnie, bo przyzwyczyłem się już, że dziewczyny zwykle tylko ze mnie drwią.

- Chciałbyś chodzić z Sophie?

Powiedziała to tak niedbale, jakby pytała o to, czy w sklepie na rogu sprzedają lody czekoladowe. A ja stanąłem jak rażony piorunem. Rozejrzałem się, przekonany, że mówiła do kogoś innego.

- Kto, ja? - wykrztusiłem.

- Tak. Spotkaj się z nami na przerwie obiadowej, przy schodach.

Nie mogłem wysiedzieć na kolejnych lekcjach. Była to najcudowniejsza wiadomość na świecie! Gdy tylko rozległ się dzwonek, wyskoczyłem z klasy jak z procy. Na lekcjach bez przerwy myślałem o Sophie, a na przerwach biegłem na złamanie karku, żeby spędzić z nią kilka dodatkowych sekund. Zupełnie straciłem dla niej głowę, choć od początku wiedziałem, że ona nie szalała na moim punkcie.

Sophie była lekko zaokrągloną, niezbyt ładną szatynką o wydatnych ustach. Żaden inny chłopak się nią nie interesował, ale ja - owszem. Głównie dlatego, że była to pierwsza dziewczyna, która na mnie spojrzała - nie licząc Sally Seymour, która rzuciła mnie po pierwszej randce.

Choć Sophie zgodziła się być moja dziewczyną, wyraźnie nie interesował jej fizyczny aspekt znajomości. Prawie w ogóle się nie całowaliśmy ani nie przytulaliśmy. Mogłem sobie pozwolić co najwyżej na objęcie jej, gdy siedzieliśmy razem na schodach. Nie o tym marzy chłopak, w którym buzują hormony. Czekałem jednak cierpliwie, *ciesząc się*, że w ogóle mam dziewczynę.

W końcu, gdy nadeszły wakacje, zaprosiła mnie do siebie. Szybko znaleźliśmy się na podłodze w jej pokoju, przykryci kołdrą. Wtedy pocałowaliśmy się po raz pierwszy. Nie byłem w tym zbyt dobry, ale to się nie liczyło. Pocałowałem dziewczynę i było to coś wspaniałego. Połączyła nas wyjątkowa więź - zupełnie inna niż to, co było między mną a moją matką alkoholicką.

Do szkoły wróciłem z podniesioną głową. W końcu stałem się dla kogoś ważny i rozpierała mnie duma.

Euforia nie trwała długo. Po czterech tygodniach Sophie mnie rzuciła - bez powodu, bez wyjaśnień. Byłem zdruzgotany.

Uznałem, że to koniec świata i ogarnęła mnie czarna rozpacz. Zawsze byłem bardzo wrażliwy, więc to, co się stało, kompletnie mnie rozbiło. Przez jakiś czas cierpiałem katusze, ale w końcu poddałem się - i zrobiłem coś naprawdę głupiego.

Mama i Reg wyszli z domu w sobotni wieczór, a ja zostałem sam. Nie mogłem przestać myśleć o Sophie. Miałem złamane serce, a na dodatek cierpiałem w samotności. Ciągłe słuchałem muzyki. W 1982 roku przepadałem za Big Country, Abba, Madness i muzyką ska. Najbardziej podobał mi się *Heartbreaker** Dionne Warwick.

* *heartbreaker* (ang.) - łamacz serc.

Siedziałem więc i słuchałem tej piosenki raz za razem. Z każdą chwilą moja samotność się pogłębiała. Ilekroć pomyślałem o Sophie, dostawałem skurczu żołądka.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Wziąłem z kuchni tabletki od bólu głowy i zacząłem połykać, jedną po drugiej, wciąż mając w głowie słowa piosenki. Nagle poczułem mdłości, a potem dostałem zawrotów głowy. Przestałem połykać pigułki - wiedziałem już, że jest ze mną źle. Nie chciałem, żeby mama zobaczyła mnie w takim stanie, więc powlokłem się do swojej sypialni. Kiedy położyłem się i spojrzałem na sufit, pokój zaczął wirować. Czułem się okropnie. Pomyślałem, że jeśli uda mi się zasnąć, rano będzie o wiele lepiej. Sen w końcu przyszedł, zanim jeszcze mama wróciła do domu.

Gdy następnego dnia otworzyłem oczy, wydarzenia poprzedniego wieczoru wróciły ze zdwojoną siłą. Od razu zrozumiałem, jak wielkie miałem szczęście. Gdybym wziął więcej tabletek, mógłbym się zabić. Strasznie się zdenerwowałem na myśl o swojej byłej dziewczynie, ale ból samotności szybko został wyparty przez ból brzucha.

- Mamo! - krzyknąłem. - Bardzo mnie boli brzuch!

Pochlipywałem, gdy weszła do pokoju. Spojrzała mi w oczy, żeby przekonać się, czy nie kłamię. W szkole miałem niemal stuprocentową obecność, bo mama nie pozwalała mi zostawać w domu, jeśli moja dolegliwość nie była zbyt poważna. Byłe katar nie był dla niej żadną wymówką. Jeśli zdołałem wstać, musiałem iść do szkoły. Tym razem jednak wiedziała, że to nie błaźnista. W końcu była dyplomowaną pielęgniarką. Poza tym nie miałem powodu, żeby symulować - była niedziela.

- J a k bardzo cię boli?

- Bardzo. Wezwij lekarza.

- Jesteś pewien? – zapytała. W niedzielę bowiem nie wypadło kłopotać lekarza, jeśli sprawa nie była poważna.

- Mamo, czuję się potwornie - przekonywałem. - Proszę, zadzwoń po lekarza.

Wiedziała, że jestem uległy. Poza tym faktycznie nie wyglądałem zbyt dobrze. Ja zaś z jednej strony próbowałem się nie zdradzić z tym, co stało się ubiegłego wieczoru, a z drugiej - chciałem jej powiedzieć wszystko, żeby tylko mogła mi pomóc. Co ciekawe, nie spytała nawet, czy sam nie jestem sobie winny, więc milczałem.

Zamówiła wizytę domową. Lekarz nie dopatrzył się groźnych objawów, więc postanowił drążyć temat:

- J a k myślisz, David, czemu boli cię brzuch? - zapytał tonem dyrektora szkoły, który strofuje niegrzecznego ucznia.

Wiedziałem, że jeśli mam mu powiedzieć, co się stało, powinienem zrobić to właśnie teraz. Nie mogłem jednak wykrztusić słowa. Przywykłem do sekretów. Po prostu dodałem do swojej listy kolejną tajemnicę.

- Nie wiem - odparłem nieśmiało.

Lekarz przyglądał mi się przez kilka sekund. Zastanawiał się, czy mi uwierzyć. W końcu najwyraźniej uznał, że mówię prawdę, bo więcej pytań już nie padło. zaproponował mamie, żeby pozwoliła mi wypocząć i powiedział, jak uśmierzyć ból.

Po paru dniach poczułem się lepiej i zdałem sobie sprawę, że znowu mi się upiekło. Nie chciałem umrzeć - a już na pewno nie w ten sposób. Odkryłem swój słaby punkt:

nie potrafiłem znieść odrzucenia. To dlatego chciałem popełnić samobójstwo.

Postanowiłem opowiedzieć o tym, co się stało, koledze ze szkoły. Daniel chodził do mojej klasy. Przyjaźniliśmy się. Był wysoki, chudy, inteligentny i wygadany. Pochodził z południowej Anglii. Miał pociągłą twarz i piskliwy głos. Popierał rozbrojenie nuklearne, co - jak na szkołę średnią w północnej Anglii - było dość niezwykle. Obaj byliśmy dziwakami. Pewnie dlatego go polubiłem. Czasami odwiedzałem go w domu.

Jakiś czas po tym zdarzeniu szliśmy z Danielem ulicą w Mystendyke i opowiedziałem mu, co zrobiłem. Był zaskoczony i przerażony, a ja natychmiast zorientowałem się, że popełniłem błąd, mówiąc mu o tym. Nie współczuł mi i nie miał ochoty wysłuchiwać zwierzeń. Nie rozumiał moich motywów, więc bałem się, że wszystkim wygada. On jednak dochował tajemnicy, ale nie chciał więcej rozmawiać na ten temat.

Bardzo chciałem opowiedzieć o swoim bólu komuś, kto by mnie zrozumiał i pomógł. Daniel nie był odpowiednim kandydatem. Wcześniej pomyślałem, że gdyby zrozumiał moją nieprzemyślaną próbę samobójczą, mógłbym opowiedzieć mu także o mamie. Jego obojętność sprawiła jednak, że szybko porzuciłem tę myśl. Zrozumiałem, że muszę to zachować dla siebie. Nikt nigdy nie mógł się o tym dowiedzieć.

* * *

W domu działo się coraz gorzej. Picie mamy z każdym tygodniem coraz bardziej wymykało się spod kontroli.

Zdarzały się jednak chwile wytchnienia. W drugiej i trzeciej klasie szkoły średniej pojechałem na krótką wymianę do St. Paul na północy Francji. Uczniowie spędzali za granicą dwa, trzy tygodnie. Mieszkali w tym czasie u rodziny swojego rówieśnika. Później uczeń z Francji jechał do Anglii, do rodziny swojego kolegi. Całkiem nieźle mówiłem po francusku, podobnie jak mama. W dodatku był to sposób na tanie wakacje. Nie musiałem płacić za mieszkanie ani za bilet lotniczy, bo podróżowaliśmy promem. Bardzo chciałem pojechać na narty, ale o tym nie było mowy.

Obie wycieczki bardzo mi się podobały. Gościłem u tej samej rodziny, w małym gospodarstwie, gdzie hodowano kucyki. Dom stał w urokliwej wsi na uboczu, a jedynym nowoczesnym budynkiem był kiosk. Mój francuski kolega miał na imię Jean-Pierre. Wszyscy go lubili. Podczas jego pobytu mama zachowywała się jak prawdziwa gospodyni. Cieszyłem się też, że kiedy u nas mieszkał, ani razu nie zajrzała do butelki. W ostatnich latach niezmiernie rzadko udawało jej się wytrwać w trzeźwości dłużej niż kilka dni z rzędu. Mimo tego, że była niezrównoważona i zdarzały jej się wybuchy agresji, wciąż potrafiła zachować się przyzwoicie.

Pobyt we Francji oznaczał też więcej swobody. Mogłem robić to, co do tej pory było dla mnie zakazane. Wcześniej ani razu nie piłem alkoholu, bo mama - mimo swojego nałogu - surowo zabraniała mi próbować czegokolwiek mocniejszego. Któregoś dnia w jednym z domów odbyła się impreza dla angielskich dzieci. Zwykle nie byłem zapraszany, lecz tym razem na liście gości zna-

leżli się wszyscy uczniowie. Zupełnie zaskoczyło mnie, że rodzice gospodarza wyszli, zostawiając nas samych. Na stole szybko pojawił się alkohol. Ja nic ze sobą nie przyniosłem, więc butelki albo pochodziły z barku rodziców, albo przyniosły je inne dzieciaki.

Próbowałem różnych alkoholi i nie przypadły mi do gustu. Wysokoprocentowe były za mocne, piwo - zbyt gorzkie.

W końcu znalazłem sherry, w którym od razu zasmakowałem. Gęsty, słodki alkohol stał się tego wieczoru moim ulubionym trunkiem, więc przykleiłem się do butelki na całą noc. Szybko się upiłem. Byłem zachwycony. Ogarnęło mnie poczucie nieograniczonej wolności. Zacząłem rozumieć, dlaczego mama tak dużo piła.

Nie pamiętam zbyt wiele z tego wieczoru. Wiem tylko, że wszyscy się upili, a ktoś straszył, że popełni samobójstwo. Jakaś para z hukiem się rozstała. Dziewczyna oznajmiła, że rzuci się z muru okalającego posesję. Po tym, co widziałem w domu, rozhisteryzowana nastolatka, pragnąca zwrócić na siebie uwagę, nie robiła na mnie wrażenia.

Po powrocie do domu mama dała mi więcej swobody, ponieważ mieszkał u nas Jean-Pierre, który również mógł teraz korzystać z wolności. Kiedy jednak jego wizyta dobiegła końca, matka wróciła do starych zwyczajów.

* * *

Jednym z najgorszych aspektów pijaństwa mamy było to, że robiła się wulgarna. Jej słowa szokowały mnie i napawały przerażeniem. Być może wypowiedała je po to, by zranić Rega

i mnie. Zdarzało się, że wymyślała coś specjalnie, aby zwrócić na siebie uwagę. W niedzielę jadalśmy pieczone - zazwyczaj przyrządzał je Reg, a mama tylko czasem mu pomagała.

Pewnej niedzieli zaczęła pić wcześniej niż zwykle. Zanim obiad był gotowy, kompletnie się upiła. Oznaczało to, że nie dołączy do nas przy stole. Jedliśmy więc z Regiem sami, a ona rozbijała się na górze. W pewnym momencie zeszła na dół, z hukiem otworzyła drzwi i stanęła w progu.

- Mam raka - oznajmiła. - Pewnie ucieszycie się, kiedy już umrę.

Po tych słowach trzasnęła drzwiami i wróciła na górę.

Kontynuowaliśmy posiłek w niezmałowanej ciszy. Nic nie mogliśmy poradzić - póki była pijana, w żaden sposób nie wydobylibyśmy z niej prawdy. Nie było to dla nas nic zaskakującego, więc w pewnym sensie uodporniliśmy się na jej sensacyjne opowieści, nawet jeśli były tak szokujące, jak ta.

Jej napastliwość była jednym z powodów, dla których tak szybko odsuwali się od niej znajomi i przyjaciele. Kiedy ktoś pojawiał się na horyzoncie, szybko się zaprzyjaźniali. Przez kilka miesięcy podtrzymywali znajomość, a potem nowy przyjaciel przepadał jak kamień w wodę. Choć mama mogła mówić bez końca, nie potrafiła słuchać. Nie rozumiała, że sama również powinna okazywać trochę zainteresowania. Dlatego właśnie trudno było prowadzić z nią normalną rozmowę.

Nie stanowiło to jednak większego problemu, jeśli wziąć pod uwagę czas, który spędzała, wisząc na telefonie. Prawdziwe kłopoty pojawiały się, kiedy była pod wpływem alkoholu.

Przez telefon stawała się o wiele bardziej uciążliwa. Czasami jej pijackie pogaduchy bywały zabawne, ale w innym wypadku rozmowę łatwo można było uciąć. Niekiedy dzwoniła, jeszcze zanim zdążyła się porządnie upić. Wtedy rozmowa przebiegała w miarę normalnie. Szybko jednak zaczynały się agresywne, obraźliwe telefony. Wystarczyło kilka, żeby rozmówca zakończył znajomość.

Pewnej nocy postanowiła zadzwonić do ojca w Stanach. Nie odebrał, więc zostawiła wiadomość. Nagranie trwało czterdzieści pięć minut. Mówienie bez przerwy przez trzy kwadranse to spore osiągnięcie, a ona w dodatku była w stanie nagrać się na sekretarkę, dzwoniąc za ocean, do człowieka, z którym rozwiodła się wiele lat temu. Zadziwiające, ale prawdziwe. W tamtych czasach nie było jeszcze czegoś takiego jak „darmowe minuty” czy „tanie wieczory”, więc jej wybryk kosztował nas fortunę. Rachunki telefoniczne były horrendalnie wysokie. W jakimś stopniu matka musiała sobie zdawać sprawę z tego, co wyczyniała po alkoholu, skoro rachunki telefoniczne przeglądała na trzeźwo. Widziała, do kogo wydzwaniała, a jednak nie potrafiła się powstrzymać. Nie zniechęciły jej nawet olbrzymie koszty. Przez takie telefony traciła przyjaciół i odsuwała się od rodziny.

Po jakimś czasie na jej telefony alergicznie zaczął reagować nawet Anthony. Nie mógł znieść jej ciągłych obelg i picia, choć to ona zaplanowała australijską wyprawę Rega.

Rodzina Rega zerwała z nim wszelkie kontakty. Wyszło to na jaw w bardzo smutnych okolicznościach. Michael, jego wnuk, lubił jeździć na rowerze po wąskich uliczkach wokół

naszego domu. Jeśli akurat spacerowałem z psami, musiałem ich wtedy bardzo pilnować. Nie lubiłem Michaela i nie ufałem mu. Bałem się, że z czystej złośliwości zechce kogoś z nich potrafić. Z pewnością byłby do tego zdolny. Kiedyś obraził mamę. Zbieraliśmy jeżyny na polu, a on nazwał ją suką. Zdenerwowałem się, ale mama zniosła to spokojnie - dalej zbierała owoce, nie przejmując się obelgami.

Pewnej nocy Michael rozpedził się na rowerze, wpadł na mur i zginął. Nikt z farmy nie powiadomił Rega o wypadku. Nie zaproszono go również na pogrzeb. Mój ojczym miał silną psychikę, a ponadto nie okazywał uczuć, ale z pewnością bardzo cierpiał. Wszystkiemu winny był oczywiście alkoholizm matki.

Na niej nie robiło to jednak wrażenia. Piła coraz więcej, więc sprawy miały się coraz gorzej. Ja sam nie mogłem jednak zmienić numeru telefonu ani zerwać znajomości. Musiałem to wszystko znosić.

Miałem wtedy czternaście lat. Szybko dorastałem i odkrywałem swoją seksualność. Myślę, że matka to zauważyła, bo jej zachowanie uległo istotnej zmianie. Wciąż do mnie przychodziła. Jak zawsze kładła się na łóżku, lecz jej życzenia były teraz inne. Nigdy nie zapomnę pewnej nocy...

* * *

Wchodzi do mojego pokoju. Jest kompletnie pijana, jej wzrok błądzi nieprzytomnie dokoła. Musi oprzeć się o framugę, żeby nie упаść. Wlecze się w stronę mojego łóżka. Gdy usłyszałem, że nadchodzi, wyszedłem z łóżka i teraz stoję obok.

Kładzie się w mojej pościeli, rozkłada nogi i szuka mnie wzrokiem. Stoję w rogu pokoju, więc mnie nie zauważa.

- David... - mamrocze.

Ignoruję ją.

- David! - powtarza nieco głośniej.

Wciąż nie reaguję.

- David! - krzyczy wreszcie.

- Tak, mamó?

Jestem przerażony. Nie potrafię jej ignorować, więc szykuję się na jej zwyczajne zachcianki. Tym razem pragnie czegoś innego.

- Chodź tu i zerznij mnie.

Czuje, jak ciarki przechodzą mi po plecach. Stoję w bezruchu i nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Po tych wszystkich latach, po wszystkim, co mnie spotkało, matka znalazła się na dnie. Zmartwiałem. Wciąż próbuję zrozumieć, czego ode mnie oczekuje.

- Chodź tu i zerznij mnie, David! - tym razem słysząc w jej słowach zniecierpliwienie.

Spoglądam na nią. Leży na moim łóżku. Wije się, mamrocze coś i powtarza, że chce, bym uprawiał z nią seks. W innej sytuacji wystarczyłoby powtórzenie polecenia. Tym razem wiem jednak, że muszę się jej sprzeciwić. Odmawiam. Wychodzę z pokoju, idę do jadalni i siadam przy stole. Chowam głowę w dłoniach. Wciąż nie do końca dociera do mnie, co się właśnie stało.

Z trudem idzie po schodach, przytrzymując się ściany. Wchodzi do jadalni i patrzy na mnie z pogardą. Bez słowa idzie do kuchni i zaczyna szykować jedzenie. Zostaję na dole i pilnuję, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. W końcu idzie spać.

Kręci mi się w głowie. Rozpaczliwie próbuję pogodzić się z faktem, że matka chce to ze mną zrobić. Choć jestem nastolatkiem i hormony we mnie buzują, sama myśl o seksie z nią napawa mnie obrzydzeniem. Nigdy w życiu nie czułem się tak źle.

Muszę znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Coś musi się wreszcie zmienić. Moje siły są na wyczerpaniu i nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Samotność długodystansowca

Udało mi się znaleźć wyjście. Zacząłem radzić sobie z problemami zupełnie inaczej niż dotychczas.

Postanowiłem zadbać o swoje ciało i nabrać formy.

Kluczem do tego było karate.

Co trzy miesiące zdobywałem kolejny stopień, a treningi kontynuowałem aż do osiemnastego roku życia. W sumie trwało to pięć lat. Wytrzymałem, choć większość kolegów prędzej czy później rezygnowała. Drugą dyscypliną, która mnie wciągnęła, były biegi długodystansowe. Pewnego lata postanowiłem poprawić swoją kondycję. Nie nadawałem się na sprintera, ponieważ nie byłem zbyt szybki. Mogłem się za to pochwalić niezłą wytrzymałością. Potrafiłem biec dalej, kiedy inni nie mieli już siły.

Trenowałem w samotności. Nie miałem pojęcia, jak powinienem to robić, więc poszedłem na żywioł. Zaplanowałem sobie trasę przełajową po okolicy. Zaczynałem na płaskim terenie, biegłem pod górę przez las, a potem wspinałem się na szczyt. Wracalem wzdłuż drogi, przez pola. Mierzyłem czas i za każdym

razem starałem się poprawić swój rekord. Uwielbiałem walczyć ze swoją psychiką i z własnym ciałem. Im większy był wysiłek, tym większą odczuwałem satysfakcję.

Treningi kontynuowałem przez całe lato, więc moje wyniki wyraźnie się poprawiały. Wybierałem coraz trudniejsze trasy. Nie wiedziałem jednak, jak wypadam na tle innych - brakowało mi punktu odniesienia. Odkryłem to dopiero po powrocie do szkoły. Nikomu nie mówiłem, jak spędziłem lato - była to moja tajemnica. Wszystko wyszło na jaw, gdy w ramach zajęć WF-u zorganizowano bieg przełajowy.

Ku mojej radości ciężkie wakacyjne treningi opłaciły się. Zamiast wlec się w środku stawki, wysforowałem się na czoło i walczyłem o pierwsze miejsce. Była to dla mnie dodatkowa motywacja. Całą zimę starałem się biegać jak najwięcej.

Wkrótce zostałem jednym z najlepszych biegaczy w szkole.

Wtedy przyszedł czas na wielki wyścig.

Co roku organizowano bieg przełajowy, w którym udział brali reprezentanci wszystkich klas. W czwartej klasie zająłem drugie miejsce; w piątej - wygrałem. Było to bez wątpienia moje największe sportowe osiągnięcie. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy na apelu, w obecności wszystkich uczniów, odbierałem dyplom. Burza oklasków długo jeszcze dźwięczała mi w uszach.

Przy okazji lepiej poznałem siebie. Sukces dodał mi sił. Uwielbiałem wygrywać - zwycięstwo było dla mnie jak narkotyk. Podobało mi się, że nagle znalazłem się w centrum uwagi. W dodatku miałem ku temu dobry powód. Chłopcy, którzy odnoszą sukcesy sportowe, zawsze cieszą się w szkole szacunkiem. Nie potrafiłem grać w rugby, piłkę nożną, krykieta ani

koszykówkę. Sława najlepszego biegacza wystarczyła jednak, bym zdobył zasłużoną popularność.

Zawsze wiedziałem, że drzemała we mnie żyłka współzawodnictwa - po prostu niezbyt często ją ujawniałem. Wziąłem udział w organizowanym przez skautów biegu na orientację i wygrałem. Nie posiadałem się z radości. Nasza skautowska grupa dawno nie wygrała żadnej konkurencji, więc byłem z siebie bardzo dumny. Wiedziałem jednak, że nie nadaję się do drużyny. Wprawdzie miałem w szkole kolegów, ale wolałem być sam. To dlatego karate i biegi przypadły mi do gustu. Podobała mi się samotność długodystansowca. Karate także jest sportem indywidualnym. Dyscypliny te były dla mnie idealne - mogłem ćwiczyć sam, a jednocześnie zyskać podziw.

Niestety, matce moje sukcesy ani trochę nie imponowały. W ogóle się nimi nie interesowała. Bardzo mnie to denerwowało. Mimo tego, co się między nami działo, wciąż oczekiwałem od niej wsparcia i opieki. W kwestii sportu nie mogłem jednak na nią liczyć. Choć samo odnoszenie zwycięstw przynosiło mi wiele radości, bieganie niosło ze sobą również inne korzyści.

Wkrótce zacząłem biegać nocami.

* * *

Niestety, mimo sukcesów w sporcie nie udało mi się znaleźć dziewczyny. Nawet sława zwycięzcy nie wzbudziła zainteresowania koleżanek. Zacząłem więc szukać gdzie indziej. Wkrótce znalazłem istne zagłębienie dziewczyn.

Moja szkoła znajdowała się w pobliżu Ludden Bridge, położonego w dolinie rozciągającej się od Ludden w Yorkshire

po Blackholme w Lancashire. Hrabstwa od zawsze ze sobą rywalizowały - początki konfliktu leżały w przegranej Yorkshire w wojnie Dwóch Róż, która miała miejsce w XV wieku. Stwierdzenie, że mieszkańcy Yorkshire i Lancashire za sobą nie przepadali, to eufemizm. Kiedy byłem nastolatkiem, moi rówieśnicy z obu hrabstw szczerze się nienawidzili.

W Ludden Bridge i Blackholme działały młodzieżowe bandy, które celowo zapuszczały się na ziemie nieprzyjaciela i patrolowały własne. Intruzi nie byli mile widziani. Nie byłem członkiem żadnej z band, ale doskonale wiedziałem, że nie warto wybierać się do Blackholme, jeśli nie szuka się kłopotów. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, czułem wszechogarniające podniecenie. Przechodziłem powolną przemianę z chłopca, który chciał usunąć się w cień, w młodzieńca, który nie dbał o swoje bezpieczeństwo i lubił ryzyko. Wizyty w Blackholme były dla mnie prawdziwą przygodą.

Pewnego piątkowego wieczoru trafiła się wspiania oka-
zja, by po raz kolejny poczuć dreszcz emocji. Joe, jeden z moich szkolnych kolegów, mieszkał w Blackholme. Nie miałem poję-
cia, czemu codziennie chodzi dziesięć kilometrów do naszej
szkoły, skoro liceum ma półtora kilometra od swojego domu. Kiedyś postanowił zorganizować prywatkę, na którą zaprosił między innymi mnie. Od razu się zgodziłem, choć wiedziałem, co mi grozi. Gdyby miejscowi dowiedzieli się o imprezie, moglibyśmy mieć spore kłopoty. Często słyszało się o takich drakach. Szliśmy jednak grupą, więc czuliśmy się bezpiecznie. Oczywiście nie powiedziałem mamie o ryzyku, jakie towarzyszy naszym wypadom, bo nigdy by mnie nie puściła.

Tego wieczoru bawiłem się świetnie. Na imprezie poznałem dziewczynę. Miała na imię Val. Była ładna, szczupła i miała długie włosy. Zaczęła ze mną flirtować. Nie wierzyłem we własne szczęście. Myślę, że chciała się ze mną spotykać tylko dlatego, że pochodziłem z innego miasta, ale to nie miało wtedy znaczenia. Do domu wracałem jak na skrzydłach.

Ponieważ Val mieszkała w Blackholme, żeby się z nią spotkać, musiałem przejść całą dolinę. Ona zaś odwiedzała mnie w Ludden Vale.

Ku mojemu zaskoczeniu mama nie miała nic przeciwko temu, że zamykałem się z Val w swoim pokoju. Pewnego wieczoru, gdy wyszliśmy stamtąd po cudownych chwilach pełnych pieszczot i pocałunków, zatrzymała nas na schodach.

- Tak swoją drogą - powiedziała jak gdyby nigdy nic - chyba założyłeś sweter tył na przód.

Któregoś razu wybraliśmy się na dyskotekę do Winter Ballroom w Blackholme. Wieść o tym szybko rozeszła się po dzielnicy i już po chwili przed dyskoteką zjawiała się spora grupka miejscowych chłopaków. Nie chcieli płacić za wejście, więc bilet kupił tylko największy osiłek. Był przystojny, miał na sobie marynarkę i koszulę z krawatem.

Rozejrzał się i po chwili ruszył prosto na mnie.

- Co tu, kurwa, robisz? I to jeszcze z tą zdziurą? - zapytał, kiwając głową w kierunku Val.

Zamiast grzecznie odpowiedzieć, z całej siły walnąłem go pięścią w twarz. Upadł na ziemię jak długi. Dzięki karate wiedziałem, jak uderzyć, więc mój przeciwnik szybko stracił ochotę na bójkę. Wstał z podłogi i ruszył do wyjścia.

- Już nie żyjesz! - krzyknął na odchodnym.

Spojrzałem na Val - była biała jak płótno.

- Wiesz, kto to był?! - zapytała z drżeniem w głosie. - Ron Masterton! Będziesz miał kłopoty.

- Lepiej już chodźmy.

Z odsieczą przyszedł Joe. Przyprowadził znajomych i razem poszliśmy na imprezę.

- Niech to, Dave, ale sobie nagrabiłeś. Musisz wyjść tylnymi drzwiami. Idź prosto do mnie.

Razem z kumplami i ich dziewczynami znaleźliśmy się na tyłach dyskoteki. Kiedy przechodziliśmy przez główną ulicę, zobaczyłem, jak w oddali zbiera się grupa chłopaków. Jeden z nich wskazał na mnie i wrzasnął: „Tam jest!”.

Rzuciliśmy się do ucieczki. Biegliśmy do domu Joe, a tamci wciąż nas gonili. Udało nam się jednak uciec. Wszyscy najedli się strachu, ale dla mnie była to niesamowita przygoda. Uwielbiałem się bić i przepadałem za dreszczykiem emocji, który towarzyszył pogoni. Przyjąłem postawę kamikaze. Było mi wszystko jedno, czy dorwą mnie i pobiją, czy też to ja będę górą. Nigdy więcej nie spotkałem jednak Rona Mastertona.

* * *

Uzależniłem się od adrenaliny. Samo chodzenie do Blackholme już mi nie wystarczało. Chciałem czegoś więcej. Wolves* (chłopaki z Blackholme) musieli dowiedzieć się, że jestem w okolicy. Mieli mnie szukać.

* *wolves* (ang.) - wilki.

Spotykałem się z Val jeszcze przez cztery tygodnie. Potem mnie rzuciła. Nie uprawialiśmy seksu. Wciąż byłem prawiczkiem, do tego dość nieśmiały. Dowiedziałem się jednak, kto został jej nowym chłopakiem, i byłem pewien, że spotykała się z nim już wcześniej, za moimi plecami. Kiedy zobaczyłem go jadącego na rowerze, wyszedłem na środek ulicy, celnym ciosem wysadziłem go z siodełka, zaciągnąłem na chodnik i jeszcze kilka razy uderzyłem w twarz. Gdy ten miotał się, próbując uciec, wyzywałem go od najgorszych. Nie zabroniłem mu nawet chodzić z Val, chciałem po prostu porządnie mu dołożyć. To i tak nie miało znaczenia. Nadal się spotykali, a ja przestałem się nimi interesować.

Suzy poznałem w klubie młodzieżowym, gdy wciąż chodziłem z Val. To ona mnie poderwała. Nie byłem do tego przyzwyczajony i szybko przekonałem się, że jest dużo bardziej doświadczona niż większość dziewczyn, które znałem. Po kilku dniach poszliśmy na imprezę i kochaliśmy się na podłodze w czyimś pokoju. Pierwszy raz uprawiałem seks i zupełnie się nie przejmowałem, że nie jesteśmy w jakimś bardziej romantycznym miejscu.

Suzy bardzo mnie polubiła. Była ładną, dość niską szatynką w typie chłopczycy. Miała krótkie włosy i wolała chodzić w dżinsach niż w spódnicy. Była dość nierozważna - podobnie jak ja. Wciąż regularnie bywałem w Blackholme. Kręciła mnie świadomość, że nigdy nie wiedziałem, czy aby nie wpadnę na miejscowych. Nie prowokowałem bójek, ale gdy tylko ktoś mnie zaczepił, chętnie puszczałem w ruch pięści. Czasem ta brawura się na mnie mściła, lecz zwykle z takich potyczek wychodziłem zwycięsko.

Kiedy pewnego dnia jechałem autobusem do Suzy, na poboczu zobaczyłem trzech chłopaków z Blackholme. Rzuciłem w ich stronę parę wyzwisk i pokazałem środkowy palec. W odpowiedzi zaczęli na mnie wrzeszczeć.

Parę tygodni później znów jechałem tym autobusem. Wsiadli do niego ci sami goście. Zobaczyli mnie, ale nie odezwali się. Przez całą drogę udawałem, że ich nie znam. Kiedy wychodziłem z autobusu, rzucili się na mnie i zaczęli mnie kopać. Nie pozostałem im dłużny. Zdołałem chwycić jednego z nich i z całej siły uderzyłem go w twarz.

Poobijany wydostałem się jakoś z autobusu i stanąłem na poboczu.

- Wy skurwiele! - krzychałem w ich stronę. - Każdego z was rozwalę, jednego po drugim! Wsiadajcie, mięczaki!

Przechodnie patrzyli na mnie z oburzeniem.

- Na co się gapisz, krowo? - warknąłem do jakiejś kobiety.

Wiem, że zachowanie to zupełnie nie pasuje do dawnego Davida - słabego, uległego i posłusznego rudego uczniaka, który muchy by nie skrzywdził. Tego Davida miałem jednak serdecznie dość. Do czego doprowadziło mnie posłuszeństwo? Nadeszła pora, żebym o sobie zadbał i pokazał wszystkim, z kim mają do czynienia.

Poszedłem do Suzy, która pomogła mi doprowadzić się do porządku. Chciałem jak najszybciej znaleźć swoich oprawców i pokazać im, z kim zadarli, ale dziewczyna mnie od tego odwiodła.

Podobał mi się nowy David. Miałem świadomość, że jestem niebezpieczny i że nie do końca nad sobą panuję. Gdy pew-

nego razu wracałem z imprezy z kumplami z sąsiedztwa, zaczęli nas gonić miejscowi. Miałem w ręku pustą butelkę po wódce. Zrobiłem z niej tulipan i byłem gotów go użyć, gdyby przyparli mnie do muru.

Mimo tego, co działo się w naszym domu, mimo że Reg katował mnie za wiedzą mamy, ona nigdy nie zachęcała mnie do agresywnego zachowania i nigdy świadomie mnie nie uderzyła. Nauczyłem się karate, ale mamie nie spodobałoby się, że tak bardzo lubię się bić. Kiedy byłem młodszy, karała mnie klapsami, lecz teraz nie było o tym mowy. Musiała znaleźć inny sposób. Kiedy więc coś przeskrobałem, krzyczała na mnie i długo rozpamiętywała moje przewinienie. Wolałem być posłuszny, żeby uniknąć tych irytujących scen. Może i lubiłem podniecenie towarzyszące pogoni i bójce, ale w domu wolałem mieć święty spokój.

Tymczasem nauczyłem się radzić sobie z nią, gdy była pijana. Przejrzałem ją na wskroś.

* * *

Wiem, czego chce i jak chce to osiągnąć. Kiedy słyszę ją za drzwiami pokoju, stoję już jedną nogą na podłodze. Gdy przestępuje próg, wyskakuję z łóżka jak z procy, ho jeśli będzie miała ochotę na seks, tam właśnie się skieruje.

- David, zerżnij mnie... - prosi.

Kiedy to słyszę, przechodzą mnie dreszcze. Gdy tylko się kładzie, biorę nogi za pas. Nie mam zamiaru jej słuchać.

Zdarza mi się jednak zasnąć. Jeśli dopadnie mnie, nim wyskoczę z łóżka, zacznie się do mnie dobierać. Choć bardzo tego nie

chę, czasem dochodzi do wzrodu. Zwykle matka jest zbyt pijana, by to zauważyć, ale niekiedy orientuje się i jeszcze bardziej ją to podnieca.

Gdy ciało reaguje wbrew mojej woli, czuję do siebie obrzydzenie. Aż przewraca mi się w brzuchu. Ale w mojej głowie toczy się nieustanna walka. Muszę bronić się przed zakusami matki, bo mam już piętnaście lat i wiem, że to, czego ode mnie chce, jest bardzo złe. Jednak wewnętrzny nakaz posłuszeństwa wciąż jest bardzo silny. Wpłynęła mi bowiem, że powinienem bez szemrania wykonywać jej polecenia. Kiedy jednak domaga się seksu, zdecydowanie się sprzeciwiam. Próbuje mnie do tego namówić lub zmusić na różne sposoby. Czasem stosuje szantaż emocjonalny: „Zrobiłbyś to, gdybyś mnie naprawdę kochał”. Kiedy indziej jest bardziej stanowcza lub nawet wulgarna: „Rób, co ci matka każe!”, „W ogóle mnie nie kochasz!”, „Ty egoistyczny skurwielu!”.

Presja psychiczna jest wtedy nie do zniesienia. Muszę więc uciec, zanim padną te słowa. Dlatego też robię wszystko, żeby nie zasnąć, kiedy matka pije.

Matka nie wie o tym, dopóki nie wejdzie do pokoju. Gdy mnie jednak zobaczy, stara się wykorzystać sytuację. Zapala światło, wchodzi, ściąga kołdrę i kładzie się na mnie.

Dopiero wtedy budzę się i dociera do mnie, co się dzieje: próbuje wprowadzić mój członek do pochwy.

- Mamo - mówię przez sen - zejdź ze mnie!

Nie zwraca uwagi na moje protesty i podejmuje kolejne próby. Wciąż jestem rozespany, więc odruchowo ją odpycham. Spada z łóżka i z impetem uderza głową o podłogę. Wstaje, oszołomiona jeszcze bardziej niż zwykle, i wychodzi z pokoju.

* * *

Zrozumiałem wtedy, że gdyby tylko mogła mnie zgwałcić, zrobiłaby to. W pewnym sensie cieszyłem się, że jestem chłopcem, którego molestuje matka alkoholiczka. W dużo gorszej sytuacji znajduje się bowiem dziewczynka, która ma ojca tak agresywnego jak moja matka. Gdybym nie ignorował jednak jej żądań, już dawno doszłoby do stosunku. Kiedyś nawet rozważałem taką możliwość. Zastanawiałem się, czy - gdybym się z nią kochał - uspokoiłaby się i byłaby szczęśliwsza. Poza tym, gdy zrobiła już swoje, zawsze dawała mi spokój. Nie podobało mi się, że mnie do tego zmuszała, ale i tak to robiłem. Może tym razem byłoby tak samo.

Różnica polegała na tym, że byłem teraz dużo starszy. Wiem, że już to, co robiliśmy dawniej, było złe, ale teraz chciała więcej. To już zupełnie nie mieściło mi się w głowie. Poza tym teraz miałem wybór. Nie potrafiłbym dalej żyć, gdybym się ugiął, bez względu na to, jak bardzo by naciskała. Rano mama nie musiała rozmyślać o tym, co się stało, bo zwyczajnie nic nie pamiętała - w przeciwieństwie do mnie. Gdyby do tego doszło, cierpiałbym katusze do końca życia.

Drugi problem polegał na tym, że nie miałem się komu zwierzyć. Miałem kolegów i koleżanki, ale nikt nie był mi wystarczająco bliski. Kiedyś powiedziałem przyjacielowi o próbie samobójczej, lecz był to poważny błąd. Nie chciałem go powtórzyć. Z Suzy było mi bardzo dobrze, lecz nie byłem gotowy, by jej o wszystkim powiedzieć. Reg był za stary i nie obchodziłem go, a sam pomyśli, by zdradzić mu, do czego zmuszała mnie

matka, wydawał mi się nedorzeczny. Nie mogłem też porozmawiać z mamą, bo gdy była trzeźwa, nie pamiętała, co wyczytniała po alkoholu.

Nauczyłem się milczeć. Jako wyrostek uznałem, że najlepiej poradzę sobie z problemami, zostając specem od włamań.

* * *

Nie wiem, co mnie pchnęło w tę stronę. Zaczęło się chyba od tego, że polubiłem drogie sportowe ubrania. Było to bardzo dziwne, bo mama zawsze szczyciła się tym, że potrafi znaleźć najtańszą odzież. Zainteresowania modnymi, drogimi ubraniami z pewnością więc nie odziedziczyłem po niej. Problem polegał jednak na tym, że skoro nie mogłem ich kupić, musiałem kraść.

Złodziejską karierę ułatwił mi alkoholizm matki. Całe życie zmagala się z bezsennością, więc zawsze miała pod ręką zapas tabletek, dzięki którym mogła spokojnie przespać noc. Jeśli akurat nie piła, często budziła się, robiła sobie herbatę i czytała, dopóki nie powrócił sen.

Po alkoholu jej noc wyglądała zupełnie inaczej. Spała jak kamień i budziła się dopiero rano. Nie wstawała nawet do toalety - miała na łóżku gumowane prześcieradło, więc najwyraźniej po alkoholu zdarzało się jej nie utrzymać moczu.

W przeciwieństwie do mnie mama i Reg już spali. Cały wieczór laziłem za nią po domu, żeby upewnić się, że w końcu trafi do łóżka i zaśnie. Nie chciało mi się spać, więc wszystko ułożyło się wyśmienicie. Najlepszą porą na włamanie był środek nocy. Kiedy upewniłem się, że mama śpi głęboko, ubrałem się. Zwykle zakładałem krótkie spodnie i sweter. Biegałem co noc

i byłem w wyśmienitej formie. Postanowiłem, że na miejsce włamania dotrę na piechotę.

Pierwszego włamania dokonałem w budynku, który znałem najlepiej - w mojej szkole. Choć zakładałem, że może być strzeżona, nie zamierzałem rezygnować. Szkoła znajdowała się kilka kilometrów od mojego domu, a najlepsze było to, że mogłem pobiec tam doliną, omijając drogi, na których można natknąć się na patrol policji. W Penninach nie ma ani skrawka płaskiego terenu - ziemia ciągle pnie się w górę lub schodzi w dolinę. Biegłem szybciej niż kiedykolwiek, bo jeszcze nigdy nie dostałem takiego zastrzyku adrenaliny.

Po dotarciu do szkoły zakradłem się na dziedziniec. Serce waliło mi jak młot. Cieszyłem się każdą sekundą nocnej przygody. Sprawdziłem wszystkie drzwi - żadne nie były otwarte. Okna również były pozamykane. Zrozumiałem, że muszę wybić szybę, więc sięgnąłem po kamień. Brzęk tłuczonego szkła okazał się bardzo głośny. Pobiegnę na dziedziniec, żeby schować się w krzakach. Alarm wprawdzie się nie włączył, ale chciałem się upewnić, że nikt nie usłyszał hałasu.

Cierpliwie odczekałem kilka minut, aż uznałem, że jest bezpiecznie. Choć wybicie szyby zdawało się bardzo lekkomyślne, pozostałe czynności miałem dokładnie przemyślane. Starannie usunąłem odłamki szkła z framugi, na wypadek gdyby ktoś mnie zauważył i musiałbym uciekać.

W szkole było ciemno i pusto. Budynek robił niesamowite wrażenie. Zamiast tysiąca dwustu dzieciaków na korytarzu byłem tylko ja. Poszedłem do sekretariatu. Okno było zamknięte, ale udało mi się je otworzyć. W środku znała-

złem puszkę z drobnymi. Ukradłem je, wyszedłem przez okno i pobiegłem do domu. Po cichu zakradłem się do pokoju, rozebrałem się i położyłem do łóżka.

Choć dochodziła trzecia, wciąż nie mogłem zasnąć. Serce biło jak szalone. Właśnie dokonałem pierwszego włamania. Czułem się wspaniale. Udało mi się ukraść pieniądze i wreszcie było mnie stać na ubrania, których tak bardzo pragnąłem. Ani na chwilę nie zmrużyłem oka, jednak rano wcale nie czułem zmęczenia.

Poranna droga do szkoły wywołała we mnie dziwne uczucie, które nasiliło się, gdy ujrzałem zabite deskami okno. Gdy uświadomiłem sobie, co się stało, poczułem się jeszcze lepiej. Tylko ja wiedziałem, co zaszło ubiegłej nocy.

Już wcześniej nauczyłem się ukrywać przed światem złe tajemnice, picie matki i szczegóły dotyczące naszych relacji. Ta tajemnica była jednak, według mnie, dobra i podobało mi się, że znam ją tylko ja. W ogóle nie przejmowałem się moralnymi aspektami swojego czynu. Wręcz przeciwnie, byłem zachwycony, że odkryłem coś, w czym jestem dobry. Zaplanowałem włamanie i bezbłędnie je zrealizowałem. Należałoby mi pogratulować. Byłem z siebie niezmiernie dumny.

* * *

Pierwsza przygoda na przestępczej ścieżce zachęciła mnie do kolejnych prób. Nie wszystkie były jednak udane. Następnym celem była moja dawna podstawówka. Plan był identyczny jak poprzednio. Zakradłem się budynku od tyłu i cegłą rozbiłem okno. Niestety, w szkole zainstalowano alarm, który roz-

dzwonił się natychmiast, gdy tylko pękła szyba. Błyskawicznie zerwałem się do ucieczki, by uniknąć spotkania z policją. Do łóżka położyłem się z uczuciem rozczarowania. Powrót do domu z pustymi rękoma nie należał do najmiłszych.

Chłama owca

Dotychczas moja złodziejska kariera nie rozwijała się najlepiej. Nie udało mi się zdobyć większych pieniędzy. Musiałem włamać się gdzieś, gdzie znalazłbym cenniejszy łup. Pewnego ranka doznałem olśnienia: postanowiłem obrać kiosk, w którym pracowałem. Dochody mamy i Rega nie były zbyt wysokie, co przekładało się na moje kieszonkowe. Musiałem więc sobie dorabiać.

Już jako dzieciak doręczałem poranną prasę. Wstawałem o szóstej rano, biegłem do kiosku, roznosiłem gazety i wracałem do domu o wpół do ósmej. Lubiłem swoją pracę i cieszyło mnie, że mam własne pieniądze. Nadeszła jednak pora na „podwyżkę” - kiosk stał się celem następnego włamania. Miałem zamiar ukraść nie tylko pieniądze, ale i papierosy. Sprzedając je szkolnym palaczom, mogłem zarobić fortunę.

Bardzo przejąłem się swoim pomysłem i zacząłem planować skok w najdrobniejszych szczegółach. Musiałem uderzyć w środku nocy. Nie stanowiło to dla mnie żadnego problemu,

bo i tak kłopoty z matką sprawiły, że nie potrzebowalem zbyt duzo snu. Trzeba bylo tylko zdobyć więcej informacji i zapoznać się z grafiką patroli policji. Dzięki temu kilka razy uniknąłem złapania. Postanowiłem niczego nie zostawiać przypadkowi.

Przez dwie noce, między drugą a czwartą, obserwowałem kiosk. Usiadłem na częściowo osłoniętych kamiennych schodach po drugiej stronie ulicy. Przede wszystkim zwracałem uwagę na policję. Byłem dumny ze swojego misternego planu. Doskonale przygotowanie miało zagwarantować mi bezkarność. Tylko głupek, który nie pomyślał o zaplanowaniu roboty, zasługiwał na schwytanie. Ja byłem przecież mądrzejszy.

Poczekałem, aż matka zasnęła po wypiciu butelki whisky, ubrałem się na czarno i wymknąłem się z domu. Zabrałem ze sobą sportową torbę. Zaczaiłem się w cieniu przy kiosku i czekałem, aż ulicą przejedzie jakiś samochód. Odgłos silnika miał służyć brzęk szkla, inaczej wszyscy usłyszeli by, jak się włamuję. Kiosk stał wprawdzie w pasażu handlowym, ale w pobliżu były także budynki mieszkalne - nie chciałem nikogo obudzić.

Cierpliwie czekałem na odpowiedni samochód. W końcu na drodze pojawiła się ogromna ciężarówka. Ustawilem się tak, żeby kierowca mnie nie zauważył. Gdy przejeżdżał obok, ostrożnie stłukłem róg witryny i pobiegłem do kryjówki na schodach. Musiałem się upewnić, że nikt nic nie słyszał i nie wezwał policji.

Te kilka chwil trwało całą wieczność. W końcu zakradłem się z powrotem pod kiosk i starannie usunąłem szkło. Po kilku minutach otwór, przez który mogłem przejść, był gotowy. W szufladach znalazłem sto funtów gotówką i Savestrips – ulgowe bilety autobusowe, które miały dla mnie wymierną

wartość Pieniądze, które dostawałem na nie od matki, zamie-
rzałem wydać na coś innego. Torbę napełniłem papierosami.
W szkole mogłem zarobić na nich więcej w godzinę niż jako
gazeciarski przez cały rok. Przeżyłem chwile grozy, gdy ulicą prze-
jechał radiowóz. Nie przewidziałem, że policja może pojawić
się, gdy będę w kiosku. Schowałem się za kontuarem, ale i tym
razem mi się upiekło. Samochód pędził na sygnale do wypadku
i przy tej prędkości policjanci nie mieli szans zauważyć, że nie-
wielka szyba witryny została zbita.

Wyszedłem z kiosku tą samą drogą, którą wszedłem
do środka. Niedaleko znajdował się kanał. To właśnie tam
postanowiłem ukryć swój łup. Schowałem torbę w krzakach tak,
by nie zauważyli jej przechodnie. Do domu wróciłem o czwartej
nad ranem. Wciąż rozpierała mnie energia. Życie stało się jesz-
cze bardziej emocjonujące, a ja czułem się wspaniale. Dokład-
nie zaplanowałem włamanie i wszystko poszło jak z płatka.
Wprost pękałem z dumy.

Rano wcale nie miałem ochoty roznosić gazet. Szef mógłby
jednak zacząć coś podejrzewać, gdybym nie przyszedł do pracy
po włamaniu. Poza tym musiałem zająć się obowiązkami wcze-
śniej niż zwykle, żeby zdążyć zabrać torbę z łupem do szkoły. Nie
zmrzyłem nawet oka i już o wpół do szóstej poszedłem do kio-
sku. Zobaczyłem, że okno zabito deskami, a wokół leżą odłamki
szkła. Nie do końca docierało do mnie, że to moja sprawka.
Gdy przechodziłem przez próg, serce podeszło mi do gardła.
Z trudem się odezwałem.

– Co tu się stało, Ian?

Szef wypełniał właśnie papiery.

- Jakiś sukinsyn włamał się i ukradł towar. – Podniósł na mnie oczy. - Czemu przyszedłeś tak wcześniej?

- Nie mogłem spać - odpowiedziałem, unikając jego wzroku. Gdyby nasze spojrzenia się spotkały, od razu pojąłby, że jestem winny.

- Nie przygotowałem jeszcze gazet. Poczekaaj chwilę.

Patrzyłem, jak szykuje mi paczkę. Poczuję się fatalnie. Mój nocny wyczyn nie stanowił dla mnie większego problemu, ale powrót na miejsce zbrodni za dnia okazał się niezwykle stresujący.

Ilan wręczył mi gazety. W rekordowym czasie pokonałem swoją trasę, a potem popędziłem do domu. Zjadłem śniadanie i bąknąłem, że chcę iść do szkoły wcześniej. Mama miała kaca, więc nie zadawała pytań. Poszedłem nad brzeg kanału, wziąłem torbę i ruszyłem do szkoły.

Gdy tylko dotarłem na miejsce, podszedłem do jednego z uczniów. Wiedziałem, że pali, więc zapytałem, czy interesują go tanie papierosy. Kiedy otworzyłem torbę i zobaczył, ile mam towaru, aż promieniał z radości. Uznał chyba, że to jego szczęśliwy dzień. Jeszcze przed poranną przerwą o mojej torbie wiedział każdy palacz. Papierosy sprzedawały się jak ciepłe bułeczki.

Pierwszy raz byłem naprawdę popularny. Nigdy dotąd nie interesowało się mną tyle osób, co tego dnia. Wiedziałem, że tak naprawdę chodzi im o tanie fajki, ale i tak czułem się świetnie. Podczas przerwy obiadowej uczniowie szukali mnie i mojej torby po całej szkole. Na popołudniowe lekcje poszedłem bardzo podniecony. Nie mogłem się skupić, bo oczyma wyobraźni widziałem, jak rozwija się moja przestępcza kariera. W głowie

zrodził mi się doskonały pomysł na nowe życie: codziennie będę się gdzieś włamywał i sprzedawał lupy. Niepotrzebne mi egzaminy i dyplomy! Będę mógł też uwolnić się wreszcie od mamy.

Ale w jednej chwili moje plany legły w gruzach.

Gapiłem się właśnie przez okno na pierwszej lekcji po przerwie obiadowej, gdy ktoś wszedł do klasy i szepnął coś nauczycielowi. Ten spojrział na mnie i powiedział ostatnią rzecz, którą chciałem usłyszeć:

- David, do gabinetu dyrektora.

Zamarłem. Oczy wszystkich uczniów zwróciły się w moją stronę. Wiedzieli już, że to ja mam papierosy, lecz nie mieli pojęcia, skąd je wziąłem. Pewnie domyślili się, że wizyta u dyrektora ma z nimi związek. Podniosłem się i poszedłem do gabinetu. Może nie będzie tak źle. Przecież nie mogli wiedzieć, że to ja się włamałem, więc nie powiązalıby papierosów, które sprzedawałem w szkole, z towarem skradzionym z kiosku. Poza tym, gdyby sprawa była naprawdę poważna, dyrektor przyszedłby po mnie osobiście.

Idąc pustym korytarzem, nie czułem już tak dużego zagrożenia. Pana Raymonda, dyrektora, uważałem za prawdziwego mięczaka. Był wysoki, miał siwe włosy i niski głos. Nie pasował do szkoły w północnej Anglii, w której uczyły się dzieci robotników. Skłamię, do niczego się nie przyznam i na tym skończy się cała afera.

Zapukałem do drzwi.

- Proszę.

Byłem zaskoczony. Głos dochodzący z gabinetu nie należał do dyrektora. Wezwał mnie pan Price, wicedyrektor. Mina

mi zrzęda. Wicedyrektor był bardzo surowy i zawieszał już uczniów za rzeczy, które inni nauczyciele lekceważyli.

Ze strachem otworzyłem drzwi. Wcale nie miałem ochoty tam wchodzić. Na środku pokoju zobaczyłem dwa krzesła ustawione naprzeciw siebie. Nie było między nimi stołu ani biurka.

- Zamknij drzwi i usiądź, Davidzie - powiedział.

Kiedy wykonałem polecenie, natychmiast pochylił się w moim kierunku i wypalił:

- Wiem, że rano włamano się do kiosku, w którym pracujesz.

Cholera jasna! Świat zawirował mi przed oczami. Nie tak miało być! Skąd on niby wie? Nie wiedziałem, co zrobić. Rozejrzałem się, jakbym liczył na interwencję tajemniczej siły, która wybawi mnie z opresji.

- Rozmawiałem z policją. Chcą pomówić z tobą o włamaniu - ciągnął pan Price.

Z jego słów jasno wynikało, że nie tylko wie o włamaniu, ale także ma dość dowodów, by mnie z nim połączyć. Parę godzin po kradzieży, która miała miejsce w moim kiosku, sprzedawałem na przerwach papierosy. Nie było mowy o zwykłym zbiegu okoliczności. Chyba zwariowałem, skoro myślałem, że ujdzie mi to płazem. Nie mogłem złapać oddechu, próbowałem nie ulec panice. Spojrzałem na wicedyrektora i pomyślałem, że może warto byłoby do wszystkiego się przyznać.

Szybko jednak odegnałem od siebie tę myśl. Poczułem zbliżający się atak klaustrofobii. Wiedziałem, że muszę stamtąd uciec. Z całej siły odepchnąłem krzesło i wyskoczyłem z gabinetu jak z procy. Pan Price był stary i gruby, więc nie miał szans

mnie dogonić, nawet gdyby próbował. W holu spotkałem znajomą dziewczynę.

- Cześć! - wykrztusiłem z trudem.

Pobiegłem korytarzem. Akurat trwała lekcja, toteż na nikogo więcej się nie natknąłem. Miałem niezłą kondycję, dlatego błyskawicznie znalazłem się przy szkolnej bramie. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie goni. Byłem sam. Zatrzymałem się więc i zacząłem rozglądać się za policją, która zapewne ruszyła już za mną w pościg. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Nie mogłem złapać tchu.

Musiałem przeanalizować sytuację. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Nie miałem pojęcia, jak to się skończy. To był jednak drobiazg w porównaniu z prawdziwym problemem: mama dowiedzie się, co zrobiłem. Będzie zdruzgotana. Nie potrafiła panować nad nerwami, więc moje dokonania mogły przyprawić ją o zawał. Chciałem ją chronić - pomimo tego, co robiła mi, gdy była pijana, i pomimo tego, jak bardzo się stoczyłem.

Choć może się to wydać śmieszne, zacząłem rozmyślać, co by się stało, gdyby jednak o niczym się nie dowiedziała. Po chwili znalazłem się na przystanku, z którego czasem jeździłem do domu. Coraz bardziej się denerwowałem. Na przystanek przyszła szkolna kucharka, która właśnie skończyła pracę. Spojrzała na mnie zdziwiona - powinienem przecież być na lekcjach. Nie powiedziała jednak ani słowa.

Z każdą minutą mój niepokój narastał. Nie chciałem mieć kłopotów ani z policją, ani z mamą. Nie myślałem już racjonalnie i nie wiedziałem, co mogę zrobić. Musiałem jednak coś wymyślić. Po ucieczce z gabinetu dyrektora spodziewałem się,

że coś się stanie. Może dogoniłby mnie któryś z nauczycieli i zaprowadził z powrotem do szkoły? Może ktoś wezwałby policję i radiowóz zgarnąłby mnie na posterunek?

Tymczasem nie stało się nic. Zupełnie nic.

Stałem i rozmyślałem o tym, co mnie czeka. Ogarnął mnie lęk. Gdybym został skazany, miałbym w aktach wyrok. W domu byłoby jeszcze gorzej. Mama nie radziła sobie ze stresem i chyba dostałaby pomieszania zmysłów na wieść o tym, czego dopuścił się jej syn. Zaczęłaby pić jeszcze więcej i częściej przychodziłaby do mojej sypialni. Czułem się tak jak wtedy, gdy rzuciła mnie pierwsza dziewczyna i zacząłem połykać tabletki. Byłem przekonany, że to już koniec i że lepiej się zabić, niż dalej tak się męczyć. Odwróciłem się do kucharki i powiedziałem coś - nie wiem nawet co, ale musiałem napędzić jej strachu.

Po chwili to zrobiłem. Wszedłem na ulicę wprost pod nadjeżdżający samochód. Auto gwałtownie odbiło i ominęło mnie, ale nie zrezygnowałem. Ruszyłem w stronę następnego samochodu. Chciałem, żeby ktoś mnie potrącił, jednak i tym razem się nie udało. Ja zaś nadal szedłem jezdnią pod prąd. Trzeci samochód uderzył prosto we mnie.

* * *

Później zobaczyłem szpital. Nie miałem żadnego złamania. Okazało się, że samochód prowadził katolicki ksiądz.

Mama czuwała przy moim łóżku. Wyglądała, jakby dźwigała na barkach ciężar całego świata. Prawie straciła syna i ciężko to przeżyła. Dowiedziała się też, że jestem młodocianym przestępcą i że moją sprawą zajęła się policja. Nie wiedzia-

łem tylko, jak połączono mnie z włamaniem. Nie mieli jednak wątpliwości, że to moje dzieło.

Tego dnia matka nie była ze mnie dumna. Zrobiło mi się wstyd.

- Jak się czujesz? - zapytała ze łzami w oczach.

- Dobrze, mammo.

Wzięłam ją za rękę.

- Co tam się stało?

- Nie wiem, nie pamiętam - skłamałem.

Moja sytuacja nie wyglądała najlepiej, w dodatku leżałem w szpitalu. Ale miałem już plan. Postanowiłem udawać, że straciłem pamięć. Mama jednak od razu mnie przejrzała i nie pozwoliła na żadne wykręty.

- Powiedz prawdę, David - poprosiła.

Przyznałem się do wszystkiego. Milczała, ale na jej twarzy malowało się przerażenie. Nie miała pojęcia, że wymykałem się nocami z domu. Nie komentowała moich słów ani mnie nie oceniała. Była po prostu zdruzgotana.

Wkrótce przyjechali policjanci. Im również o wszystkim powiedziałem. Ze względu na okoliczności chyba nawet mi współczuli. Choć wpadłem w poważne tarapaty, usłyszałem coś, co dobrze wpłynęło na moje samopoczucie. Śledczych zaskoczyła wiadomość, że za włamaniem stał uczeń. Skok był tak dokładnie zaplanowany i tak bezbłędnie wykonany, iż początkowo uznali, że to sprawka profesjonalnego włamywacza. Niestety, ich słowa sprawiły, że znów rozpieła mnie duma.

Kiedy wróciłem do domu, odwiedził mnie wicedyrektor Price. W szkole miał opinię potwora, lecz naprawdę prze-

jął się moim losem. Większość uczniów trzymała się teraz ode mnie z daleka. Wcześniej z wieloma z nich żyłem w zgodzie, lecz nie miałem przyjaciół, a ostatnie wydarzenia tylko powiększyły dzielącą nas przepaść. W normalnych okolicznościach wszyscy próbowaliby się ode mnie dowiedzieć, co się wydarzyło. Ale nie tym razem. Zaczęli się obawiać dziwnego dzieciaka, który obrabował kiosk i próbował popełnić samobójstwo. Pewnie uznali mnie za wariata i stwierdzili, że lepiej się do mnie nie zbliżać.

Były jednak wyjątki od tej reguły. Kilkoro uczniów, z którymi wcześniej nie zamieniłem ani słowa, powiedziało mi, że jeśli będę miał ochotę, mogę z nimi porozmawiać. Zrozumiałem, że nie tylko ja miałem za sobą próby samobójcze.

Wiele lat później dowiedziałem się, że po moim wypadku, na początku 1983 roku, mama napisała o wszystkim tacie. Ojciec odpisał: „Nigdy nie sądziłem, że David mógłby mieć myśli samobójcze”. Policjanci, nauczyciele, uczniowie, mama, a nawet ojciec - wszyscy uważali, że sprawa była niezwykle poważna. W rzeczywistości jednak nie chciałem wtedy umrzeć, podobnie jak nie pragnąłem śmierci, gdy przedawkowałem tabletki.

Tym razem była jednak pewna różnica. Kiedy chciałem przestać brać tabletki, po prostu to zrobiłem. Rano obudziłem się w łóżku, bo postanowiłem żyć. Problem z wypadkiem samochodowym polegał na tym, że od pewnego momentu nie miałem już wpływu na bieg wypadków. Później mama powiedziała mi, że otarłem się o śmierć.

Nie znałem się na prawie, więc nie miałem pojęcia, co mnie czeka.

Mama przekonała policję, że jesteśmy porządną rodziną. Oczywiście według niej i osób postronnych tak właśnie było.

Kiedy trafiliśmy na posterunek, okazało się, że policja postanowiła dać mi drugą szansę. Inspektor zabrał mnie do gabinetu i udzielił ostrej reprimendy. Nigdy nie byłem pyskаты, dlatego i tym razem przybrałem odpowiednio żalowaną minę. Wyrzuciłem głębokie ubolewanie i przysięgłem, że to się już nigdy nie powtórzy.

Koniec końców, zaplanowanie i dokonanie włamania w środku nocy połączone z kradzieżą kilkuset funtów w gotówce i towarze oraz z paserstwem poskutkowało jedynie policyjnym dozorem.

Nie można było wówczas podjąć gorszej decyzji.

* * *

Dozór policyjny w najmniejszym stopniu nie wpłynął na moje postępowanie. Prawdę mówiąc, żałowałem tylko, że dałem się złapać.

Właściwie zaraz po wyjściu z posterunku postanowiłem kontynuować swoje dzieło. Wprawdzie zaklinałem się przed matką i przed policjantami, że to się nigdy nie powtórzy, ale kłamałem wtedy jak z nut. W podjęciu decyzji pomogła mi także świadomość, że byłem w tym naprawdę dobry. W końcu sami policjanci przyznali, że działałem jak zawodowiec. Jedyne problem stanowiło upłynnienie towaru. Ten aspekt mojej działalności wymagał dopracowania. Ogólnie rzecz biorąc, uznałem się za dobrego włamywacza, bo nigdy nie przyłapano mnie na gorącym uczynku.

Postanowiłem rozwinąć skrzydła.

Chciałem kupić sobie modne ubranie. W tamtym czasie za ostatni krzyk mody uznawano swetry marki Pringle - niczego nie pragnąłem bardziej. Można je było kupić w Halifaxie. Znałem ten sklep z wycieczek do miasta, kiedy - jak to dzieciak - z nosem przy szybie oglądałem rzeczy, na które nie mogłem sobie pozwolić. Pamiętałem, że sklep miał wielką witrynę, więc wystarczyło stłuc szybę, by zdobyć towar z wystawy. Jeśli ubranie by na mnie nie pasowało, zawsze mogłem je sprzedać.

Z garażu wziąłem mały łom. Reg miał mnóstwo zardzewiałych narzędzi, których w ogóle nie używał. Z pewnością nie zauważyłby, gdyby jedno z nich zniknęło. Poczekalem, aż mama się upije. Gdy nastał ten wieczór, jak zwykle obserwowałem ją, dopóki nie zasnęła. Potem szybko się przebrałem. Włożyłem adidasy, krótkie spodnie oraz czerwony sweter z napisem „Paris” i wieżę Eiffla. Kupiłem go rok wcześniej, podczas drugiego pobytu we Francji. Choć był już bardzo zniszczony, nadal go lubiłem.

Sklep, który obrałem sobie za cel, znajdował się sześć kilometrów od naszego domu. Ze wszystkich punktów mojego planu do gustu nie przypadł mi jedynie bieg do miasta wzdłuż głównej drogi. Nie mogłem iść wzgórzami, bo trasa byłaby zbyt długa. Z kolei przy głównej drodze z dużym prawdopodobieństwem mogłem natknąć się na patrol, który z pewnością natychmiast zatrzymałby piętnastolatka biegającego po nocy z łodem pod pachą. Wymyśliłem więc sprytny plan: ilekroć usłyszę nadjeżdżający samochód, schowam się na przystanku albo za pobliskim murem. Poczekam, aż niebezpieczeństwo minie, i dopiero wtedy udam się w dalszą drogę.

Ruszyłem truchtem do Halifaxu. Przebiegnięcie takiej odległości nie było dla mnie problemem, mały łom również mi nie przeszkadzał. Nie dopuszczałem do siebie myśli o powrocie z pustymi rękami. Adrenalina buzowała mi w żyłach i sprawiała, że biegłem jak na skrzydłach. Znowu poczułem, że żyję. Podobała mi się otaczająca mnie ciemność. Już dawno przestawiłem się na nocny tryb życia. Lubilem spacerować po zmroku, gdy wokół panowała niezmacona cisza. Szybko złapałem odpowiedni rytm, lecz ilekroć przejeżdżał samochód, musiałem się chować i poczekać, aż odjedzie. Denerwowało mnie to, więc postanowiłem, że po prostu będę się oglądał na nadjeżdżające auta. Ukryję się dopiero, jeśli zobaczę niebieskiego koguta. Minęło mnie parę samochodów i mój system się sprawdził. Potem jednak rozpętało się piekło.

Z tyłu nadjeżdżał samochód. Odwróciłem się, lecz nie zobaczyłem go wyraźnie. Po chwili stał już przy mnie. Był to radiowóz. Funkcjonariusz na fotelu pasażera otworzył okno. Zobaczył mój łom i zawołał, równocześnie otwierając drzwi:

- Co tu robisz, chłopcze?

Pytanie zadał dość ostrym tonem, co było zupełnie zrozumiałe - biegający po nocy nastolatek z łomem w dłoni to dość niecodzienny widok. Gdy tylko zobaczyłem policjanta, rzuciłem łom i zerwałem się do ucieczki. Skierowałem się w stronę domu. Gliniarz ruszył za mną w pogoń, ale nie miał szans. Pędziłem jak rakieta.

- Łap go! - krzyknął do partnera.

Kierowca zaczął cofać radiowóz i włączył syrenę. Drugi policjant już mnie doganiał, więc przeskoczyłem ogrodzenie

i pobiegłem w stronę lasu. Gdy znalazłem się po drugiej stronie, zwolniłem, próbując złapać oddech.

Wtem spostrzegłem zbliżające się światła radiowozu. Po chwili samochód pędził prosto na mnie. Policjanci zobaczyli mnie, więc przeskoczyłem przez kolejne ogrodzenie i pobiegłem przed siebie. Od wolności dzielił mnie już tylko kanał, a za nim ogrodzenie zakładu. Byłem w pułapce, ale policjanci musieli po mnie przyjść, jeśli chcieli mnie złapać. Schowałem się za krzakiem i zamarłem. Bałem się choćby głośniej odetchnąć.

Wóz zatrzymał się przy murze. Funkcjonariusze z wielkimi latarkami w dłoniach zaczęli rozglądać się po okolicy. W końcu najwyraźniej stwierdzili, że udało mi się uciec, więc odjechali.

Uznałem, że niebezpiecznie byłoby biec dalej do miasta. Pościg wytrącił mnie z równowagi - nie planowałem spotkania z policją. Postanowiłem wrócić do domu, ale nie mogłem ryzykować, wracając tam, gdzie natknąłem się na patrol. Musiałem więc iść brzegiem kanału, który ciągnął się również obok mojego domu.

Pozostał tylko jeden drobny problem: utwardzony brzeg znajdował się po drugiej stronie, zatem by dotrzeć do ścieżki, musiałem przejść kanał. Miał może metr głębokości. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi, więc powoli przebrnąłem przez wodę i ruszyłem do domu.

Wróciłem przemoczony do suchej nitki. Rozebrałem się jeszcze na dworze, a mokre ubrania włożyłem do plastikowego worka. Umyłem się i położyłem do łóżka. Byłem zmarznięty i zmęczony, ale czułem się świetnie. Zmierzyłem się z policją i wygrałem.

Postanowiłem raz jeszcze podjąć próbę włamania się do sklepu. Ostatnio przeszkodziła mi policja. Tym razem miałem lepszy plan.

Po lekcjach udałem się do Mystendyke i kupiłem nóż do szkła - dzięki niemu wycięcie otworu w witrynie nie stanowiło już żadnego problemu, a ponadto mogłem zrobić to ciszej, niż wybijając szyby cegłą czy łomem. Znów odczekałem, aż mama się upije, i biegiem ruszyłem do Halifaxu. Wybrałem trasę wzdłuż kanału i dalej przez las, omijając drogę. Pamiętałem o nauczce, którą poprzednio otrzymałem.

Sklep znajdował się w centrum miasta. Zbliżając się do celu, starałem się cały czas pozostawać w ukryciu. Skradałem się od ściany do ściany. Gdy dotarłem na miejsce, obejrzałem witrynę. Ucieszyłem się na widok pięknego, wzorzystego swetra Pringle. Żaden z kolegów nie miał takiego drogiego modelu. Jeśli udałoby mi się go zdobyć, wszyscy w szkole zzielenieliby z zazdrości.

Z zapalem wziąłem się do pracy. Zaznaczyłem kontur, który chciałem wyciąć w szybie. Po kwadransie stało się jednak jasne, że nóż przeznaczony jest do dużo cieńszego szkła. Nie przewidziałem, że szyba witryny będzie wzmocniona. Walczyłem dalej, lecz po chwili zrozumiałem, że nic nie zdziałam. Zacząłem się bać, że lada chwila pojawi się radiowóz. Postanowiłem zatem skorzystać ze sprawdzonej metody. Znalazłem duży kamień i rzuciłem nim w szybę. Od razu rozległ się alarm, więc szybko złapałem sweter i wziąłem nogi za pas.

Wróciłem do domu tą samą trasą, którą dostałem się do miasta. Tym razem nie goniła mnie policja ani nie musia-

łem pływać w kanale. Rozpierała mnie duma: dokonałem kolejnego włamania i uszedłem z wartościową zdobyczą. Rzuciłem sweter na dno szafy i - cały szczęśliwy - poszedłem spać.

Nie chciałem zostać przyłapany z kradzionym towarem, więc odczekałem kilka tygodni, zanim pewnej soboty włożyłem sweter. Wielu znajomych mi zazdrościło. To wprawiło mnie w jeszcze większe zadowolenie. Jeden z chłopaków bardzo chciał go kupić. Pulower bardzo mi się podobał, ale bałem się go nosić. Przecież ktoś mógłby zapytać, skąd go mam. Martwiłem się też, że mama, choć nie miała pojęcia, co to za sweter, mogła zainteresować się, skąd znalazł się w mojej szafie. Zresztą ten chłopak nie miał pojęcia, że towar był kradziony, więc nie mógł mnie wsypać.

Krótko po sprzedaniu mojej zdobyczy do mamy zgłosiła się policja. Śledczy odwiedził nas w domu i powiedział, że chce porozmawiać również ze mną. Przesłuchanie było niesamowite.

- Pani Brownstone, otrzymaliśmy informację, że David ukradł pewną rzecz i sprzedał ją.

Mama po prostu oniemiała. Po historii z kioskiem, próbie samobójczej i dozorze policji sądziła, że najgorsze jest już za nami.

- Kto tak twierdzi? - zapytała cicho.

- Niestety, nie możemy powiedzieć. Świadek mówi, że David sprzedał mu sweter, który - według naszych informacji - został skradziony ze sklepu w Halifaxie.

Wszyscy spojrzeli na mnie. W oczach mamy widziałem, że w duchu modli się, żeby nie była to prawda. Policjanci mieli przyjazne miny, więc uznałem, że zapewne mnie nie podejrzewają. Znałem chłopaka, któremu sprzedałem sweter - zdarzały

mu się już konflikty z prawem. Pojawiła się więc możliwość, by ze wszystkiego się wyłgać. Jeśli skłamię, będzie słowo przeciwko słowu.

- Oczywiście, że to nie ja go ukradłem - powiedziałem z niezachwianą pewnością siebie. - Wiem, że włamałem się do kiosku, ale to już przeszłość - dodałem z rozdrażnieniem i popatrzyłem policjantowi prosto w oczy. - To nie byłem ja.

Mama odetchnęła z ulgą. Policjanci również się odprężyli. Wydawało mi się, że powiedziałem dokładnie to, co chcieli usłyszeć.

- Prawdę mówiąc, nie sądziliśmy, że to twoja sprawka. Wiemy, co się stało ostatnim razem, a poza tym ten drugi chłopak jest nam dobrze znany.

Nie wierzyłem własnym uszom. Wystarczyło zaprzeczyć oskarżeniom, by dowieść swojej niewinności. Nie wiem, jak do mnie dotarli. Może tamten wpadł w tarapaty, gdy ktoś zobaczył go w swetrze. Mama nie posiadała się ze szczęścia. Niestety, jej euforia nie trwała długo.

Prowadziłem pamiętnik, w którym zapisywałem wszystko, w tym daty i godziny zaplanowanych i dokonanych włamań, a nawet moje pomysły dotyczące kolejnych celów. Pewnego dnia po powrocie do domu zastałem matkę siedzącą przy stole nad moim pamiętnikiem. Zagotowałem się ze złości. Nie mogłem sobie darować, że tak słabo go ukryłem. Byłem też wściekły, że matka tak dokładnie przeszukała mój pokój. Poznała wszystkie tajemnice, które tak głęboko skrywałem.

Była zdruzgotana. Nie mogła uwierzyć, że kłamałem w żywe oczy i że udało mi się nabrać policjantów. Doznała szoku

na wieść, że wciąż wymykałem się z domu w środku nocy i biegłem szesnaście kilometrów, żeby włamać się do sklepu w centrum miasta.

Zapytała mnie o dwa rodzaje haczyków, które stawiałem na niektórych stronach. Czerwone oznaczały, że danego dnia kochałem się z Suzy - była to moja pierwsza prawdziwa dziewczyna i chciałem jakoś udokumentować nasze życie seksualne. Niebieskimi haczykami zaś zaznaczałem dni, w których przychodziła do mnie pijana matka.

Co do czerwonych powiedziałem prawdę, lecz przy niebieskich zawahałem się. Mogłem jej powiedzieć, co naprawdę się działo, gdy piła. Mogłem też skłamać i pozwolić jej dalej żyć w nieświadomości. Spojrzałem na matkę i postanowiłem nie mówić prawdy. Stwierdziłem, że niebieskie haczyki, których nie było zbyt wiele i pojawiały się nieregularnie, głównie w weekendy, oznaczały, że kochałem się z Suzy w nowym miejscu. Matka nie drążyła tematu – przyjęła moje wyjaśnienia.

Z łatwością mogła dojść prawdy, porównując daty ze swoimi libacjami alkoholowymi, ale nie zrobiła tego. Zastanawiałem się, czy nasze życie mogłoby potoczyć się inaczej, gdybym powiedział jej prawdę - że gdy się upije, staje się potworem. Może szok spowodowałby zmianę. Nie wiem, co może być dla kobiety gorsze niż świadomość, że kiedy upije się do nieprzytomności, próbuje zgwałcić własnego syna.

Myślę jednak, że w ogólnym rozrachunku życie stałoby się nie do zniesienia. Matka tkwiła w szponach choroby alkoholowej i nic nie mogło tego zmienić. W jakiś sposób jednak mnie zaskoczyła. Zazwyczaj każda drobnostka wypro-

wadzała ją z równowagi. Nawet najmniejsze spóźnienie do pracy sprawiało, że wpadała w panikę. Kiedy więc znalazła mój pamiętnik i zapoznała się z jego sensacyjną zawartością, spodziewałem się, że wpadnie w szal. Czekałem na wybuch furii, ale nie nastąpił. Raz w życiu matka porozmawiała ze mną po ludzku. Może uznała, że to zbyt poważna sprawa, żeby ją zlekceważyć. Długo rozmawialiśmy o moim pamiętniku. Nie miałem wyboru, przyznałem się do wszystkiego. Zapisałem tam również całą historię swetra i musiałem podać mamie wszystkie szczegóły.

Rozmawialiśmy też o Suzy i o seksie. Mama wspomniała o antykoncepcji. Z pewnością nie chciała, żeby Suzy zaszła ze mną w ciążę, ponieważ - jak to ujęła - to by mi zrujnowało życie. Na koniec stwierdziła, że nie wyda mnie policji. Trudno mi było w to uwierzyć, bo - z uwagi na bardzo głębokie poczucie sprawiedliwości matki - sądziłem, że sprawa skończy się na posterunku.

Pod wieloma względami matka była wyznawczynią surowych metod wychowawczych. Nie zdziwiłbym się, gdyby od razu zawiozła mnie na policję. Poczulem ogromną ulgę, gdy powiedziała, że tego nie zrobi. Zniszczyliśmy pamiętnik - nie chcieliśmy, żeby dowód dokonywanych przeze mnie przestępstw trafił w niepowołane ręce. Postanowiłem nie pisać kolejnego dziennika. Na koniec rozmowy matka błagała, żebym skończył z kradzieżami. Ostrzegła mnie przed poważnymi konsekwencjami, które mogą mi grozić, jeśli nie wyjdę na prostą.

Kolejny raz ledwo udało mi się uniknąć poważnych kłopotów. Z pokorą słuchałem wykładu matki i zarzekałem się,

że więcej tego nie zrobię. Problem tkwił w tym, że zdążyłem się już uzależnić - kradłem, bo tylko wtedy ogarniało mnie to niezwykle uczucie podniecenia. W dodatku nieźle na tym zarabiałem. Znów okłamałem matkę i od razu zacząłem planować kolejne włamanie.

Najważniejsze wydarzenie w mojej dobrze zapowiadającej się karierze kryminalnej miało dopiero nadejść.

Geminusx xbotodni

Suzy była dla mnie wielkim oparciem. Wiedziała o włamaniach i choć zapewne wydawałem jej się nieco niezrównoważony, bardzo mnie wspierała. Mieliśmy udane życie seksualne, co znacznie poprawiło moje poczucie własnej wartości. Wybraliśmy się na rejs barka, a potem pojechaliśmy z moja rodziną na wakacje do Walii. Często uciekaliśmy do lasu, żeby się kochać - jak to nastolatki, którym ktoś ciągle siedzi na głowie.

Nasz związek był ważną częścią mojego życia, lecz nawet po rozmowie na temat pamiętnika mama próbowała się wtrącać. Postanowiła z nami porozmawiać.

- Rozumiem, że uprawiacie seks? - wypaliła bezceremonialnie.

Ze wstydu o mało nie zapadłem się pod ziemię.

- Mamo, musimy o tym rozmawiać?

- Tak, to dla waszego dobra.

Spojrzałem na Suzy, która ze zdziwieniem przysłuchiwała się pytaniom mamy.

- Zabezpieczacie się?

- Dobra, dość tego! - Wstałem. - Idziemy na spacer z psami.

Wiem, że mama chciała dobrze i że trzeba rozmawiać o takich sprawach, ale miałem mętlik w głowie. Kiedy była pijana, przychodziła do mnie, licząc na seks. Na trzeźwo zaś dawała mi rady niczym miła, starsza nauczycielka przygotowania do życia w rodzinie.

Kiedyś weszła do mojego pokoju i przyłapała mnie na masturbacji. Byłem przerażony, próbowałem w pośpiechu wciągnąć spodnie. Mama po prostu odwróciła się i wyszła. Na dół odważyłem się zejść dopiero po dłuższej chwili. Choć umierałem ze wstydu i wiedziałem, co mnie czeka, usiadłem przed telewizorem. W końcu mama nie wytrzymała krępującej ciszy.

- Nie ma w tym nic złego, David.

- W czym?

- W masturbacji.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Zrobiła mi wtedy wykład na temat zdrowia i higieny członka. To była najbardziej zenująca rozmowa w moim życiu.

Kiedy w końcu odważyłem się o tym pomyśleć, znowu zaczęły mnie dręczyć te same pytania.

Czemu chce uprawiać ze mną seks?

Dlaczego wciąż do mnie przychodzi?

Czy kiedy wytrzeźwieje, wie, co zrobiła pod wpływem alkoholu?

Oczywiście picie matki wciąż było wielką tajemnicą. Nigdy nie rozmawiałem o tym z kolegami ani z nauczycielami. Mama nigdy nie piła, gdy odwiedzała mnie Suzy, więc ona również nic nie wiedziała. Reg także nie rozmawiał o nałogu matki,

ani ze mną, ani z nikim innym. Problem polegał na tym, że nie miałem żadnego porównania - kontekstu, w którym mógłbym umieścić jej picie i zachowanie po alkoholu. Miałem już prawie szesnaście lat i wiedziałem tylko, że to, co robi, jest złe. Nie wiedziałem jednak jak bardzo. Nawet jeśli któryś z moich szkolnych kolegów miał ten sam problem z jednym z rodziców, nigdy mi o tym nie powiedział. Gdyby ktoś się na to zdobył, chętnie bym o tym porozmawiał. Może wtedy potrafiłbym spojrzeć na wszystko z innej strony.

Z problemem alkoholizmu zetknąłem się też u krewnych Rega. Co roku wyjeżdżaliśmy na rodzinne wakacje pod namiotem. Nienawidziłem ich z całego serca, nie licząc tych pierwszych, kiedy miałem siedem lat. Po nocy w ciasnym namiocie budziłem się z mokrym i zziębniętym tyłkiem. Musieliśmy chodzić po wodę, korzystać z publicznych pryszniców i gotować na butli gazowej. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić gorszych wakacji. Nie mogliśmy sobie pozwolić na zagraniczne wycieczki ani nawet na noclegi w hotelach, więc nie mieliśmy wyboru. Problem stanowiły też nasze dwa psy, których mama nie chciała oddać do schroniska. Albo kemping, albo nici z wyjazdu. W każdym razie była to dla nas jedyna okazja, żeby wyrwać się z Ludden Vale, i z perspektywy czasu cieszę się, że właśnie tak spędzaliśmy wakacje.

Nawet nie przypuszczałem, że Reg jest taki silny. Choć miał już prawie siedemdziesiąt pięć lat, rozbijał namiot sprawniej niż faceci dwa razy od niego młodszy. Wielu emerytów zadowoliliby się grą w karty w miejscowym domu kultury, lecz Reg miał dość energii i chęci, by wyjechać na wakacje z nastolatkiem. Szanowałem go za to.

Jedną z największych zalet takich wypadów stanowiło to, że mama w ogóle nie piła. Zwykle odwiedzaliśmy jej krewnych. Rodzice matki mieli sporo rodzeństwa, dlatego jej kuzyni byli rozsiani po całym kraju. W ciągu dziesięciu lat mieszkania z Regiem poznaliśmy ich wszystkich. My jeździliśmy do nich lub oni odwiedzali nas.

Reg natomiast miał przyrodnią siostrę imieniem Jane. Była od niego o jedno pokolenie młodsza, więc miała mniej więcej tyle lat, co mama. Jane prowadziła ze swoim mężem Donem kurzą fermę. Zatrzymaliśmy się na kempingu niedaleko ich domu. Pierwszy raz widziałem takie gospodarstwo. Ptaki trzymano w ciasnych klatkach, ale nie specjalnie się tym przejmowałem. Interesował mnie proces hodowli. Nie mogłem uwierzyć, że tak właśnie powstaje mięso, które trafia na nasze talerze. Kurczaki pojawiały się na fermie jako kilkudniowe pisklęta. Następnie przez trzy *miesiące* tuczono je, a na koniec trafiały do ubojni. Nigdy nie widziały błękitnego nieba i nie biegały po podwórku.

Jako dziecko lubiłem brać udział w porannym obchodzie, podczas którego szukaliśmy martwych kurczaków. Kiedy kurczę pada, inne dziobią je, by sprawdzić, co się stało. W efekcie zostaje z niego krwawa miazga. Wcale mi to nie przeszkadzało. Podobało mi się nawet, gdy Don znajdował na wpół martwą kure, którą musiał dobić. Byłem tym wręcz zafascynowany. Chciałem mu we wszystkim pomagać, więc nie odstępowałem go ani na krok. Dzięki temu odkryłem, że jest takim samym alkoholikiem jak matka.

Po wejściu do kurnika pierwsze kroki kierował do kryjówki, w której *trzymał* butelkę. Bez względu na to, czy karmił ptaki, sprzątał padlinę, czy też patroszył kurę na obiad, nie rozstawał się z alkoholem aż do powrotu do domu.

- Tylko nie mów o whisky ciotce Jane, mamie ani dziadkowi - prosił. - To będzie nasza tajemnica.

Domyślałem się, że Jane o wszystkim wiedziała. Byłem jednak za mały, by zrozumieć, jak alkohol wpływał na ich związek. W dniu wyjazdu usłyszałem jednak wiele mówiący komentarz. Wiedziałem, że Don jest wrażliwy i nie potrafi tłumić uczuć. Cieszył się z naszych odwiedzin, więc kiedy żegnaliśmy się z życzliwością, bardzo się wzruszył, a potem ze łzami w oczach uciekł do kurnika. Jane jednak szybko ściągnęła nas na ziemię.

- O niego się nie martwcie, to krokodylę łyż!

Jej słowa zaskoczyły mnie, choć dzięki nim wiele zrozumiałem. Don myślał, że picie nie ma nic wspólnego z rodziną. W rzeczywistości jednak niszczyło ją.

Dzięki temu wyjazdowi inaczej spojrzałem na alkoholizm mamy. Don i Jane nie mieli dzieci, więc trudno o porównanie, ale uznałem, że wcale nie trafiłem najgorzej. W przeciwieństwie do Dona mama przynajmniej nie piła od rana do wieczora. Nie miała tak czerwonej twarzy jak on, nie chowała butelek po domu i nie chodziła cały dzień otępiała.

Oczywiście oszukiwałem się. Matka piła na umór i zupełnie traciła nad sobą kontrolę. Jej choroba rujnowała moją psychikę. Poczulem ogromną ulgę, gdy matka musiała wreszcie zmierzyć się z konsekwencjami swojego postępowania. A wszystko zaczęło się, gdy zrobiła coś bardzo dobrego.

* * *

- David, muszę ci coś powiedzieć - Była bardzo podekscytowana. - Znalazłam twojego dziadka! - Powiedziała to takim tonem, jakby właśnie wygrała na loterii.

Na początku pomyślałem, że mówi o swoim ojcu, który zmarł kilka lat wcześniej. Nigdy jednak nie wierzyła w duchy, więc domyśliłem się, że ma na myśli ojca mojego taty.

Bardzo się ucieszyłem. Wnuki zazwyczaj przepadają za dziadkami. Miałem nadzieję, że w tym przypadku będzie podobnie. Babcia - mama mojego taty - wciąż jeszcze żyła i choć była nieco dziwna, bardzo ją lubiłem. Pomyślałem, że wspólnie będzie poznać dziadka ze strony ojca. Nie miałem pojęcia, jak mama go znalazła ani od kiedy o nim wiedziała. Udało jej się nawiązać z nim kontakt i tylko to się liczyło.

Jednocześnie coś nie dawało mi spokoju. Oto pojawił się dziadek, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Był wielkim nieobecnym w naszej rodzinie i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby o niego zapytać. Moje relacje z ojcem można określić jako chłodne. Widywaliśmy się sporadycznie. Tata nigdy nie wspominał o dziadku. Dziwiłem się, że mama również nie podejmowała tematu, zwłaszcza że często mówiła o swojej rodzinie, a przede wszystkim o rodzicach. Choć babcia zmarła przed moimi narodzinami, mama nie raz o niej opowiadała, a ojca matki poznałem na krótko przed jego śmiercią. Uznałem, że musi być jakiś powód, dla którego dziadek od strony ojca nie pojawiał się w rozmowach.

Nie wiedziałem też, dlaczego wcześniej mama nie szukała z nim kontaktu. Podejrzywałem, że do odszukania mojego

dziadka skłoniła ją niedawna śmierć jej własnego ojca. Jedno nie ulegało wątpliwości: mama chciała, żeby dziadek pojawił się w moim życiu.

W jednym z pierwszych listów, datowanym na październik 1979 roku i zaadresowanym tylko do mamy, dziadek przyznał, że zaciekały go wieści od niej. Zarazem był jednak dość podejrzliwy.

Gdy czytam twoje listy, zastanawiam się, jak mógłbym zbliżyć się do Davida. Trudno mi uwierzyć, że chciałby poznać siwego starca, cierpiącego na różne „ozy”. Pozwolisz, że ich nie wymienię. Wiedz tylko, że rzadko zdarza się chwila, gdy nie doskwiera mi żaden ból. Obawiam się, że byłbym bardzo nudnym dziadkiem. Nie mógłbym nawet pograć z wnukiem w piłkę, nie narażając się na cierpienie.

Swoją drogą, skoro wspominasz o jego babce - widuje się z nią? jak często? jak ona się czuje? znasz jej adres? Nadawałaś się na prawnika, Carol. Informujesz ludzi tylko o tym, o czym - w twoim mniemaniu - powinni wiedzieć.

Choć jego zainteresowanie losem babci i komentarz dotyczący mamy były ciekawe, ja chciałem po prostu dowiedzieć się, co dziadek miałby mi do powiedzenia. Tym bardziej że wkrótce zaczął zwracać się w listach także do mnie. O takim dziadku marzy każdy wnuk - miał poczucie humoru i interesowało go, czym się zajmuję. Potrafił świetnie zrozumieć chłopaka w moim wieku; wiedział, jak ze mną rozmawiać. Rozpierała go energia, co dawało się zauważyć już w samej kores-

pondencji. Adresował ją głównie do mamy, ale często pisał również do mnie.

Dziękuję ci za oba listy, Davidzie. Nie napisałeś jednak, na jakiej pozycji grałeś w rugby. Musisz mieć dużo siły. Masz codziennie jeść na śniadanie jajka na bekonie!

Uczysz się grać na gitarze? Współczuję twojej mamie! Tak, w szkole najlepiej szło mi z francuskiego i matematyki, ale nie przepadałem za historią. Ciągłe trzeba było coś notować, a do tego mnóstwo królów i dat. Koszmar!

Szybko wytworzyła się między nami niezwykła więź. Wkrótce zaczęliśmy do niego dzwonić.

Bez trudu potrafił nawiązać kontakt z ludźmi. Od razu odgadł, co jest dla mnie ważne. Podczas jednej rozmowy okazał większe zainteresowanie mną niż mama, ojciec i Reg przez całe życie. Rozmowy telefoniczne sprawiły, że coraz bardziej chciałem się z nim spotkać. Na szczęście nie musiałem długo czekać. Choć mieliśmy odwiedzić go przy okazji wyjazdu pod namiot, bardzo cieszyłem się na myśl o tej podróży. Spakowaliśmy się do przyczepy i wyruszyliśmy do Worcesteru. Dziadek mieszkał tam ze swoją siostrą Dorothy. Zatrzymaliśmy się na pięknym kempingu nieopodal ich domu.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień wizyty. Budynek, przed którym stanęliśmy, wyglądał inaczej niż ten, który powstał w mojej wyobraźni. Był mały i zupełnie przeciętny, a ja spodziewałem się czegoś, co odpowiadałoby niezwykłej osobowości dziadka. Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy

do ogrodu. Zanim zapukaliśmy do drzwi, dziadek stał już w progu, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Cześć, David. Jestem twoim dziadkiem.

Na początku byłem zawiedziony. Autor listów wydawał się błyskotliwy i energiczny, przede mną zaś stał starszy, łysiejący pan. Resztki jego włosów pokrywała siwizna. Lekko się garbił, jak większość starych ludzi, i powłóczył nogami. Z jego oczu bił jednak blask i wkrótce dziadek rozwiął wszystkie moje obawy. Był dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem, a nawet lepszy.

Nigdy nie zapomnę chwil spędzonych z dziadkiem - wesołym staruszkiem o ciekawej osobowości, który ze swadą opowiadał ciekawe historie. Jego siostra Dorothy była całkiem inna. Choć z jej twarzy nie znikał ciepły uśmiech, w obcowaniu z ludźmi wykazywała niezwykłą powściągliwość.

Dom dziadka wyglądał bardzo surowo. Mama wspominała, że on i Dorothy należą do wspólnoty braci plymuckich, konserwatywnego nurtu ewangelikalizmu. Religijność wcale jej nie przeszkadzała, bo całe życie była praktykującą metodystką, więc ja również od małego chodziłem do kościoła, szkółki niedzielnej i na spotkania modlitwne. Dzięki temu mogłem z nią spędzać więcej czasu. Nie doszukiwałem się jednak w religii głębszych treści - traktowałem ją wyłącznie jako zjawisko towarzyskie. Ponadto co roku występowałem w jasełkach, ale najbardziej lubiłem próby.

Dopiero wiele lat później porzuciłem religię i zostałem ateistą. Choć szanuję przekonania innych ludzi, sam nie wierzę w Boga.

Gdy miałem szesnaście lat, wiedziałem o braciach plymuckich tylko tyle, że są żarliwymi chrześcijanami, którzy ściśle stosują się do nakazów Biblii, niekiedy traktując je wręcz dosłownie. W związku z tym w domu dziadka nie było ani telewizora, ani żadnych innych luksusów. Rodzeństwo wiodło proste życie, choć kiedyś dziadek powiedział mi, że czasem uważa je za nudne. Niemniej jednak wiara stanowiła jeden z istotnych rysów jego niezwyklej osobowości. Zapamiętałem go jako wspaniałego towarzysza i jeden z niewielu jasnych punktów mojego życia.

* * *

Gdy mama przeczytała mój pamiętnik, obiecałem jej, że porzucę przestępczą karierę. Wiedziała już o wszystkich moich włamaniach. Raz zostałem złapany i objęto mnie dozorem policyjnym. Jeden z moich kolejnych wybryków sprowadził do domu policję. Przez cały ten czas kłamałem matce w żywe oczy. Dla mnie włamania stanowiły swego rodzaju grę. Kilka razy powinęła mi się noga i próbowałem nawet popełnić samobójstwo. Teraz czułem się jednak dużo *silniejszy* psychicznie i aż rwałem się do następnego skoku. Uważałem, że jestem o niebo lepiej przygotowany i że tym razem nie będzie żadnych problemów. Postanowiłem podnieść stawkę i zaplanowałem najbardziej ambitną robotę w swojej karierze.

Uwielbiałem odzież sportową, więc dużo czasu spędzałem w sklepach z firmowymi ciuchami. Moją ulubioną marką była najdroższa ze wszystkich - Lacoste. Postanowiłem załatwić sobie coś z krokodylkiem, ponieważ w oczach kolegów emble-

mat ten podkreślał status właściciela. Nie mogłem sobie pozwolić na kupno, więc postanowiłem coś ukraść.

Wyzaczyłem cel włamania i jak zwykle postanowiłem uderzyć w środku nocy. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Dotąd przestępstwa popełniałem, gdy mama upiła się do nieprzytomności - wtedy bowiem nie mogła mnie powstrzymać, a nazajutrz nie pamiętała, co się działo.

To zadanie różniło się od poprzednich. Przede wszystkim do sklepu mogłem dojechać tylko pociągiem. Nie było jednak kursów nocnych. Nie mogłem więc wyjść z domu po tym, jak matka zasnęła, bo musiałbym wrócić przed świtem. Nieoczekiwanie pojawiła się jednak wspaniała okazja. Mama chciała pojechać do dziadka do Worcesteru, lecz termin wizyty kolidował z jednym z moich egzaminów. Nie mogłem uwierzyć, że mimo kłopotów, które wciąż jej sprawiałem, chciała wyjechać z Regiem wcześniej i zostawić mnie w domu samego. Umówiliśmy się, że pójdę na egzamin, a potem dojadę do nich pociągiem.

Nie posiadałem się z radości - taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Na kilka dni przed wyjazdem mamy dokładnie obejrzałem wybrany sklep. Okazało się, że od frontu znajduje się okazała witryna, na której prezentowane były ubrania Lacoste. Wymarzone warunki. Przez kilka dni, które dzieliły mnie od skoku, nie mogłem przestać myśleć o włamaniu. Układałem w głowie plan, pamiętając o najmniejszych szczegółach. Wierzyłem, że wszystko pójdzie jak z płatka. Zdobędę upragniony ciuch i wszyscy będą mi zazdrościli.

Podzieliłem się swoimi zamiarami z Suzy. Choć nie zachęcała mnie do włamania i nie chciała mieć z nim nic wspólnego,

wcale jej to nie przeszkadzało. Dwie noce poprzedzające moją „wycieczkę” spędziła ze mną. Podobało mi się, że byłem w domu sam, bez Rega i mamy. Zaprosiłem na noc kumpla, który też miał dziewczynę z Blackholme, i urządziliśmy fantastyczną imprezę.

Tego wieczoru byłem w domu z Suzy. Planowałem wyjechać ostatnim pociągiem, żeby mieć więcej czasu dla dziewczyny i żeby się nie rozmyślić. Bez względu na to, czy zdecydowałbym się na włamanie, czy nie, miałem być w obcym mieście przez całą noc, aż do odjazdu pociągu powrotnego o szóstej rano. Odprowadziłem Suzy do Blackholme, poszedłem na stację, kupiłem bilet i wsiałem do wagonu. Miałem przy sobie dużą sportową torbę, a w niej solidny łom. Po godzinie dotarłem do centrum miasta. Mimo późnej pory na ulicach wciąż roiło się od ludzi. Poszedłem prosto do sklepu, żeby obejrzyć wystawę. Moje wymarzone ubrania wciąż tam leżały. Byłem bardzo przejęty.

Nie chciałem ściągać na siebie uwagi, postanowiłem więc, że schowam się, dopóki centrum się nie wyludni. Znalazłem kryjówkę w budynku biurowym i zdrzemnąłem się kilka godzin. O trzeciej nad ranem ruszyłem do sklepu. Wokół panowała przejmująca cisza. Wszystko wyglądało tak samo jak tej nocy, gdy włamałem się do sklepu w Halifaxie.

Przemykałem wśród cieni, dzięki czemu mogłem pozostać niezauważony. Wiedziałem, że w pobliżu znajduje się centrum handlowe, dlatego postanowiłem skorzystać ze skrótu i pójść właśnie tamtędy. Choć liczne latarnie rześciście oświetlały okolicę, uznałem, że nikt mnie nie zobaczy. Centrum miało tylko jedno wejście i wyjście. Nagle usłyszałem hałas. Dobie-

gał z daleka, ale zupełnie mnie zaskoczył. Obejrzałem się, lecz nikogo nie zauważyłem. Ruszyłem dalej, ale kiedy skręciłem za róg, natknąłem się na idącego w moją stronę policjanta.

Serce podskoczyło mi do gardła. Wpadłem w panikę. Co *teraz*? Przecież *nie* zrobiłem nic złego. Szedłem więc przed siebie. Gdybym zawrócił, policjant na pewno zacząłby mnie gonić. Kiedy do niego doszedłem, zatrzymał mnie.

- Czemu tak hałasujesz? - zapytał mnie podejrzliwie.

- To nie ja – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Ze wszystkich sił starałem się nie wyglądać na włamywacza.

Zmierzył mnie wzrokiem. Musiał z pewnością zastanawiać się, co jakiś dzieciak robi w centrum miasta w środku nocy, w dodatku z dużą torbą.

- Co masz w torbie, chłopcze?

Wyciągnął rękę i wtedy wiedziałem już, że muszę uciekać. Byłem w doskonałej formie, więc uznałem, że mnie nie dogoni. Nie pierwszy raz ścigałem się z policją. Ruszyłem w kierunku wyjścia. Choć poprzednio, zamiast iść ulicą, wolałem ukryć się w centrum, teraz poczułem się jak w pułapce. Jeśli drogę zagrozi mi drugi gliniarz, będzie po mnie.

Słyszałem, jak policjant goni mnie i krzyczy coś do krótkofalówki. Nie martwiłem się specjalnie, bo uznałem, że w środku nocy w centrum nie będzie zbyt wielu gliniarzy. Wybiegłem z domu handlowego i zobaczyłem, że z drugiej strony biegnie do mnie drugi policjant. Gdy go minąłem, znalazłem się na otwartym terenie. Funkcjonariuszy ciągle przybywało. Miałem coraz mniej możliwości manewru. W końcu trafiłem w alejkę, która okazała się ślepyim zaułkiem.

Schowałem się za śmietnikami przy schodach i pozostało mi tylko mieć nadzieję, że nikt nie widział, jak wbiegam w uliczkę.

Nie miałem szans. Dobrze wiedzieli, gdzie jestem. Spokojnie szli w moją stronę, oświetlając latarkami wszystkie zakamarki. W końcu znaleźli moją kryjówkę i skierowali światło na mnie.

- Wychodź, synu, widzimy cię - powiedział jeden z policjantów zdyszczanym głosem.

Czułem się jak zwierzę w potrzasku. Nie chciałem się poddać. W ostatniej chwili otworzyłem torbę i wyciągnąłem łom. Schowałem go za plecami i ruszyłem w stronę funkcjonariuszy. Gdy byłem już blisko, jeden z nich sięgnął po kajdanki. Wtedy się na niego rzuciłem. Zamachnąłem się i z całej siły wyprowadziłem łomem cios w jego skroń.

Na szczęście policjant w ostatniej chwili zrobił unik i trafiłem go w zebra, ale i tak zdołałem ściąć go z nóg. Gdyby nie zareagował, mógłbym go zabić. Jego koledzy błyskawicznie złapali mnie i obalili na ziemię. Jeden usiadł mi na plecach, a drugi skuł ręce z tyłu. Wiedziałem, że to dopiero początek.

Leżałem twarzą do ziemi. Nie mogłem oddychać. Obróciłem się lekko, a wtedy jeden z policjantów z całej siły kopnął mnie w głowę. Krzyknąłem z bólu, czując, jak czaszka pęka mi na kawałki. Krew zalała mi całą twarz. Zacząłem się dusić. Myślałem, że będą patrzeć, jak umieram.

Gdy spostrzegli, że coś jest nie tak, podnieśli mnie. W ich oczach widziałem nienawiść. Chciałem uderzyć, a może nawet zabić jednego z nich. Nadeszła pora zemsty. Zaczęli mnie bić. Gdyby mnie wcześniej nie skuli, broniłbym się. Było mi wszystko

jedno. Gdybym tylko uwolnił ręce, wcale bym się nie hamował. Marzyłem o tym, żeby dorwać sukinsyna, który kopnął mnie w twarz. Uwielbiałem bijatyki i nie przejmowałem się, że mogę dostać, a bójka z glinami wydawała mi się niesamowitą przygodą.

Tymczasem byłem jednak cały zakrwawiony. Z trudem oddychałem i nie widziałem na jedno oko. Narobiłem w spodnie. W tym stanie nie poznałby mnie żaden znajomy. Mogło być jednak gorzej: bili w brzuch, a nie w twarz. Mimo to miałem już paskudnie rozcięty łuk brwiowy. Kiedy później mama zobaczyła ranę - blizna została mi na całe życie - nic jej nie powiedziałem, a ona nie pytała o szczegóły. Poza tym i tak nie zgłosiłaby skargi na brutalność policji. Uznałaby, że dostałem za swoje. I miałyby absolutną rację. Omal nie zabiłem policjanta i zasłużyłem na to, co mnie spotkało. Jego koledzy postąpili słusznie.

Zabrali mnie na posterunek i wsadzili do celi. Dotarło do mnie jednak, że oprócz ataku na funkcjonariusza, co samo w sobie było dość poważnym przestępstwem, nie zrobiłem nic złego. Mogli co najwyżej postawić mi zarzut „stawiania oporu przy aresztowaniu" ale nie zdążyłem nic ukraść. I tak miałem już kłopoty, więc postanowiłem nie przyznawać się do czegoś, czego nie zrobiłem. Zamierzałem kłamać jak z nut. Dotychczas metoda ta doskonale się sprawdzała. Byłem pewien, że i tym razem mi się upieczę.

Dwóch policjantów zabrało mnie do pokoju przesłuchań. Patrzyli na mnie z pogardą.

– Co robiłeś w mieście?

- Nic - odpowiedziałem, jakby spacer o trzeciej w nocy nie były niczym dziwnym.

- Słuchaj, synu. Wiemy, że coś planowałeś. Lepiej od razu powiedz co.

- Sędzia też nie będzie miał co do tego wątpliwości. Lepiej się przyznaj. Oszczędzisz nam czasu i roboty.

Mój plan natychmiast wziął w łeb. Skąd wiedzieli, że chciałem włamać się do sklepu? Dotarło do mnie, że to nie były stójkowi z sennej miejsciny, ale doświadczeni policjanci, którzy potrafili przejrzeć mnie na wskroś. Przyznałem się do wszystkiego.

Oskarżyli mnie o coś w rodzaju „usiłowania włamania” i zamknęli z powrotem w celi. Nie padło ani jedno słowo o ataku na policjanta. Już zdążyli mnie za to ukarać, ale najwyraźniej postanowili nie dodawać tego do akt. W ten sposób mogliby zwrócić uwagę sądu na moje obrażenia. Były z pewnością poważniejsze niż w przypadku zwykłego oporu przy aresztowaniu.

Resztę nocy spędziłem w celi, rozmyślając o rym, co usłyszę od mamy. Prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno. Rano musiałem poczekać na kogoś z opieki społecznej, ponieważ nie miałem jeszcze osiemnastu lat. Wróciłem do domu, doprowadziłem się do porządku i zadzwoniłem do mamy. Była wściekła, ale zamiast wrócić z Worcesteru, kazała mi jechać do nich.

Z dworca odebrała mnie razem z dziadkiem. Milczała przez całą drogę. W końcu dziadek przerwał ciszę.

- Mama bardzo się o ciebie martwiła - stwierdził.

Ani krytyka, ani troska nie robiły już na mnie żadnego wrażenia. Nie odpowiedziałem. Gapiłem się tylko przez okno.

* * *

Mama nie potrafiła już poradzić sobie z codziennym życiem. Niedługo po tej historii rzuciła pracę i nigdy już do niej nie wróciła. W domu było coraz gorzej, bo okazało się, że jest w stanie pić jeszcze więcej. Moja przestępcza kariera dokładała jej kolejnych zmartwień. Ciągłe się kłóciliśmy. Koniecznie chciała wiedzieć, co mnie pchało do kradzieży. Mówiłem jej, że nie wiem, lecz w głębi duszy uważałem, że nie ponoszę wyłącznej odpowiedzialności za swoje wysoki.

Po dziesięciu latach molestowania i jej problemów z alkoholem moja psychika z pewnością nie funkcjonowała prawidłowo. W myślach wrzeszczałem na matkę. Chciałem jej wykrzyczeć, że kiedy kradłem i sprzedawałem towar, nareszcie czułem się jak ktoś wyjątkowy, ktoś ważny. Tymczasem to ona powinna była sprawić, żebym tak się poczuł! Miałem ochotę wykrzyczeć jej prosto w twarz:

Me wiesz, że chcesz się ze mną pieprzyć za każdym razem, kiedy się urzniesz?

Nie wiesz, że przez dziesięć lat mieszałaś mi w głowie? że nie bez przyczyny jestem tym, kim jestem?

Czy nie pomyślałaś, że to ty możesz być za to odpowiedzialna?

To wszystko twoja wina, ty samolubna suko!

Nie potrafiłem wyrzucić z siebie tych słów. Zamiast tego próbowałem ją pocieszyć i uspokoić. Mówiłem, że to się już nie powtórzy, ale sam nie miałem pewności, co się stanie. Atak na policjanta uzmysłowił mi, że jestem u kresu wytrzymałości.

Mogło się zdarzyć wszystko. Każdy kolejny wyskok był gwałtowniejszy i bardziej niebezpieczny niż poprzedni.

Do tego pozostawał problem rozprawy. Po ostatniej próbie włamania musiałem stawić się w sądzie. W domu odwiedził nas urzędnik sądowy do spraw opieki społecznej, któremu polecono ocenić warunki, w jakich się wychowywałem. Jego opinia miała wpłynąć na wyrok.

31 lipca 1984 roku odbyła się rozprawa przed sądem dla nieletnich. Byli na niej mama i Reg. Włożyłem garnitur. Powiedziałem sędziemu, że chcę wstąpić do wojska i służyć społeczeństwu. Wszystko zmyśliłem, ale brzmiało to całkiem przekonująco.

Raport opieki społecznej mówił, że pochodzę z dobrego domu i mam kochających rodziców. Gdyby tylko sąd znał prawdę... Ostatecznie skazano mnie na dwa lata w zawieszeniu. Oznaczało to, że jeśli przez następne dwa lata nie będę miał problemów z prawem, wszystko wróci do normy. W przeciwnym razie będą mi grozić poważne konsekwencje. Nie wierzyłem własnym uszom. Znowu mi się upiekło! Musiałem tylko trzymać się z dala od kłopotów.

Sprawy przybrały zadziwiający obrót. Otrzymałem bardzo łagodny wyrok, bo - jak na ironię - sędzia myślał, że pochodzę z porządnej rodziny. W rzeczywistości to moja rodzina sprawiła, że wkroczyłem na drogę zbrodni.

Choć w sądzie mi się poszczęściło, dostałem nauczkę. Coś we mnie pękło. Postanowiłem zrezygnować z włamań. Nie wiem, co wywołało taką zmianę, ale czułem się dzięki niej doskonale. Wbrew temu, co mówiła mama, nie był to cud. Nie żałowałem swoich czynów. Myślę, że po prostu zapragnąłem wreszcie upo-

rządkować swoje życie. Do tej pory przypominało *przejażdżkę* kolejką górską. Dotarło do mnie jednak, że działalność przestępcza wiąże się z kwestiami natury etycznej. Zacząłem czuć się źle, gdy kradłem rzeczy, które należały do innych ludzi. Byłem na tyle dojrzały, że rozumiałem, iż jeśli się nie zatrzymam, błędy młodości odcisną trwale piętno na moim życiu.

Byłem wdzięczny sędziemu za to, że potraktował mnie łagodnie. Otrzymałem drugą szansę. Postanowiłem ostatecznie zakończyć karierę przestępczą.

* * *

Mimo wszystkich kłopotów zdałem egzaminy końcowe na poziomie podstawowym i w końcu miałem zdecydować o swojej przyszłości. Mama nalegała, żebym kontynuował naukę, zdał egzaminy na poziomie rozszerzonym i poszedł na studia. Nie przepadałem za szkołą, więc szósta klasa liceum była dla mnie poważnym wyzwaniem. Nie miałem jednak wyboru. Jakoś przebrnąłem przez egzaminy i choć nie dostałem ani jednej piątki, udało mi się - z trudem - zdać do szóstej klasy.

Życie pod wieloma względami zmieniło się na lepsze. Mama wciąż piła, ale jakoś potrafiłem sobie z nią radzić. Do tego zdałem egzaminy. Nie osiągnąłem wprawdzie rewelacyjnych wyników, ale miałem przynajmniej szansę na jakiś lepszy zawód. Zrezygnowałem z łamania prawa. No i wciąż byłem z Suzy. Przez ostatnie pół roku niestrudzenie mnie wspierała. W dodatku przeniosła się do mojej szkoły, żeby kontynuować naukę. Teraz mogliśmy widywać się prawie codziennie. Czułem się dużo lepiej i z optymizmem patrzyłem w przyszłość.

We wrześniu rozpoczął się rok szkolny. Wszyscy wiedzieli, co się stało. Twierdziłem jednak, że nie mam już zamiaru kraść.

Po kilku dniach zostałem wezwany do gabinetu wicedyrektora. Ostatnio, gdy tam trafiłem, chodziło o włamanie do kiosku. Próbowałem wtedy popełnić samobójstwo. Po drodze zastanawiałem się, o co chodzi tym razem. Może o rozprawę? Myślałem, że mam to już za sobą. Jeśli wicedyrektor o niej wspomni, powiem, że dostałem już nauczkę i jestem czysty. Skręciłem w feralny korytarz i zapukałem do drzwi.

- Proszę wejść.

- Chciał mnie pan widzieć?

- Tak. Usiądź, Davidzie.

Rozsiadłem się na krześle, a wicedyrektor oparł się o biurko.

- Poinformowano mnie, że latem stanąłeś przed sądem dla nieletnich - powiedział surowo.

- Tak, ale to już przeszłość.

- Jak wiesz, miałeś w ciągu ostatniego półrocza wiele problemów z prawem. Dlatego postanowiłem relegować cię ze szkoły.

Dostałem obuchem w głowę. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego chcieli to zrobić. Takich dzieciaków jak ja się nie wyrzucało. Wylecieć mogli tylko wyjątkowo niesforni, prawdziwi chuligani.

- Proszę pana, wiem, że postąpiłem źle, ale to już przeszłość... - wyjąkałem.

Wicedyrektor spojrział dla mnie i dodał oschle:

- Nie obchodzi mnie to. Sprawiałeś nam wiele problemów. Zmarnowałeś szansę. Teraz niech ktoś inny się z tobą męczy.

Po takich słowach mogłem już tylko zabrać swoje rzeczy ze szkolnej szafki. Wkrótce mama otrzymała ze szkoły pismo:

David złożył odnośnie do swojego zachowania obietnicę, którą później złamał. Uważamy, że miałby negatywny wpływ na pozostałych uczniów.

Kiedy zobaczyłem to czarno na białym, dotarło do mnie, co zrobiłem.

* * *

Wyrzucenie ze szkoły było dla mnie bolesnym ciosem - z dwóch powodów. Po pierwsze, przez te kilka lat zdążyłem się do niej przyzwyczać. Po drugie, chodziła do niej Suzy. Niebawem ten problem sam się rozwiązał. Wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego wybraliśmy się na imprezę, z której Suzy wyszła z kimś innym. Dotąd zawsze mogłem na nią liczyć, ale w końcu i ona mnie zostawiła.

Znów byłem samotny i rozbity. Zaczęły do mnie docierać rzeczywiste konsekwencje moich *czynów*. Dopiero wtedy zrozumiałem, że te młodzieńcze wybryki położą się cieniem na całym moim życiu.

Zmujmowane życie

Rozprawa, wyrzucenie ze szkoły i rozstanie z Suzy sprawiły, że znalazłem się w dołku. Nie miałem ochoty się uczyć. W ogóle nic mi się nie chciało. Brakowało mi przyjaciół, a *wszyscy* moi koledzy zostali w starej szkole. Przywykłem jednak do samotności, więc brak znajomych nie stanowił większego problemu. Początkowo mama była zła, że zostałem wyrzucony ze szkoły, ale wkrótce jej przeszło i zaczęła mnie wspierać.

Fakt, że trafiłem na „życiowe wysypisko”, miał też jednak swoje plusy. Nadal mogłem korzystać z biletu dobowego, który umożliwiał mi podróżowanie autobusami i koleją po całym West Yorkshire. Dawało mi to niesamowite poczucie wolności, za niewielkie pieniądze mogłem bowiem spędzić cały dzień poza domem. Odwiedzałem miejscowości, w których nigdy dotąd nie byłem - tylko dlatego, że mogłem.

Choć nie musiałem już chodzić do szkoły, mama upierała się, żebym zdał egzaminy końcowe na poziomie rozszerzonym. Bez tego mogłem mieć problemy ze znalezieniem pracy. Jeszcze

jedna kwestia *zachęcała* mnie do kontynuowania nauki. Bezrobotni w wieku od szesnastu do osiemnastu lat musieli zgłosić się do Youth Training Scheme, rządowego programu kształcenia zawodowego dla młodzieży. Miał on zapewnić bezrobotnym nastolatkom zdobycie umiejętności, które pozwoliłyby im znaleźć zatrudnienie. W rzeczywistości chodziło o zwykły wyzysk, bo tygodniówka wynosiła zaledwie trzydzieści funtów. Program był więc tylko tanim chwytem na zmniejszenie oficjalnej liczby bezrobotnych.

Poszedłem zatem do collegeu, by po roku nauki zdać egzaminy na poziomie rozszerzonym. Zapisałem się między innymi na francuski, ponieważ całkiem sprawnie posługiwałem się tym językiem. Wakacje we Francji zrobiły swoje. Poza tym poświęciłem wiele godzin na pisanie listów do mojego francuskiego kolegi. Na kurs ten zapisało się jednak tylko trzech uczniów, więc grupa szybko się rozpadła. Po trzech tygodniach zrezygnowałem z collegeu, bo zależało mi właśnie na egzaminie z francuskiego.

Wiedziałem, że jeśli nie podejść do testów, czeka mnie udział w YTS. Ostatecznie zdecydowałem się na jedną z najlepszych szkół w Halifaxie - Hunter and Maxwell. Miała świetną reputację. Jej absolwenci co roku dostawali się na studia w Oxfordzie i Cambridge, Panowała w niej iście akademicka atmosfera. Bez żadnego telefonu czy rozmowy wstępnej pojechałem do szkoły i zapytałem, czy mogę się w niej uczyć. Wicedyrektor zaprosiła mnie do gabinetu na rozmowę. Zapytała, czemu odszedłem z poprzedniej szkoły. Nie odważyłem się powiedzieć prawdy. Skłamałem, że zależy mi na jak najwyższym poziomie kształcenia. Kupiła moją wersję bez cienia podejrzliwości.

Kilka dni później rozpocząłem naukę. Natychmiast zrozumiałem, że popełniłem wielki błąd. Już pierwszego dnia okazało się, że mam olbrzymie zaległości. Odnosiłem wrażenie, że jestem jedynym normalnym dzieciakiem w szkole dla supermózgów. Ludden High, w której się wcześniej uczyłem, była zupełnie inna. Mało kto podchodził tam do więcej niż czterech egzaminów na poziomie podstawowym. W Hunter and Maxwell 99 procent uczniów zdawało co najmniej pięć egzaminów; 95 procent z nich decydowało się na poziom rozszerzony. Jeden drobiazg podkreślał różnicę między obiema placówkami: w Ludden High uczniowie martwili się, czy uda im się zdać egzamin, w Hunter and Maxwell zastanawiali się tylko, jaką dostaną ocenę.

Jeśli chciałem mieć choć cień szansy na pozytywną ocenę, musiałem przyłożyć się do nauki, wspiąć się na niedostępne wcześniej wyżyny i przezwyciężyć swoje słabości. Nie potrafiłem jednak tego zrobić. Ilość pracy domowej po prostu mnie przytłoczyła. Przepaść między poziomem podstawowym a rozszerzonym okazała się dla mnie nie do pokonania. Nie mogłem uwierzyć, z jaką łatwością inni uczniowie przyswajają wiedzę. Wszystkie problemy zostały dodatkowo spotęgowane przez społeczne aspekty życia w nowej szkole.

Choć nauka odbywała się na koszt państwa, Hunter and Maxwell należała do najbardziej tradycyjnych szkół średnich w Halifaxie. Jedenastolatków obowiązywał egzamin wstępny. Szkoła była tak znana, że uczniowie przyjeżdżali specjalnymi autobusami aż z Lancashire i Derbyshire. Oczywiście większość

dzieciaków pochodziła z zamożnych rodzin - ich rodzice mieli porządną pracę i świetnie zarabiali.

Zupełnie nie pasowałem do tego świata. W dodatku pojawiłem się tam dopiero w szóstej klasie, gdy moi rówieśnicy znali się już od pięciu lat. Choć uchodziłem za outsidera, nie poddałem się i z czasem udało mi się znaleźć kilku kolegów.

Najlepszym z nich był Simon - wesoły, bystry i bardzo sympatyczny. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Nie chodził do mojej klasy, lecz uczęszczaliśmy razem na niektóre przedmioty. Ubierał się modnie, miał kręcone włosy. Był prawdziwą duszą towarzystwa, z drugiej strony samotność wcale mu nie przeszkadzała. Lubilem jego towarzystwo, choć zawsze czułem, że gram w naszym duecie drugie skrzypce. Simon grał w szkolnej drużynie rugby, co uważano za wielkie wyróżnienie. Poza tym był wygadany, dzięki czemu nigdy nie miał problemów nawet z najładniejszymi dziewczynami. Zazdrościłem mu tego. Często wyobrażałem sobie, jak fajnie byłoby znaleźć się na jego miejscu.

Po rozstaniu z Suzy znalazłem w Blackholme inną dziewczynę, lecz chodziliśmy ze sobą krótko. W ciągu dwóch lat nauki w nowej szkole miałem kilka sympatii. Zwykle były to bardzo nieśmiałe dziewczyny, o rok lub dwa młodsze ode mnie. Tymczasem jako nastolatek chciałem dowiedzieć się wszystkiego o seksie, więc moje poczucie własnej wartości nieco ucierpiało. Miało jednak miejsce kilka wydarzeń, które korzystnie wpłynęły na tę sferę mojego życia.

Po pierwsze, wystąpiłem w szkolnym przedstawieniu. Udział zaproponował mi nauczyciel. Zgodziłem się bez zastanowie-

nia. Zagrałem Berwolia w *Romeo i Julii*. Aktorstwo spodobało mi się i byłem bardzo przejęty, gdy stanąłem na scenie. Nauczyciel wiedział, jak maksymalnie wykorzystać mój talent.

Dzięki przedstawieniu pojawiła się szansa na zdobycie przychylności Jeanine. Była wysoka, pewna siebie i seksowna. Nie sądziłem, że mógłbym mieć u niej jakiegokolwiek szanse. Kiedy jednak zobaczyła mnie na scenie, zgodziła się pójść ze mną na randkę. Musiałem zrobić na niej wrażenie. Spotykaliśmy się jakiś czas, lecz pewnego razu zrobiłem coś naprawdę głupiego.

Mama chciała odwiedzić dziadka w Worcesterze, ale Reg nie chciał jechać, więc to ja musiałem jej towarzyszyć. Dwadzieścia lat wcześniej mamę łączyły z teściem zażyłe stosunki, więc ojczym nie zgadzał się, żeby pojechała sama. Nie miałem ochoty rozstawać się na cały tydzień z nowo poznaną dziewczyną, ale matka się uparła.

Po powrocie do szkoły jedna z koleżanek Jeanine zapytała mnie, jak się bawiłem. Bezmyślnie wypaliłem, że w Worcesterze spotykałem się z inną dziewczyną. Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Może chciałem dać do zrozumienia, że ktoś jeszcze mógł się mną zainteresować. Skutek nietrudno było przewidzieć. Jeszcze tego samego dnia Jeanine dowiedziała się o wszystkim i rzuciła mnie. Najładniejszą dziewczynę, z jaką kiedykolwiek się spotykałem, straciłem przez własną głupotę, bo przecież to, o czym powiedziałem, nigdy nie miało miejsca.

Wtedy też poznałem Tima, szczupłego bruneta z piątej klasy. Mieszkał w sąsiedztwie, więc wracaliśmy ze szkoły tym samym autobusem. Był cichy i tajemniczy. Nasza przyjaźń rozwijała

się powoli, jednak intrygował mnie i chciałem dowiedzieć się, jaki jest naprawdę.

Moje szkolne życie skupiało się głównie na obawach typowych dla nastolatków oraz na burzy hormonów. Było mi ciężko: miałem niską samoocenę i nigdy nie wiedziałem, co powiedzieć ani jak się zachować. Pewnie nie różniłem się zbyt od rówieśników, ale w przeciwieństwie do nich nie mogłem liczyć na wsparcie rodziny.

* * *

Reg miał już siedemdziesiąt sześć lat, a mama z żony przedzierzgnęła się w jego opiekunkę. Choć nie miał problemów z poruszaniem się, musiała pomagać mu w domu. Ojczym zupełnie zniknął z mojego życia i w żaden sposób mnie nie wspierał, a przecież wystarczyłoby dobre słowo. Pomijając ojca, Reg był dla mnie najbliższym mężczyzną, więc bardzo liczyłem wtedy na jego życiowe doświadczenie. Niestety, prawie w ogóle się do mnie nie odzywał.

Stałem się samowystarczalny. Jeździłem autobusami, bo matka nie chciała mnie wozić samochodem. Reg nie podejmował żadnych decyzji związanych z moją osobą. Kiedy musiałem spytać o pozwolenie, szedłem do matki, a ona wydawała wyrok. Zazwyczaj sam szykowałem sobie jedzenie. Wyjątek stanowiły niedzielne obiady. Wtedy to mama z Regiem przygotowywali pieczyste. Tylko dzięki temu miała poczucie, że tworzymy prawdziwą rodzinę.

Pojawił się jeszcze jeden problem. W wieku czterdziestu trzech lat mama rzuciła pracę ze względu na stres. Ludziom, którzy nigdy nie przeżyli załamania nerwowego, wydaje się,

że to żaden powód. Niektórzy jednak tak bardzo przejmują się drobnostkami, że nie są w stanie normalnie funkcjonować. Najmniejsze błahostki wyprowadzały ją z równowagi. Wystarczyło, żeby ktoś zostawił otwarte drzwi albo odezwał się w nieodpowiednim momencie. Mogłam sobie wyobrazić, jak męczyła się w pracy, gdzie jedyną metodą wpływu była dyplomacja. Nie potrafiła radzić sobie z ludźmi. Nas mogła zmusić do posłuszeństwa krzykiem i pewnie bardzo żałowała, że nie może w ten sam sposób zapanować nad swoimi współpracownikami.

Fakt, że jako nastolatek zszedłem na złą drogę, tylko pogorszył sytuację. Próba samobójcza, atak na policjanta, liczne włamania, rozprawa sądowa i wyrzucenie ze szkoły byłyby sporym obciążeniem dla każdego rodzica, a mama zupełnie nie umiała sobie z tym poradzić. Zszargane nerwy potrafiła ukoić tylko alkoholem. Nigdy się nie dowiedziałem, czy to stres przyczynił się do tego, że zaczęła pić, czy też to alkoholizm wywoływał u niej stres.

- Miałam bardzo ciężki dzień, muszę się napić - mówiła, po czym wsiadała do samochodu i jechała po butelkę.

Kilka godzin później była już kompletnie pijana. Dobijała się do mojego pokoju, domagała się seksu, krążyła po całym domu i próbowała ugotować coś na kolację. Jak zwykle kręciłem się w pobliżu i cierpliwie znosiłem obelgi, którymi mnie obrzucała. Czasem podnosiła na mnie rękę. Kiedyś pilnowała się, by nie pić, jeśli następnego dnia szła do pracy. Teraz nic już nie stało jej na przeszkodzie. Mogła zaglądać do butelki, kiedy tylko chciała.

* * *

Na szczęście nauczyłem się znosić matczyne wybryki. Nie wszyscy byli jednak równie pobłażliwi - na przykład dziadek. Utrzymywaliśmy z nim kontakt przez sześć lat. Kilka razy go odwiedziliśmy. Połączyła nas mocna więź. Kochałem go. Ujął mnie swoim urokiem osobistym i poczuciem humoru. W porównaniu z niekontrolowanymi wybuchami agresji u matki i obojętnością Rega, każda chwila spędzona z dziadkiem była dla mnie szczęściem.

Bardzo lubił się dzielić. Kiedy nas odwiedził, szarpnął się na nowiutką lodówkę. Mama była zachwycona. Większość sprzętu AGD kupowaliśmy z drugiej ręki. Wreszcie mieliśmy coś nowego i choć przepiękna lodówka nie pasowała do naszej skromnie urządzonej kuchni, prezent sprawił nam wielką radość.

Kiedy Dorothy zmarła, nie pojechaliśmy na pogrzeb, jednak nadal utrzymywaliśmy kontakt z dziadkiem. Choć po śmierci siostry pogrążył się w smutku, w pewnym sensie poczuł się także wolny. Kupił sobie nawet telewizor, a przecież Dorothy zarzekała się, że nigdy do tego nie dopuści. Wprawdzie oboje uchodzili za bardzo religijnych, co tydzień brali udział w nabożeństwie i przekazywali niewielką część swoich dochodów na rzecz braci plymuckich, ale wiara Dorothy z pewnością była bardziej żarliwa niż jej brata.

Czułem, że dziadek może mnie jeszcze wiele nauczyć i nie chciałem, by zniknął z mojego życia. Nagle jednak, nie wiedząc czemu, kontakt się urwał. Wszystko wyglądało tak jak w przypadku wielu innych znajomości matki; najpierw nawiązywała kontakt, potem jeszcze bardziej zbliżała się do drugiej osoby, żeby w końcu spalić za sobą wszystkie mosty.

Wiele lat później znalazłem korespondencję mamy i dziadka z czasu odnowienia kontaktu, która rzucała na ich znajomość całkiem nowe światło. W pierwszych dwóch listach, z 1979 roku, dziadek ostrzegał matkę, by ważyła słowa, bo Dorothy wszystko czyta. W listopadzie dziadek napisał:

Zapewne zechcesz wiedzieć, że Dorothy czyta wszystkie moje listy. Nic nie mogę na to poradzić.

Miesiąc później list brzmiał następująco:

Swoja drogo, cokolwiek napiszesz w przyszłości, pamiętaj, że Dorothy czyta wszystkie moje listy (z wyjątkiem tego, który napisał do mnie Keith). Zawsze była dobrym człowiekiem, nie to co jej zbuntowany krewny.

Po śmierci siostry ton jego listów wyraźnie się zmienił. Dziadek nadal nie mówił niczego wprost, ale można było wyczuć, że korespondencja stała się bardziej żartobliwa i swobodna.

Odniosłem wrażenie, że ojciec nie wiedział o naszych kontaktach z dziadkiem. Mama w końcu mu o nich powiedziała i tata z pewnością się rozgniewał. Dziadek delikatnie skarcił matkę za to, że się wygadała - uważał, że lepiej by było, gdyby tata się o tym nie dowiedział. Wzburzyło go także zachowanie syna.

Me cierpię nadęcia. Czemu Keith tak się denerwuje? Przecież jesteśmy tylko dobrymi znajomymi, póki nam nie udowodnię, że jest inaczej!

Dziadek sugerował również, że wiele lat temu wydarzyło się coś, co spowodowało, że ojciec przestał się do niego odzywać. Nie napisał jednak co. Mama stwierdziła, że to przez jej romans z dziadkiem. Pierwszy raz powiedziała mi o tym, gdy byłem nastolatkiem, a wiele lat później powtórzyła to raz jeszcze, w obecności innych osób.

W październiku 1983 roku dziadek napisał, że nie może uwierzyć, iż babcia - z którą od lat był w separacji, choć nigdy się nie rozwiedli – zainteresowała się satanizmem. Wiedziałem, że jest dziwaczką, bo dawała mi książki o medytacji transcendentnej, lecz nie sądziłem, że zwróciła się ku satanizmowi. Nie wiem, czy mama ubarwiła rzeczywistość, czy też wiedziała o czymś, o czym ja nie miałem pojęcia, lecz list dziadka miał dość jednoznaczny wydźwięk.

W ostatnim liście, z listopada 1985 roku, dziadek nie wspominał, dlaczego zrywa kontakt. Być może zmarł, bo od dawna cierpiał na różne schorzenia (o stanie zdrowia informował mamę w każdym liście), lecz matka nawet się nie zająknęła o jego śmierci. Nie wiedziałem więc, czemu nigdy więcej się z nim nie spotkaliśmy ani co się tak naprawdę stało. Nie uległo jednak wątpliwości, że była to wina matki, a ściślej - alkoholu.

Nie tylko ona zachowywała się dziwnie. Stan babci również się pogorszył.

* * *

Już od dawna odwiedzałem babcię sam. Mama wcale nie nalegała, żebym to robił, ale kochałem babcię i chciałem się z nią widywać, mimo że z czasem zdziwaczała i zamknęła się w sobie.

Zrobiła się bardzo podejrzliwa. Niekiedy problemy zaczynały się jeszcze przed drzwiami. Musiałem przejść cały rytuał.

- Kto tam? - pytała zza drzwi.

- To ja, David!

Przez chwilę zastanawiała się, czy to na pewno ja, a potem dało się słyszeć szcęknięcie kolejnych zamków. Było ich sporo. Kiedy babcia otworzyła już wszystkie, od góry do dołu, drzwi, zabezpieczone jeszcze łańcuchem, nieznacznie się uchylały. Musiałem pamiętać, żeby nie włożyć głowy w szczelinę, bo bardzo tego nie lubiła.

- Cześć, babciu! - mówiłem spokojnym głosem.

- To ty, Davidzie?

- Tak, babciu, to ja.

Wystawiała głowę przez szparę i sprawdzała, czy na pewno nie kłamie. Wtedy uśmiechałem się do niej przyjaźnie. Zwykle nie reagowała na to, ale wpuszczała mnie do środka. Tak wyglądała każda wizyta. Nie przejmowałem się tym specjalnie, bo babcia zawsze miała swoje dziwactwa. Pewnego razu jednak okazało się, że to coś poważniejszego.

W ramach zajęć WF-u chodziłem najudo do Welsdon Barracks. Nieopodal mieszkali ciotka Mavis, siostra mojej babki, i wuj Gerald. Uwielbiałem ich oboje. Gdy pukałem do drzwi, słyszałem, jak ciotka biegnie, żeby mnie wpuścić. Mocno mnie ścisnęła i zawsze cieszyła się z moich odwiedzin. Wiedziała, jak sprawić mi przyjemność.

Gerald natomiast był duszą towarzystwa. W dzieciństwie uważałem, że ma najlepsze zajęcie na świecie. Pracował bowiem w fabryce czekolady w Halifaxie. Co wieczór wracał do domu

z torbą odpadów produkcyjnych: czekoladki smakowały tak samo jak zwykle batoniki, lecz były zniekształcone, więc nie nadawały się na sprzedaż. Każdy dzieciak marzył o takim wujku.

W domu rzadko jadalіśmy czekoladę, bo była droższa od słodkości, które robiła mama. Kiedy tylko przekraczałem próg mieszkania, ciotka robiła mi kawę z mlekiem i stawiała przede mną talerz czekoladek. Czułem się jak w raju. Wujostwo nie mieli żadnych wrogów. Nikt nie powiedziałby o nich złego słowa. Mieli za to kochającą rodzinę, syna Josha i dwie wnuczki. Pewnego dnia, po zwyczajowej kawie i czekoladkach, zamiast gwarnej rozmowy przerywanej śmiechem Mavis w salonie zapadła cisza. Oboje mieli poważne miny.

- David, musimy ci coś powiedzieć - zaczął Gerald.

- Co takiego?

Od razu zapomniałem o słodyczach, bo zauważyłem, że ciotka bardzo się zdenerwowała.

- Twoja babcia wydziedziczyła Mavis.

- J a k to?

- Babcia uznała, że Mavis nie jest jej rodzoną siostrą. Oznajmiła, że nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Oślupiałem. Nikt nie mógłby się tego spodziewać, nawet znając dziwactwa babci. Siostry miały już ponad siedemdziesiąt lat, ale podobieństwo między nimi było wciąż uderzające. Ojciec i Josh razem dorastali, a potem gościli nawet na swoich weselach. Babcia zadała więc ciotce ogromny ból.

Mavis była niepokieszona, ale musiała uszanować jej życzenie. Tymczasem dla mnie stało się jasne, że babcia cierpi na jakąś

chorobę umysłową. Jako dziecko mogłem jednak tylko obserwować wydarzenia. Współczułem ciotce, ale nie wspomniałem babci o tym, co usłyszałem. Poza tym ja też czasem dziwnie się zachowywałem.

* * *

Lubiłem ryzyko. Buntowałem się przeciw autorytetom. Zapisalem się do Air Training Corps*. Młodzi mogli poznać tam wojskowe życie i przygotować się do służby. Po kilku miesiącach zostałem wyrzucony. Uderzyłem podoficera, który kazał mi zrobić coś, na co nie miałem ochoty.

Wciąż trenowałem karate i byłem w tym całkiem niezły. Po dziesięciu latach przynależności do zuchów, a potem do skautów, dołączyłem do Venture Scouts, grupy skupiającej starszych nastolatków. Któregoś wieczoru prezentowałem kolegom, jak należy uderzać pięścią i kopać. Później poszedłem do pubu i w toalecie wybiłem pięścią dziurę w ścianie. Byłem wtedy sam. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby w gipsowej ścianie zostawić odcisk swojej pięści. Następnie dowódca skautów udzielił mi reprimendy. Najwyraźniej zorientował się, o kim mowa, gdy właściciel pubu złożył skargę.

Kiedyś rzadko piłem alkohol. Z czasem jednak zacząłem regularnie zaglądać do butelki. Dopóki nie ukończyłem osiemnastego roku życia, mama kazała mi wracać do domu przed północą. Większość imprez trwała dłużej, więc ciągle musia-

* *Air Training Corps* (ang. Korpus Wyszkożenia Lotniczego) - organizacja pod egidą Królewskich Sił Lotniczych, przeznaczona dla młodzieży w wieku 13-20 lat. Większość instruktorów i kadetów stanowią cywile.

łem wymyślać jakieś wymówki. Czasami nocowałem u Simona, kolegi z nowej szkoły. Jego rodzice byli bardziej pobłażliwi: mógł wracać do domu, o której chciał. Mama lubiła go i ufała mu, więc nie zadawała żadnych pytań.

Rzadko chodziliśmy do miasta. Zresztą nie czuliśmy nawet takiej potrzeby. Większość uczniów z nowej szkoły miała zamożnych rodziców, więc na szesnaste i osiemnaste urodziny wszyscy urządzali imprezy. Simona zapraszano na większość z nich, a on zabierał mnie ze sobą. Urodziny organizowano w lokalach, w których nieletni mogli kupić alkohol, najczęściej w pewnym klubie na krańcu miasta. Były to imprezy zamknięte, więc nikt z zewnątrz nie wiedział, co działo się w środku.

Piłem tylko po to, żeby się upić. Martwiło mnie to, bo tak samo postępowała mama. Nigdy nie piła towarzysko, upijała się wyłącznie w domu. Ja robiłem to wprawdzie tylko na imprezach, ale cel był taki sam - chciałem przenieść się do swojego alternatywnego świata. Właściwie nawet nie lubiłem smaku większości alkoholi. Piwo i mocne trunki brałem do ust tylko, jeśli były bardzo tanie. Przez matkę nienawidziłem brandy. Przepadałem za likierami, sherry i cydrem - ze względu na ich słodki smak. Upijałem się regularnie i już wkrótce odkryłem napój, który działał na mnie najlepiej: mocne piwo Gold Label, zawierające 10,9 procent alkoholu.

Simon pił jeszcze więcej niż ja. Najbardziej smakowało mu piwo. Jak większość chłopaków w naszym wieku po prostu chcieliśmy się upić. Dzięki częstym imprezom moje życie towarzyskie kwitło. Nie ze wszystkich swoich wybryków byłem

jednak dumny. Zdarzało mi się na przykład uciekać przed taksówkarzami. Kazałem zawieźć się w jakąś uliczkę w pobliżu domu. Gdy samochód stanął obok muru odgradzającego drogę od pola, wysiadałem, przeskakiwałem ogrodzenie i brałem nogi za pas. Byłem młody i szybki, więc żaden taksówkarz nie zdołał mnie złapać.

* * *

Jednym z powodów, dla których wyłudzałem kursy taksówką, był po prostu brak pieniędzy. Na imprezy mogłem sobie pozwolić tylko dlatego, że wciąż roznosiłem gazety. Poprzednio pracowałem rano, po półtorej godziny przez sześć dni, zarabiając cztery funty tygodniowo. Po włamaniu do kiosku zostałem oczywiście zwolniony.

W nowej pracy zatrudniono mnie na innych zasadach - tak jakbym prowadził własną firmę. Co niedzielę przez trzy godziny roznosiłem towar, który najpierw kupowałem za sześćdziesiąt funtów. Dostawałem paczkę gazet i adresy klientów. Zaopatrywałem się w malutkim kiosku w Mystendyke, czynnym tylko w niedzielę. Niesprzedane egzemplarze zwracałem do sklepu.

Gazety kupowałem po cenach niższych niż podane na okładce. Na przykład „News of the World” kosztowały dwadzieścia osiem pensów, a ja kupowałem je za dwadzieścia. Za „Sunday Times” brano zwykle pięćdziesiąt pensów, ja zaś płaciłem trzydzieści. Trasa dostawy była istną kopalnią złota. Co tydzień w ciągu zaledwie trzech godzin zarabiałem od trzynastu do piętnastu funtów. Wprawdzie musiałem wstać o wpół do ósmej, nawet jeśli bawiłem się do samego rana,

ale nie dostrzegałem żadnych innych wad tego lukratywnego zajęcia. Przy okazji odkryłem w sobie żyłkę przedsiębiorcy.

Sam sobie byłem szefem, miałem własną trasę, zarabiałem na handlu, sam wyliczałem swój zysk i odbierałem należności. Mogłem też zarobić więcej niż poprzedni „przedsiębiorcy” - dwaj bracia, którzy sprzedali mi udział we wrześniu i powiedzieli, że na Boże Narodzenie dostanę około piętnastu funtów w napiwkach. Ucieszyłem się, bo akurat w tym czasie najbardziej potrzebowałem pieniędzy.

Tuż przed Świątami wpadłem jednak na inny pomysł. Kupiłem najtańsze kartki świąteczne za trzy funty i napisałem życzenia dla każdego ze swoich klientów. Wręczyłem je razem z zamówionymi gazetami. Efekt przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Tylko dwóch klientów poskąpiło mi bożonarodzeniowego napiwku. W sumie zarobiłem wtedy osiemdziesiąt pięć funtów, co w 1986 roku było dla mnie olbrzymią kwotą. Ucieszyłem się ze swojego pomysłu, lecz jeszcze bardziej z tego, że odniosłem większy sukces niż moi poprzednicy. Poczuliśmy się jak prawdziwy biznesmen.

W najbliższej rodzinie nie znałem nikogo, kto miałby smykałkę do interesów, nie licząc wuja Jima. Raz spotkałem go na pogrzebie dziadka, a drugi raz - gdy niespodziewanie nas odwiedził. Miałem wtedy kilkanaście lat. Wuj ponownie się ożenił, lecz nie powiedział o tym mamie i nie zaprosił nas na ślub.

Kiedy miałem siedemnaście lat, pojechaliśmy do niego, do Kentu. Jak zwykle zatrzymaliśmy się na kempingu. Do domu wuja było blisko, więc spędziliśmy z jego rodziną dużo czasu. Wujostwo mieszkali w pięknym domu, a do tego mieli

nowiutki samochód. Ich życie w niczym nie przypominało naszego. Jim był dyrektorem i współwłaścicielem jednej z największych w Europie kopalni łątku. Kiedyś tam pojechaliśmy. Zawsze interesowałem się samochodami i różnymi maszynami, więc bardzo się ucieszyłem na widok olbrzymich koparek i spychaczy. Od razu było widać, że Jim to przedsiębiorca pełną gębą.

Miał już wtedy trzecią żonę, młodszą od niego o dwadzieścia lat. Urodziła mu dwójkę dzieci, a z poprzednich małżeństw miał jeszcze dwoje. Kiedy przyjechaliśmy z wizytą, prawie w ogóle nie interesował się żoną ani dziećmi. Kilka razy odwiedziliśmy go wieczorem, a po zjedzeniu kolacji przygotowanej przez ciotkę wychodziliśmy do pubu. Ona zaś zostawała w domu z dziećmi. Siedzieliśmy w pubie aż do zamknięcia. W tym czasie Jim upijał się do nieprzytomności.

Kiedy poznałem wuja lepiej, przekonałem się, jak ciężko się z nim żyje. Był dość samolubny i lubił się awanturować. Wtedy jednak nie zdawałem sobie sprawy, że jest takim samym alkoholiczkiem jak mama.

Po tym wyjeździe więcej go już nie widziałem. Zaniedbał się i wkrótce po naszej wizycie zmarł, nie dożywszy nawet pięćdziesiątki.

* * *

Moje osiemnaste urodziny wypadły 6 kwietnia 1986 roku, tuż przed egzaminami na poziomie rozszerzonym. Zamiast prezentów poprosiłem o pieniądze. Rodzice dali mi po sto pięćdziesiąt funtów. Mama zawsze oszczędzała, dzięki czemu mogła sobie pozwolić na kupno samochodu za gotówkę, coroczne

wyjazdy na wakacje, życie bez pożyczek i kart kredytowych. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak tego dokonała, choć oczywiście nie znałem dokładnie jej sytuacji finansowej.

Pieniądze postanowiłem przeznaczyć na wakacje. Razem z Simonem i trzema kolegami kupiliśmy bilety i pojechaliliśmy autokarem na południe Francji. Zatrzymaliśmy się na kempingu. Choć nie cierpiałem takich wyjazdów, tym razem nie mogłem się doczekać. Dwa tygodnie we Francji, a codziennie - alkohol i dziewczyny. Mogliśmy sobie na to pozwolić, bo noclegi na polu namiotowym były tanie. Za hotel musielibyśmy zapłacić dwa razy więcej.

Wycieczka mocno zapadła mi w pamięć. Niestety, nie są to miłe wspomnienia. Wszystkie pieniądze wydawałem na alkohol. Jadłem tylko tyle, żeby wieczorem żołądek się nie zbuntował. Choćbym nie wiem ile wypił, zawsze zachowywałem kontrolę nad sobą i nazajutrz pamiętałem wszystko, co działo się poprzedniego dnia. Simon miał mniej szczęścia.

Tak jak moja matka - często przesadzał z piciem i przestawał nad sobą panować, przez co raz po raz wpadał w tarapaty. Pewnej nocy był tak pijany, że zupełnie stracił miarę. Choć wszyscy mieliśmy ostro w czubie, wiedzieliśmy, że Simon posuwa się za daleko.

Po pijaku zawsze miał ochotę na bójkę. Tym razem zaczął zaczepiać nas.

- Podskoczcie tylko, a porozwalam was wszystkich! - rzucił w naszą stronę.

Odsunęliśmy się, żeby go nie prowokować.

- Co, pizdeczki, boicie się?

Kiedy zrobił kilka kroków do przodu, jeden z chłopaków walnął go prosto w twarz. Simon runął na ziemię jak kłoda. Z oka polała mu się krew. W całym towarzystwie tylko ja mówiłem po francusku, więc musiałem sprowadzić lekarza. W końcu udało mi się przeprowadzić go przez labirynt namiotów na miejsce wypadku. Simon trafił do szpitala. Powiedziano mu tam, że niewiele brakowało, a straciłby oko. To wydarzenie zepsuło nam całą wycieczkę. Odwiedziny w szpitalu nie należały do najprzyjemniejszych, a w dodatku słono nas kosztowały. Musieliśmy zapłacić dwadzieścia pięć funtów za lekarza, do tego dochodziły wydatki na dojazdy. Mimo że w domu się nie przelewało, postanowiłem zadzwonić do mamy. Byłem bardzo zaskoczony, gdy kilka dni później dotarły do mnie pieniądze. Nie spodziewałem się, że listonosz tak szybko znajdzie mnie na francuskim polu namiotowym.

Gdy zobaczyłem, jak Simon stracił nad sobą kontrolę, zrozumiałem, jak bardzo przypomina mi matkę. Zupełnie nie pamiętał, co robił. Kiedy rozmawialiśmy z nim w szpitalu, na początku kłamaliśmy na temat wypadku. Jego pijacka amnezja dała mi odpowiedź na jedno z dręczących mnie pytań. Aż do tamtej chwili wciąż zastanawiałem się, czy matka pamiętała wizyty w moim pokoju. Jeśli nie, byłem skłonny uznać je za objaw choroby. Jeśli jednak świadomie domagała się od swojego syna seksu... Zupełnie zmieniłoby to jej obraz w moich oczach.

Pod wpływem alkoholu Simon przeszedł drastyczną przemianę. Stał się potworem. Nie pamiętał niczego ze swojej pijackiej przygody. Jestem przekonany, że tak samo było z moją matką.

* * *

Po powrocie z wakacji czekało nas ogłoszenie wyników egzaminów. Mama zawiozła mnie do szkoły, postanowiła jednak poczekać na zewnątrz. Uczniowie głośno zastanawiali się, czy zebrali dość punktów, by dostać się na wybrane studia. Ja zaś miałem nadzieję, że udało mi się zdobyć chociaż kilka przyzwoitych stopni.

Gdy stanąłem przed wielką tablicą wyników, zacząłem szukać swojego nazwiska na samym dole. Potwierdziły się moje najgorsze obawy: miałem jedną ocenę dostateczną. Resztę przedmiotów oblałem, więc o uniwersytecie mogłem tylko pomarzyć.

Do samochodu wróciłem całkowicie zdruzgotany. Gdy pokazałem wyniki mamie, wybuchła płaczem. Role znów się odwróciły i to ja musiałem ją pocieszać. Powtarzałem jej więc, że wszystko będzie dobrze.

Wydawałem się niezwykle spokojny, dlatego matka uznała, że mam jakiś plan awaryjny. Wcale go jednak nie miałem. Przyszła pora na znalezienie pracy. Podzieliłem się z mamą swoimi wątpliwościami. Wtedy zaproponowała mi pielęgniarstwo. W pierwszym odruchu odrzuciłem ten pomysł - uważałem bowiem ten zawód za zajęcie dla kobiet. W końcu mama była pielęgniarką. Im dłużej jednak o tym myślałem, tym bardziej przekonywałem się, że warto spróbować. Zgłosiłem się do pracy i szybko zaproszono mnie na rozmowę. Ubrałem się więc elegancko i pojechałem do szpitala.

Byłem bardzo zdenerwowany. Oswoiłem się już z myślą o pielęgniarstwie, więc zależało mi na tej pracy. Cieszyłem się,

że będę pomagał ludziom. Poza tym mogłem wybrać dowolną specjalność, a sam zawód miał przyszłość - przecież pielęgniarki zawsze się przydadzą. W poczekalni w dziale kadr było jeszcze kilka osób, równie zdenerwowanych jak ja. W końcu nadeszła moja kolej. Za drzwiami czekała na mnie bardzo energiczna kobieta. Wydawało się, że ona tam rządzi.

- Proszę usiąść, panie Thomas.

Natychmiast zacząłem myśleć o przygotowanych wcześniej odpowiedziach.

Zmierzyła mnie wzrokiem zza biurka i od razu przeszła do sedna.

- Przejrzałam pańskie zgłoszenie. Niestety, nie możemy pana zatrudnić.

Oślupiałem.

- Dlaczego? - Pytanie z trudem przeszło mi przez gardło.

- Ponieważ jest pan notowany.

Popatrzyła na mnie tak, jakby to było oczywiste. Musiałem zaznaczyć w formularzu, że zostałem skazany - inaczej zламаłbym prawo. Wprawdzie okres zawieszenia właśnie upłynął, ale jeszcze przez pewien czas musiałem informować pracodawców o wyroku. Nie sądziłem jednak, że z tego powodu nie będę mógł zostać pielęgniarem. Rozprawa miała miejsce dwa lata temu i zupełnie o niej zapomniałem. Do domu wróciłem otępiąły. Przez dwa lata nawet nie pomyślałem o wyroku. Tymczasem kolejny raz przekonałem się, jak dawne wysoki wpływają na moje życie.

Odmowa bardzo mnie dotknęła. Nie chciałem znowu przez to przechodzić, więc zapoznałem się z przepisami.

W pewnych zawodach miałem obowiązek podać informację o wyroku bez względu na to, kiedy został wydany. Nie mogłem więc na przykład wstąpić do policji. Nawet gdybym szukał tam pracy po czterdziestce, i tak musiałbym przyznać się do wyroku. Nie wszystkie wiadomości były jednak złe. W 1974 roku wydano ustawę o rehabilitacji przestępców, która stanowiła, że mój wyrok zostanie usunięty z akt po roku od upłynięcia okresu zawieszenia. Ustawa dotyczyła prawie wszystkich zawodów. Gdybym więc poczekał jeszcze kilka miesięcy, nie musiałbym już wspominać o kłopotach z prawem. Informacja ta poprawiła mi nieco humor, ale wciąż byłem na siebie zły.

Umówiłem się na rozmowę o pracę w dwóch firmach. W obydwu przypadkach zaproponowano mi posadę. Wybrałem Halifax First, firmę działającą na rynku ubezpieczeń motoryzacyjnych. Mama jak zwykle bała się ryzyka, więc nalegała, żebym przyjął ofertę. Powtarzała, jak ważna jest stała praca, która daje możliwość rozwoju.

Od pierwszego dnia nie znosiłem tej roboty. Po pierwsze, siedziałem w biurze zamknięty z czterema mężczyznami i dwudziestoma kobietami. Brakowało mi ogłady, więc przechodziłem prawdziwe męki - nie wiedziałem, co mówić ani jak się zachować. Zostałem uwięziony w czterech ścianach. Praca od dziewiątej do siedemnastej była udręką. W dodatku zarabiałem marne siedemdziesiąt funtów tygodniowo. Potrzebowałem więcej pieniędzy nie dlatego, że pragnąłem nowych ubrań, samochodu czy częstszych wypadów do miasta. Chciałem wreszcie wyprowadzić się z domu.

W końcu zrozumiałem, że mama już nigdy się nie zmieni. Moja cierpliwość się wyczerpała. Znosiłem jej alkoholizm przez całe życie. Reg i ona zamienili moje życie w piekło. Przez lata byłem bity i molestowany. Musiałem odejść z domu.

Część 3

Inne wspomnienia

Skok w płomień

Ucieczkę z domu umożliwiła mi dziewczyna z Blackholme - Janice. Była ode mnie starsza i - jak na fryzjerkę przystało - miała idealnie ułożone włosy. Zastanawialiśmy się nad kupnem domu, lecz nie mieliśmy dość pieniędzy. Postanowiliśmy więc coś wynająć. Bardzo lubiłem Janice, ale nie kochałem jej. Chciałem po prostu uciec od matki i byłem gotowy na wszystko. Z głupoty zdecydowaliśmy się na dom, który kosztował nas sto osiemdziesiąt funtów miesięcznie. Janice zarabiała siedemdziesiąt tygodniowo, więc jej miesięczna pensja szła w całości najedzenie, czynsz i rachunki. Skontaktowałem się z ojcem i poprosiłem go o wsparcie finansowe. W odpowiedzi przysłał komplet sztuców.

Nasze męki z rachunkami trwały pół roku. W końcu stwierdziliśmy, że nie stać nas na wspólne mieszkanie. Ona postanowiła przenieść się do swojego dziadka, ja zaś zakomunikowałem mamie, że wracam do domu. W przeciwieństwie do mnie była zachwycona. Data wyprowadzki zbliżała się nieubłaganie,

a ja zaczynałem wpadać w panikę. Naprawdę nie chciałem wracać. Co tydzień chodziłem do domu na niedzielny obiad i widziałem, że mama piła tyle, co zawsze. Nie mogłem pogodzić się z myślą o powrocie do tego piekła.

Przeglądając gazety w poszukiwaniu taniego mieszkania, znalazłem kawalerkę. Cieszyłem się, bo *dzięki* temu nie musiałem wracać do domu. Wciąż zarabiałem mało, nie miało to jednak znaczenia. Kawalerkę umeblowano dość skromnie, ale była czysta, a w dodatku znajdowała się w świetnym miejscu. Bez problemu mogłem dojść spacerem i do pracy, i do centrum Halifaxu, gdzie robiłem zakupy. To pozwoliłoby mi oszczędzić na dojazdach, a także korzystać z uroków nocnego życia w mieście.

* * *

Przez następne osiem lat liczyło się dla mnie przede wszystkim imprezowanie.

Lubiłem wychodzić sam, ale najlepiej bawiłem się z kumplem od kieliszka. Na szczęście miałem Tima. Poznaliśmy się w szkole Hunter and Maxwell, z której wracaliśmy tym samym autobusem. Był wtedy bardzo nieśmiały. Myślę, że borykał się z własnymi problemami. Chyba właśnie dlatego przypadliśmy sobie do gustu. Odnowiliśmy kontakt, gdy zacząłem pracę w Halifax First. Namówiłem go, żeby rzucił naukę i zatrudnił się w mojej firmie. Zrobił to i odtąd byliśmy nierozłączni.

Razem chodziliśmy na miasto. Staraliśmy się przy tym jak najwięcej zaoszczędzić. Szliśmy do klubów przed wpół do dziesiątej wieczorem, żeby nie płacić za wejście. Zdarzało mi się kraść

cudze drinki. Nieważne, co było w szklance - zawsze korzystałem z okazji, żeby za darmo się napić. Zabierałem nawet ze stołów niedopity alkohol i przelewałem wszystko do swojego kufła. Wiem, że to ohydne, ale wtedy świetnie się bawiłem. Szczyciłem się swoją oszczędnością: szliśmy na miasto, piliśmy, bawiliśmy się do trzeciej nad ranem, a w dodatku przez cały wieczór nie wydałem ani pensa. Dreszczyk emocji był niesamowity.

Przepadałem za muzyką dance, za atmosferą panującą w klubach i pubach. Miałem wrażenie, że jestem na innej planecie. Mogłem robić to, co na co dzień nie uchodziło. Dzięki alkoholowi czułem się swobodniej. Nie lubiłem spędzać wieczorów w domu. Samotność mi nie przeszkadzała, ale szybko się nudziłem. Zacząłem pić do lustra - nie po to, żeby zapomnieć. Był to dla mnie po prostu dobry sposób na spędzenie wolnego czasu.

Najbardziej smakował mi likier kawowy, Tia Maria, który mieszałem z coca-colą. Potrafiłem uporać się z butelką w jeden wieczór. Nie piłem codziennie, lecz zdarzało mi się to coraz częściej. Dwadzieścia lat męczyłem się z uzależnieniem matki, a teraz sam popadałem w alkoholizm. Na drodze do nałogu pojawiła się jednak pewna przeszkoda: pochłaniał zbyt dużo pieniędzy. Co miesiąc zostawało mi na wydatki tylko sto osiemdziesiąt funtów, a butelka likieru kosztowała dziesięć. Oszczędzałem więc na jedzeniu, byle zmieścić likier w budżecie. Ale to nie wystarczało, dlatego przestałem pić w domu. Był to dla mnie ważny krok. Nie chciałem skończyć jak matka.

W pracy czułem się coraz gorzej. Przełożeni regularnie kontrolowali wydajność pracowników. Robiłem tyle samo, co wszyscy, lecz ciągle wpadałem w tarapaty. Praca była strasznie nudna,

a w dodatku potrafiłem szybko się z nią uporać. Wystarczyło mi pół dnia, by zrobić to, na co inni potrzebowali całego. Resztę czasu spędzałem na pogawędkach z kolegami. Nie mogłem znieść monotonii.

Z jednej strony chciałem pracować w biurze, w stałych godzinach, nosić garnitur i nie brudzić sobie rąk. Z drugiej - czułem się jak w więzieniu. Postanowiłem poszukać innego zajęcia. Kupowałem „Yorkshire Post” choć nie sądziłem, że znajdę w nim odpowiednią dla siebie ofertę, bo ogłaszali się tam pracodawcy z całego kraju. Nie miałem samochodu i nie zamierzałem go kupować, chyba że otrzymałbym dużo wyższą pensję. Na to się jednak nie zanosilo, bo nie miałem żadnych kwalifikacji.

W końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Moją uwagę przykuło jedno z ogłoszeń. Niewielki anons informował, że straż pożarna rozpoczęła nabór kandydatów do pracy.

* * *

Od razu zainteresowałem się tą ofertą, choć z innego powodu niż większość ludzi myślących o zawodzie strażaka. Zazwyczaj kusił on obietnicą sławy i powodzenia u kobiet - mówi się przecież, że „za mundurem panny sznurem”. Dla mnie liczyły się dwie informacje: początkowa pensja była dwukrotnie wyższa od tej w Halifax First, a od kandydatów nie wymagano żadnych kwalifikacji.

Do straży pożarnej bardzo trudno było się dostać. Tylko jeden na czterdziestu kandydatów zdobywał zatrudnienie. Im dłużej jednak o tym myślałem, tym bardziej byłem skłonny podjąć wyzwanie. Przede wszystkim nowa posada diametralnie

różniła się od poprzedniej. Była to praca na zmiany i w weekendy. Pracowałbym fizycznie, choć nigdy wcześniej tego nie robiłem. Zapewne nieustannie musiałbym udowadniać, że nadaję się do tego zajęcia - nie tylko jako kandydat, ale też jako czynny strażak.

Zacząłem sobie wyobrażać, jak będę się czuł, mówiąc ludziom, że służę w straży pożarnej. Na pewno nabrałbym pewności siebie. Stałbym się dla innych autorytetem. Wkrótce uznałem, że nie mam wyboru - muszę dostać tę posadę. Wiedziałem, że czeka mnie trudne zadanie i muszę liczyć na łut szczęścia, ale byłem zdecydowany podjąć próbę. W lutym złożyłem aplikację i przez dziewięć miesięcy brałem udział w procesie rekrutacji.

Był to dla mnie bardzo stresujący okres. Na badania lekarskie stawilo się dwudziestu czterech facetów, lecz co jakiś czas przychodzili strażacy i wywoływali kolejne numery. Jeśli trafiło na ciebie, wychodziłeś z oficerem i już nie wracałeś. Choć kandydatów ubywało, powiedziano nam, że na szkolenie przyjętych zostanie tylko sześć osób. Miałem jednak olbrzymią motywację. Gdy przechodziłem kolejne etapy selekcji, moja pewność siebie stopniowo rosła. Kiedy zaproponowano mi pracę, nie posiadałem się ze szczęścia.

Dzień, w którym powiedziałem kierownikowi w Halifax First, że odchodzę, był najpiękniejszym dniem w moim życiu. Ze wszystkich sił starałem się dostać do straży pożarnej i pokonałem tysiące innych kandydatów, by wziąć udział w szkoleniu. Nareszcie miałem robić w życiu coś dobrego. Może dzięki temu polepszyły się stan mojej matki. Bardzo

cieszyła się z mojego sukcesu, choć martwiły ją zagrożenia, jakie niosła ze sobą praca strażaka. Niemniej jednak chwaliła mnie za zdobycie dobrego zawodu, który umożliwił zrobienie kariery.

Byłem jej wdzięczny za coś jeszcze. Po pewnym czasie dowiedziałem się, iż jednym z powodów, dla których przeszedłem pierwszy poziom rekrutacji, było to, że zdawałem egzaminy na poziomie rozszerzonym. Każdy oficer, aż po komendanta, musiał przejść całą ścieżkę kariery, lecz większość strażaków wcześniej pracowała fizycznie – jako hydraulicy, budowlańcy, kierowcy.

Dlatego też podczas rekrutacji szukali ludzi, którzy uczyli się dłużej niż do szesnastego roku życia. Tacy kandydaci mieli bowiem większe szanse na zdanie trudnych egzaminów na wyższe stopnie strażackie. Choć zaliczyłem tylko jeden przedmiot na poziomie rozszerzonym, sam fakt, że uczyłem się w szóstej klasie, zapewnił mi dodatkowe punkty.

Wstąpienie do straży pożarnej świadczyło o zmianie, jaka zaszła w moim życiu. Zgodnie ze sloganem - poszedłem na służbę jako chłopiec i stałem się mężczyzną. Wiele dowiedziałem się o ludziach, wyzwaniach, presji i o samym życiu. Nauczyłem się robić rzeczy, które wcześniej były dla mnie czarną magią. Miałem tylko jeden problem.

Straż pożarna dopuściła mnie do służby mimo błędów młodości. Przystudiowałem formularz zgłoszeniowy i uznałem, że nie muszę podawać informacji o wyroku. Z czasem przekonałem się jednak, że pominięcie jednego pytania w ankiecie nie wymaże przeszłości.

W końcu zwierzchnicy dowiedzieli się, że byłem młodocianym przestępcą, i popadłem w kłopoty. Zagroziło to mojej dalszej karierze.

* * *

Z Halifax First odszedłem w grudniu 1988 roku. Nie była to wcale zła praca - po prostu nie nadawałem się do niej. Ota- czali mnie ludzie, którzy za marną pensję wykonywali nudną robotę. Oczekiwano, że stanę się takim samym robotem jak oni. Szefowie nie potrafili wykorzystać mojego potencjału. Nie obchodziło mnie to jednak, bo w końcu zdobyłem pracę, w której mogłem rozwinąć skrzydła.

W styczniu 1989 roku rozpocząłem czternastotygodniowe szkolenie w centrum szkoleniowym Straży Pożarnej West York- shire, znajdującym się w Birkenshaw pod Bradford. Ogrom obowiązków przytłoczył mnie, ale bardzo chciałem się spraw- dzić. Wiedziałem, że podołam wyzwaniu, skoro udało mi się przejść rekrutację, podczas której odrzucono 97,5 procent kandydatów. Wybrano mnie, ponieważ najwyraźniej uznano, że nadaję się do tej pracy. Zupełnie nie wiedziałem, co mnie czeka. Byłem zwyczajnym gryzipiórkiem, który nigdy w życiu nie zhańbił się pracą fizyczną. W dodatku nie miałem w rodzinie żadnego męskiego wzorca. To wszystko w połączeniu z moim wiekiem sprawiło, że od samego początku nie szło mi najlepiej.

Największym wyzwaniem była praca fizyczna. Nie mia- łem pojęcia, jak obsługiwać przyłącza węży i przenośne pompy. Trudność sprawiało mi posługiwanie się najprostszyimi narzę- dziami. Ledwo zdołałem spamiętać ich nazwy, a co dopiero

mówić o przeznaczeniu. Strażacy, którzy w cywilu byli rzemieślnikami, hydraulikami czy elektrykami, bez trudu wdrożyli się do nowej pracy. Zazdrościłem im tego.

Miałem również problem z nieustannym krzykiem i dyscypliną. Nie chodziło o to, że nie chciałem robić tego, co mi kazano. Wprawdzie kiedyś byłem buntownikiem, ale wyrosłem z tego. Uznałem, że nie jest to czas ani miejsce na kłótnie z kolegami czy z instruktorami. Umiałem trzymać język za zębami, jednak ilekroć zrobiłem coś źle, nauczyciel wydzierał się na mnie z całych sił. Kompletnie mnie to rozstrajało. Robiłem się jeszcze bardziej nerwowy i nie mogłem się skupić. Sądziłem jednak, że ciągła presja ma oswoić nas z warunkami panującymi podczas pożaru.

Męczyła mnie również nadmierna dbałość o szczegóły, zwłaszcza w kwestii munduru i zachowania czystości. Mieliśmy cztery rodzaje umundurowania: ubranie robocze, kombinezon gaśniczy, mundur galowy i strój gimnastyczny. Trzeba było utrzymywać je w idealnym stanie. Nawet ciu-chy robocze - ogrodniczki i bluza - prasowaliśmy na kant. Nie widziałem w tym najmniejszego sensu. W każdy poniedziałek maszerowaliśmy w stroju roboczym przed komendantem i najmniejsza skaza na ubiorze oznaczała kłopoty. Ponieważ nie miałem samochodu, musiałem prasować ubranie w domu i tłuc się z nim autobusem. Aby na czas dojechać z Halifaxu do Bradford, wstawałem o piątej rano.

Najgorzej wspominam czyszczenie butów. Musieliśmy je nie tylko pastować, ale i polerować na wysoki połysk. Noski czyściło się i glansowało bawełnianą szmatką maczaną w wodzie. Było

to bardzo pracowite zajęcie. Strażacy, którzy służyli w wojsku, nie mieli z tym problemu. Ja jednak za każdym razem przechodziłem męki. Nigdy mi nie wychodziło, więc co tydzień pociełem się na paradzie jak mysz, modląc się, żeby nie podpaść komendantowi.

Wszystkie problemy dotyczące pracy, dyscypliny i czyszczenia stroju były jednak niczym w porównaniu z tym, co czekało mnie ze strony kolegów. W biurze otaczali mnie stosunkowo spokojni i grzeczni ludzie. Nie przeklinali, nie opowiadali świńskich kawałów ani nie wygłaszali żadnych dwuznacznych komentarzy. Nawet nie podnosili głosu.

Szkolenie w straży wyglądało zupełnie inaczej. Nikt nikogo nie oszczędzał, a w dodatku nie było żadnych świętości. Żeby jakoś to znieść, musiałem się uodpornić. Tymczasem szybko się denerwowałem. Poza tym miałem niespełna dwadzieścia lat, a średnia wieku na moim kursie wynosiła dwadzieścia pięć. Niektórzy kandydaci wstąpili do straży po piętnastu latach pracy w innym zawodzie. Byłem żółtodziobem, więc szybko stałem się obiektem drwin starszych, pyskających rekrutów.

Jak to w straży pożarnej bywa, prędzej czy później każdy zyskuje przezwisko. Po paru tygodniach nauki stało się jasne, że nie zostanę strażakiem roku. Ze wszystkim miałem jakieś problemy.

- Hej, Thomas! - zawołał do mnie jeden z chłopaków, gdy byliśmy akurat w sali pełnej rekrutów.

- Czego chcesz?

- Mam dla ciebie przezwisko!

Wiedziałem, że nie będzie to nic miłego.

- Jakie? - zapytałem od niechcienia, udając, że jest mi to zupełnie obojętne.

- Szmaja. W końcu masz dwie lewe ręce!

Cała sala ryknęła śmiechem. Gdyby chodziło o kogoś innego, śmiałybym się razem z nimi.

- Bardzo śmieszne - odburknąłem, czerwieniąc się ze wstydu.

Szybko nauczyłem się, że w straży pożarnej wytrwają najsilniejsi. Nie można się poddawać. Nie byłem najlepszym rekrutem, ale podobała mi się ta praca. Choć okupiłem to sporym wysiłkiem, zdobyłem wiedzę i umiejętności, które pozwoliły mi zaliczyć szkolenie.

Podczas kursu miałem różne problemy, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zrezygnować. Siłę do walki dawał mi weekendowy wypoczynek. Kiedy wychodziłem na miasto w sobotni wieczór, znajomi, dla których wcześniej byłem „Davidem z biura”, widzieli we mnie „Davida-strażaka”. Patrzyli na mnie inaczej, podziwiali mnie i szanowali. Służba w straży oznaczała prestiż - każdy wiedział, jak trudno się do niej dostać.

Na zakończenie szkolenia odbyła się defilada - rekruci mogli zaprezentować się w pełnej krasie zaproszonym przez siebie gościom. Do mnie przyszli mama, Reg i Janice, z którą spotykałem się już dwa lata. Rozpierała mnie duma, wytrzymałem bowiem do końca. Wcale nie było oczywiste, że zdołam ukończyć szkolenie. Wreszcie odniosłem sukces i czułem się z tym świetnie.

* * *

Wysoka samoocena uwidoczniła się również w innych dziedzinach. Zacząłem podnosić ciężary. Spodobało mi się na siłowni i postanowiłem popracować nad mięśniami. Byłem gotowy na wiele poświęceń, by wyrzeźbić odpowiednią sylwetkę. Podczas ćwiczeń stosowałem zasady etyki pracy, które poznałem na szkoleniu. Regularny trening szybko przyniósł efekty. Wprowadziłem też zmiany w swoim jadłospisie – na stole częściej pojawiał się kurczak, ryż, tuńczyk i napoje proteinowe.

Stałem się prawdziwym fanatykiem. Kulturystryka bardzo mi odpowiadała, bo dzięki zmianowemu systemowi pracy w straży bez trudu mogłem znaleźć na nią czas. Choć ciężko trenowałem i podobały mi się zmiany, jakie zachodziły w mojej sylwetce, nigdy nie brałem sterydów. Znałem wielu ludzi, którzy je brali, więc wiedziałem, jak łatwo można je zdobyć.

Nigdy jednak tego nie rozważałem. Nie kierowałem się przy tym moralnością. Doskonale rozumiałem, dlaczego niektórzy je biorą. Intensywnie trenowali i chcieli osiągnąć optymalne wyniki. Sam jednak nie miałem ochoty w to wchodzić. Zdarzały się bowiem wypadki - kulturyści nie raz trafiali do szpitala po przedawkowaniu lub zażyciu trefnego towaru. Poza tym wiedziałem, jak bardzo podatny jestem na uzależnienia. Gdybym zaczął, nigdy nie miałbym dość. Brałbym coraz silniejsze środki, by wyrobić jeszcze większe mięśnie. Nie chciałem wpaść w kolejne bagno.

Po raz pierwszy czułem, że mam pełną kontrolę nad swoim życiem. Pozbyłem się kompleksów i odniosłem sukces. Nieźle zarabiałem, więc mogłem sobie pozwolić na zaspokajanie wszel-

kich zachcianek. Przeprowadziłem się do innej kawalerki w tym samym budynku. Czynnś okazał się nieco wyższy, lecz mieszkanie znajdowało się na parterze, co bardziej mi odpowiadało.

Weekendowe wypady do miasta były dla mnie bardzo ważne, więc postanowiłem przeznaczac na nie wszystkie pieniądze. Pochłaniałem ogromne ilości alkoholu, ale nigdy tyle, żeby stracić nad sobą panowanie. Poza tym nie chodziłem do pubów. Nie miałem ochoty tkwić przy barze i rozmawiać ze stałymi bywalcami o pogodzie. Woląłem nocne kluby.

Zrozumiałem też, że najważniejsza jest moda. Dziewczyny lubiły facetów, którzy elegancko się ubierali i dbali o wygląd. Kupowałem porządne ciuchy, a na wyjścia zakładałem dwuczęściowy garnitur i krawat. Świetnie wyglądałem, a alkohol nieco rozwiązywał mi język. Wkrótce nauczyłem się mówić to, co kobiety chciały usłyszeć. Zawód strażaka stanowił dodatkowy atut.

Nie byłem typem amanta, ale kiedy wychodziłem na miasto, potrafiłem rozmawiać z kobietami. Początkowo wpłynęło to na mnie pozytywnie, ale później wyniknęły z tego poważne konsekwencje.

* * *

Z matką kontaktowałem się coraz rzadziej. Dzwoniłem do niej raz w tygodniu, żeby umówić się na niedzielny obiad. Tylko wtedy się widywaliśmy. Rzadko dzwoniła do mnie do domu, a ja nie miałem komórki ani pagersa, więc niełatwo było mnie złapać. O to mi właśnie chodziło. Kiedy już odwiedzałem dom rodzinny, Reg opowiadał mi o wybrykach matki. Jej stan

pogarszał się z każdym dniem. Nie wiedziałem jednak, co można poradzić na jej alkoholizm, i prawdę mówiąc, nie obchodziło mnie to. Dobrze się bawiłem, cieszyłem się niezależnością i nie chciałem, żeby mama psuła moje nowe życie.

Miałem do niego dość lekkie podejście. Byłem gotów na wszystko i nie myślałem o konsekwencjach. Przez wiele lat ukrywałem to, co działo się w moim wnętrzu, bo mama na trzeźwo nigdy nie wspominała o swoich pijackich wybrykach, a ja nie miałem nikogo, komu mógłbym się zwierzyć. Myślę, że przez to nauczyłem się tłumić uczucia, gdy kończyła się jakaś znajomość czy kolejny związek. Żyłem pełnią życia, jednak teraz, kiedy o tym pomyślę, wiem, że sam prosiłem się o kłopoty.

* * *

Praca znacznie różniła się od szkolenia. W jednostce nie panowała tak surowa dyscyplina, a niektórzy strażacy, zwłaszcza starsi i doświadczeni, nie przesadzali z dbałością o strój. Podobało mi się to.

Okres próbny nie był jednak łatwy. Myślałem, że kiedy już trafię do jednostki, wszystko się ułoży. Tymczasem wciąż miałem spory problem z techniczną stroną mojej pracy. Rozumiałem zasady działania sprzętu, ale nie radziłem sobie ze stosowaniem tej wiedzy w praktyce. Popełniałem głupie błędy, na czym bardzo cierpiała moja wiara we własne umiejętności. Jako strażak wiodłem dwa życia: kiedy rozmawiałem z cywilami, nie mogli wyjść z podziwu, że pracuję w straży. Na służbie zaś cały czas brakowało mi pewności siebie - niewielka

jej rezerwa, z którą tam przyszedłem, pomniejszała się, ilekroć popełniłem jakiś błąd.

Sprawę pogarszał dowódca mojej zmiany. Ciężko było go zadowolić. Na domiar złego nie znosił ludzi z wyrokiem, zwłaszcza tych, którzy nie wyróżniali się jako strażacy - na przykład mnie. Miałem wrażenie, że nie tylko w niczym mi nie pomaga, ale czasami wręcz rzuca mi kłody pod nogi. Czułem się przez to jeszcze gorzej.

Gdy kończyłem pierwszy rok służby, złożył wniosek o zwolnienie mnie ze straży. Byłem kompletnie zaskoczony. Ciężko harowałem, by zdobyć tę pracę, i przywykłem już do myśli, że jestem strażakiem. Odpowiadał mi system zmianowy, bo za dnia mogłem chodzić na siłownię, a wieczorami bawić się w klubach. Nie chciałem tego stracić. Z powodu jego raportu do jednostki przyjechał starszy oficer. Chciał ze mną porozmawiać. Znałem go ze słyszenia - był pyszałkiem i gardził szeregowymi strażakami. Czekala mnie więc ciężka przeprawa.

- Pański dowódca wnioskował o wydalenie pana ze straży - powiedział, patrząc na mnie jak na śmiecia.

- Wiem, sir, ale...

- Żadnych „ale”. Pański dowódca to doświadczony oficer, który miał do czynienia z wieloma wyrokowcami. Możemy uznać, że wie, co mówi.

Było jeszcze gorzej, niż myślałem. Miałem nadzieję, że będę mógł przedstawić neutralnemu obserwatorowi swoją wersję wydarzeń. Najwyraźniej się przeliczyłem.

- Sir, chciałbym tylko powiedzieć...

- Co miesiąc będzie pan stawał do raportu. Jeśli otrzyma pan negatywną opinię, pożegnamy się. To wszystko.

Nawet na mnie nie spojrział.

Do domu wróciłem przygnębiony. Nie miałem szans na pozytywną ocenę. Został mi miesiąc, potem miałem odejść ze straży. Zacząłem przeglądać gazety w poszukiwaniu pracy. Zastanawiałem się nawet, czy nie zadzwonić do Halifax First i nie zapytać o jakiś wakat.

Potem ogarnęła mnie złość. Postanowiłem walczyć o swoją posadę. Poprosiłem dowódcę jednostki o rozmowę. Przeszliśmy do gabinetu.

- Szefie, chciałbym prosić o przeniesienie na inną zmianę.

Niełatwo było uzyskać zgodę. Tylko jedna sytuacja uzasadniała taką prośbę - konflikt z dowódcą zmiany. Wiedziałem też, że jeśli mój plan się nie powiedzie, będę spalony. Dowódca zmiany na pewno wystawi mi negatywną ocenę i pożegnam się ze służbą. Uzna, że kwestionuję jego bezstronność. Zagrałem więc *va banque*.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odpowiedział dowódca. Zakreśliło mi się w głowie, ale nie poddałem się.

- Szefie, mam co miesiąc stawać do raportu, obaj wiemy dlaczego. Dowódca mnie nie lubi i chce się mnie pozbyć. Może nie jestem najlepszym strażakiem, ale chciałbym spróbować szczęścia z innym przełożonym.

Mój zwierzchnik zamyślił się, więc postanowiłem pójść za ciosem.

- Na zielonej zmianie mają wolne miejsce. Mogę się tam przenieść. Jeśli i tak mam wylecieć, niech chociaż

pozwoli mi pan sprawdzić, czy inny komendant nie oceni mnie lepiej.

Przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Zadzwoń do dowództwa. Jeśli się zgodzą, przeniosę cię.

Nie była to dobra wiadomość. Szef planował zasięgnąć opinii oficera, który wcześniej ze mną rozmawiał. Przez kilka godzin siedziałem jak na szpilkach. W końcu otrzymałem odpowiedź. Moje modlitwy zostały wysłuchane: przeniesiono mnie.

Sprawy natychmiast przybrały inny obrót. Nowy dowódca był wcześniej moim zwierzchnikiem. Pomógł mi podczas okresu próbnego, który wprawdzie przedłużono o trzy miesiące, ale udało mi się wytrwać. Zostałem pełnoprawnym strażakiem i nikt już nie mógł tego zakwestionować

Moje życie stało się nieco łatwiejsze, postanowiłem więc podejść do egzaminu, który otwierał drogę do awansu. Podczas szkolenia pożarniczego nie miałem problemów z nauką. Większość kandydatów wywodziła się ze środowiska robotniczego, więc testy nie mogły być zbyt trudne, bo nikt by ich nie zdał. Skoro podchodziłem w szkole do egzaminów na poziomie rozszerzonym, liczyłem, że pójdzie mi jak z płatka. Dużo się uczyłem, ale poniosłem sromotną klęskę. Bardzo się zdenerwowałem i postanowiłem porozmawiać z oficerem.

- Posłuchaj, synu - powiedział - widocznie jesteś za słaby, żeby zdać. Zapomnij o awansie.

Wydał osąd, nie starając się go w żaden sposób uzasadnić. Zniechęcił mnie tym do kolejnych prób. Założyłem oczywiście, że ma rację, i szybko porzuciłem myśl o karierze. Wkrótce jednak w widowiskowy sposób udowodniłem mu, jak bardzo się mylił.

Złamane sieci

Po tym, jak tata wyemigrował do Ameryki, gdy miałem jedenaście lat, nie wywierał już żadnego wpływu na moje życie. Sporadycznie pisał do mnie listy, dzwonił na Boże Narodzenie i w moje urodziny. W 1982 roku przyjechał na krótko do Anglii, ale widzieliśmy się tylko przez chwilę. Pojawił się też, gdy w wieku szesnastu lat popadłem w konflikt z prawem. Bardzo cieszyłem się z jego wizyty, ale choć przyjechał na kilka dni, spotkaliśmy się tylko raz. Taki właśnie był mój tata. Nie widzieliśmy się od lat, a on uznał, że w ciągu jednego dnia zdoła nadrobić wszystkie zaległości.

Próbował wtedy po męsku ze mną porozmawiać, lecz nic z tego nie wyszło. Nie potrafił sprawić, by jego słowa do mnie trafiły, więc dla nas obu rozmowa ta okazała się ciężkim doświadczeniem. Teraz miałem jednak ponad dwadzieścia lat i uznałem, że może uda mi się poprawić nasze relacje.

Zacząłem regularnie do niego pisać. Chciałem, żeby był ze mnie dumny. Pochwaliłem się, że zostałem strażakiem

i że uprawiam kulturystykę. Staralem się, aby listy miały osobisty, a zarazem nieco żartobliwy charakter. W ten sposób próbowałem się do niego zbliżyć i rozpaczliwie pragnąłem, by on również zrobił krok w moją stronę. Tak się jednak nie stało. Czasem odpisywał, lecz jego listy były zawsze zwięzłe i pozbawione ciepła. Nie tego oczekiwałem. Uważałem, że odniosłem w życiu wielki sukces - zostałem strażakiem, mimo iż wcześniej staczałem się po równi pochyłej. Miałem zatem nadzieję, że ojciec to zauważy. Niestety, myliłem się.

Uznałem wreszcie, że chociaż tata niewątpliwie mnie kocha, moje życie go nie interesuje. Musiałby okazać mi współczucie, poświęcić trochę czasu - albo podczas spotkania, albo przynajmniej w rozmowie telefonicznej. Chciałem, by dzielił ze mną radości i troski. On jednak nie był do tego zdolny. Zrozumiałem, że myśli o mnie tak rzadko, iż nie potrafi zaangażować się w moje sprawy. Przestałem pisać, bo jego lakoniczne odpowiedzi sprawiały mi ból.

Mimo to w 1991 roku odwiedziłem go w Richmond, w Wirginii. Przez miesiąc mieszkałem z nim i jego żoną, Maureen. Był październik - jesień w pełnej krasie. Ameryka bardzo mi się spodobała. Tata i Maureen przyjęli mnie serdecznie, a w dodatku cieszyłem się nieskrępowaną wolnością; ojciec pożyczył mi nawet samochód, żebym mógł swobodnie poruszać się po okolicy. Jego dom stał na posesji liczącej dziewięć hektarów. Uwielbiałem wstawać o świcie i spacerować po łąkach i lesie.

Wcześniej nie miałem okazji zbyt dobrze poznać Maureen, bo rozmawiałem z nią tylko przez telefon. Okazała się fantastyczną osobą. W przeciwieństwie do ojca tryskała radością

i usta jej się nie zamykały. Od razu ją polubiłem i nie odstępowałem jej na krok.

Ojciec wziął tydzień urlopu, więc pojechaliśmy na wycieczkę. Świetnie się bawiliśmy, lecz jeszcze wyraźniej dostrzegłem dzielące nas różnice. Tata był cierpliwy i robił wszystko, o co go prosiłem. Zatrzymaliśmy się w Gatlinburg, w Tennessee, i poszliśmy na miasto coś wypić. Mieliśmy już mocno w czubie, gdy tata zdecydował się wrócić do motelu. Powiedział, że chciałby wyjechać o dziewiątej rano.

Ja zaś postanowiłem bawić się dalej i poszukać dziewczyny, którą mógłbym bliżej poznać. Wkrótce znalazłem wdzięczną rozmówczynię - dość nieśmiałą blondynkę. Ostatecznie trafiliśmy do jej pokoju w motelu i spędziliśmy razem noc. Rano zasnęłam, więc do naszego hotelu musiałem pędzić co sił w nogach. Kiedy skradałem się do pokoju, zobaczyłem tatę siedzącego na tarasie.

- Cześć, tato! - powiedziałem, choć zmartwiłem się, że mnie przyłapał.

Spojrzał na mnie i odparł jak zwykle bez cienia emocji:

- Dzień dobry, David.

Wpadłem do pokoju, spakowałem się i już po chwili siedzieliśmy w samochodzie, bo tego dnia wybieraliśmy się do Nashville. Po około godzinie tata postanowił się odezwać.

- Nad ranem dopiero wracałeś do pokoju, prawda?

- Tak, tato.

Nie powiedział nic więcej. Mogę tylko zgadywać, co sobie myślał. Nie wiem, do jakich wniosków doszedł, ale potem nie drażył już tego tematu.

Podczas naszej wycieczki szczególną uciechę sprawiało mi specyficzne poczucie humoru ojca.

- Wiesz, kiedy kogut znosi jaja?

- Kiedy?

- Gdy schodzi po drabinie.

Powiedział to ze śmiertelną powagą, jakby opowiadał zupełnie normalną historię. Urodzony pokerzysta.

Tata wyglądał według mnie lepiej niż w młodości. To nic, że włosy lekko mu posiwiały i przerzedziły się. Były dłuższe, a do tego zapuścił wąsy, więc jego zarost prezentował się znacznie lepiej, niż gdy nosił tylko małą bródkę. Jako dziecko nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest przyklejona.

Ojciec udowodnił też, że potrafi zrobić krok w moją stronę. Wreszcie udało nam się nawiązać ciekawą nić porozumienia. Miałem nadzieję, że po moim powrocie jeszcze bardziej zacieśnimy więzi, lecz Maureen to wyczuła i postanowiła mnie ostrzec. Pewnego razu, podczas wspólnych zakupów, wspomniałem jej, że wycieczka była bardzo udana i że zbliżyłem się do ojca.

- Czytałam twoje listy - odparła - i bardzo ci współczuję.
- Spojrzała mi prosto w oczy. - Niestety, nie zdobędziesz tego, na czym tak ci zależy. Twojego ojca na to nie stać.

Wyjaśniła mi to dokładniej. Tata potrafił zaangażować się emocjonalnie tylko wobec jednej osoby - i w tym czasie była nią właśnie Maureen. Mogła sprawiać wrażenie zaborczej, lecz wiedziałem, że po prostu stwierdziła fakt. Kilkoma słowami rozwiała wszystkie moje nadzieje.

Po powrocie do Anglii często wspominałem tę rozmowę. Nie myliła się. Ojciec interesował się moim życiem tak samo,

jak przed wyjazdem. Obaj cieszyliśmy się z moich odwiedzin, lecz nic się między nami nie zmieniło.

* * *

Moje stosunki z babcią ze strony ojca pogorszyły się. Zawsze ją kochałem i nie przeszkadzała mi jej ekstrawagancja. Rozbrajało mnie jej poczucie humoru; podobnie jak tata miała cięty dowcip. Dobrze czułem się w jej towarzystwie, bo ta inteligentna kobieta umiała pokazać mi wiele rzeczy z innej perspektywy. Była czuła, opiekuńcza i troskliwa - tak jak mama, kiedy akurat nie zmagą się z demonami pijackiej furii. Chciałem utrzymywać z nią kontakt i starałem się regularnie ją odwiedzać. Niestety, to nie wystarczyło.

Kiedy miałem dwadzieścia trzy lata, poszedłem złożyć mamie życzenia z okazji Dnia Matki. Najpierw jednak chciałem zobaczyć babcię. Kupiłem jej kwiaty. To, co zdarzyło się na miejscu, wprawiło mnie w osłupienie, mimo że zetknąłem się już wcześniej z jej dziwactwami. Jak zwykle podszedłem do drzwi frontowych i zapukałem. Nie mogłem zatelefonować, bo nie chciała dać mi numeru, ale podczas ostatniej wizyty uprzedziłem ją, że przyjdę. Zapukałem po raz drugi, ale wciąż nie odpowiadała.

- Hej, babciu! - krzyknąłem w końcu. - To ja, David!

Nadal nic. Wreszcie zajrzałem do środka przez otwór na listy. Zauważyłem, że ktoś się rusza. Babcia stała za drzwiami, a gdy uniosłem osłonkę, uciekła do salonu.

- Babciu! - zawołałem za nią. - To ja, David. Przyniosłem kwiaty!

Zadnej odpowiedzi. Wstałem i rozejrzałem się. Zauważyłem, że powiesiła w oknie lustro, żeby zobaczyć, kto podchodzi do drzwi. Widziałem, jak na mnie patrzy, i poczułem się nieswojo. Podeszedłem do okna i zajrzałem do środka. Byłem zszokowany. Babcia stała przy samej szybie i obserwowała mnie. Zanim zdążyłem się uśmiechnąć lub pomachać, uciekła na piętro. Poczekalem jeszcze chwilę, jednak wiedziałem już, że mnie nie wpuści. Położyłem kwiaty pod oknem, kupiłem jeszcze jeden bukiet i poszedłem na spotkanie z mamą.

Później jeszcze kilka razy próbowałem odwiedzić babcię, ale nigdy mi nie otworzyła. W końcu poddałem się. Nie wiem, czemu nie chciała ze mną rozmawiać. W żaden sposób jej nie uraziłem, mimo to nie powinienem się dziwić - kilka lat wcześniej postąpiła tak samo wobec własnej siostry.

* * *

Odkąd rozstałem się z Janice, spotykałem się z kilkoma kobietami. W szkole przez długi czas miałem trudności ze znalezieniem dziewczyny, lecz teraz potrafiłem zdobyć niemal każdą - i często to robiłem. Uzależniłem się od podrywania i nieustannie odczuwałem pociąg seksualny. Bez oporów oszukiwałem i zdradzałem partnerki - wyzbyłem się wszelkich skrupułów. Kiedy się napiłem, wygląd, wiek czy stan cywilny nie grały roli. Mówiłem im to, co chciały usłyszeć, byle tylko móc się do nich dostać. Potem wymyślałem jakąś głupią historyjkę o tym, że moja była dziewczyna zaszła w ciążę, i bez żalu zrywałem znajomość.

Podboje jednak nie dawały mi szczęścia. Choć wówczas jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, nie potrafiłem tego prze-

rwać. Im gorsze było moje samopoczucie, tym bardziej chciałem zapomnieć o problemach. W głębi serca zaczynałem czuć do siebie obrzydzenie. Matka musiała przezywać to samo. Nieczęsto jednak pozwalałem sobie na takie myśli.

Moim terenem łowieckim stało się „Acapulco”, nocny klub w Halifaxie. Puszczali tam fantastyczną muzykę i zawsze można było znaleźć jakąś łatwą dziewczynę. Wszyscy bywalcy mieli bardzo swobodne podejście do seksu, więc co tydzień lądowałem w łóżku z inną panienką. Następnym razem na celowniku mogła się znaleźć jej siostra. Nie obchodziło mnie, kim były. W „Acapulco” miałem tylko jeden cel: znaleźć kobietę. Samotny powrót do domu uznawałem za porażkę, nawet jeśli przez cały wieczór świetnie się bawiłem. Chodziło mi wyłącznie o seks. Nie musiałem się nawet upijać. Bez przerwy, niezależnie od tego, gdzie akurat byłem, rozglądałem się za spódniczkami. Dzięki zmianowemu systemowi pracy nigdy nie brakowało mi czasu na podboje. Każdy flirt kończył się w mojej sypialni.

Poniekąd zdawałem sobie sprawę, że upodabnam się do matki - traktowałem te kobiety tak jak ona mnie - ale nie potrafiłem się powstrzymać. Właściwie nawet nie chciałem, w tym czasie nie odczuwałem bowiem żadnych skrpułów.

Moja niepoohamowana żądza często wpędzała mnie w kłopoty. Kilka razy zdarzyło się, że o trzeciej nad ranem leżałem jeszcze w łóżku z jedną dziewczyną, a kolejna już pukała do *drzwi*. Mówiłem wtedy, że przyszła moja była, która w każdej chwili może wpaść w szal, bo jest niezrównoważona psychicznie. Wypuszczałem kochankę tylnymi drzwiami, a po chwili otwierałem frontowe tej drugiej. Ciągłe podboje cza-

sem odbijały się na pracy - wracałem do domu nad ranem i miałem tylko czas na szybki prysznic przed służbą. Wieczorem, po powrocie z jednostki, znów uderzałem na miasto.

Życie toczyło się takim rytmem, jakby ktoś za mocno nakręcił sprężynę, która dopiero po latach mogła się rozwinąć. Nie czułem nic wobec kobiet, z którymi uprawiałem seks. Traktowałem je jak przedmioty. Kiedyś podobnie obchodziła się ze mną matka - byłem dla niej swego rodzaju zabawką.

Wychodziłem wtedy z założenia, że wyśpię się dopiero w trumnie. Co noc wychodziłem na miasto, piłem bez umiaru i spałem z każdą kobietą, którą udało mi się poderwać. Nie szukałem jednak kłopotów. Jeśli na kogoś wpadłem, od razu przepraszałem i niezwłocznie odkupywałem rozlanego drinka.

Uwielbiałem zabawę, a dzięki solidnej pensji mogłem trwożyć pieniądze na swoje zachcianki. Z każdym kolejnym podbojem rosła moja pewność siebie. Nie musiałem już zdawać się na matkę - jej wpływ na moje życie stał się znikomy. Niemniej jednak wciąż była w nim obecna.

* * *

Co niedzielę widywaliśmy się na obiedzie. Zazwyczaj nad sobą panowała, mimo że czasem zdążyła się już upić. Wtedy były z nią same problemy. Urządzała karczemne awantury, półnaga snuła się po domu i wyzywała nas. Po pijaku nigdy nie miała apetytu, więc siadałem do stołu tylko z Regiem. Nie pozwalała nam jednak spokojnie zjeść.

Reg zaczął się do mnie odzywać. Często opowiadał o piciu matki. Od czasu mojej wyprowadzki znajdował się bowiem

na pierwszej linii ognia. Mama obrzucała go obelgami i biła. Widziałem siniaki na jego rękach - najwyraźniej usiłował zasłaniać się przed ciosami.

Kiedy byłem mały, to Reg bił mnie, a mama milczała, chociaż o wszystkim wiedziała. Teraz to ojczym stał się ofiarą. Bardzo go to denerwowało, bo w żaden sposób nie mógł wpłynąć na matkę. Miał już osiemdziesiąt trzy lata i nie potrafił się bronić. Powinien w spokoju cieszyć się ostatnimi latami swojego życia, zamiast zbierać ciosy od pijanej żony. Nie mogłem na to pozwolić.

Sytuacja zrobiła się niebezpieczna - wiedziałem, do czego matka jest zdolna. Pamiętałem, w jaki szal wpadała, kiedy chciała, żebym ją pieścił. Kiedyś o mało mnie nie zgwałciła. W pijanym widzie biła mnie i kopała. Od razu zorientowałem się, że jeśli podobnie traktuje Rega, prędzej czy później może wydarzyć się nieszczęście - któregoś dnia, kiedy już dojdzie do siebie, znajdzie w mieszkaniu zakrwawione zwłoki męża. Uznałem, że trzeba działać jak najszybciej. Podzieliłem się swoim pomysłem z Regiem. Musiał wyjechać z domu i udać się gdzieś, gdzie matka nie mogłaby go znaleźć. Wtedy postawiłbym jej ultimatum: albo zapanuje nad swoim nałogiem, albo już nigdy nie zobaczy męża.

Reg zgodził się bez wahania. Tak bardzo zmęczyły go bezsenne noce i napady matki, że przystałby na wszystko. Zadzwoniłem do domu spokojnej starości i zapytałem, czy przyjęliby ojczyma, choćby na pewien czas. Znali go i zgodzili się bez wahania. Potem zdobyłem numer kliniki odwykowej, do której mógłbym wysłać matkę. Kiedyś już znalazła się w podobnej

sytuacji, więc miałem nadzieję, że nie będzie to dla niej zbyt wielki szok. Gdy wszystko przygotowałem, wcieliłem swój plan w życie.

Powiedziałem mamie, że zabieram Rega na spacer. Uwierzyła mi. Zawiozłem go do domu opieki. Matkę dzieliło od Rega zaledwie sześć kilometrów, ale nie miała pojęcia, gdzie go ukryłem. Na miejscu upewniłem się, że niczego mu nie brakuje.

- Zobaczmy się jutro - powiedziałem na pożegnanie.

- Dobrze, synu.

Okazywanie uczuć nie było w jego stylu, ale wiedziałem, że jest mi wdzięczny.

Nie miałem ochoty na rozmowę z matką, bo nie wiedziałem, jak zareaguje. Gdy zajechałem przed dom, zobaczyła, że jestem sam. Zamyślona czekała na mnie przy stole.

- Gdzie Reg? - zapytała takim tonem, jakby domyślała się odpowiedzi.

- W bezpiecznym miejscu - odparłem. Spodziewałem się, że wpadnie w histerię. - Sam mnie o to poprosił, ponieważ boi się z tobą mieszkać. Na pewno zauważyłaś siniaki, które nabiłaś mu po pijaku.

Matka milczała. Do niczego się nie przyznała.

- I co teraz? - zapytała w końcu spokojnym głosem.

Nie sądziłem, że pójdzie mi tak dobrze. Bałem się awantury. Wiedziałem, że matka może krzyczeć, że będzie chciała natychmiast dowiedzieć się, gdzie jest Reg. Tak się jednak nie stało.

- Mamy nadzieję, że zgodzisz się na terapię. Musisz przestać pić.

Wciąż siedziała ze spuszczonego wzrokiem. Spojrzała na mnie dopiero po chwili.

- Dobrze. Dokąd mam pojechać?

Dobry Boże!

Nie mogłem w to uwierzyć. Po tych wszystkich latach udało mi się sprawić, że dostrzegła skutki swojego postępowania.

Był to prawdziwy przełom w moim życiu. Tak długo patrzyłem, jak niszczyła siebie i wszystko, co ją otaczało, a teraz - dzięki temu, że przejąłem inicjatywę - miała zmierzyć się z przyczyną całego nieszczęścia. Spakowała walizkę i pojechała do kliniki, która znajdowała się daleko od domu. Uznałem, że powinna tam zamieszkać, bo wtedy nic nie przeszkadzałoby jej w odwyku.

Nazajutrz odwiedziłem Rega i powiedziałem mu, że plan się powiódł. Był wniebowzięty. Tak samo jak ja pragnął, by mama przestała pić. Podczas jej odwyku, który trwał kilka tygodni, Reg pozostawał pod troskliwą opieką w domu spokojnej starości. Co kilka dni wpadałem do niego z wizytą.

Minimalny okres leczenia wynosił pięć tygodni. Po tym czasie matka zadzwoniła z informacją, że chce wrócić do domu, więc natychmiast po nią pojechałem.

- Jak poszło? - zapytałem niepewnie. Denerwowałem się, bo marzyłem o tym, by terapia zakończyła się sukcesem.

- Bardzo dobrze - odparła z uśmiechem.

Kamień spadł mi z serca. Wreszcie puściła tama. Po latach cierpień i gniewu, który mnie przepętniał, uczucia znalazły wreszcie ujście. Ta wiadomość była niczym wygrana na loterii.

Umówiłem się z Regiem, żeby dowiedzieć się, co teraz zamierza. Kiedy pojechałem do domu opieki, zastałem go w salonie, w fotelu.

- Co słyhać, Reg?

- W porządku, synu. - Nie krył radości na mój widok.

- Co u Carol?

- Mam dobre wieści. Wróciła do domu i twierdzi, że terapia się powiodła.

- To dobrze - Reg był bardzo zadowolony. Czuł ulgę, podobnie jak ja.

- Nie musisz wracać do domu, jeśli nie chcesz. Sam wiesz, że podobne sytuacje już się zdarzały.

Reg zamyślił się.

- Posiedź tu *jeszcze* kilka tygodni. Ja tymczasem upewnię się, że mama nie pije.

Podniósł wzrok i znalazłem już jego odpowiedź.

- Chcę wracać. Zabierzmy moje rzeczy i jedźmy.

- Dobrze.

Odwiozłem go do domu. Kiedy się zobaczyli, padli sobie w ramiona ze łzami w oczach. Mało kto potrafił zrozumieć, czemu byli razem, ale bardzo się kochali i nic nie mogli ich rozdzielić.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi nie przewidziałem tego, co miało wkrótce nastąpić.

* * *

Przez długie lata nauki wątpiłem w swoją zdolność przyswajania wiedzy, bo wciąż dostawałem słabe oceny. Częściowa odpowiedzialność za to spoczywała na matce. Mimo naszego rodzinnego dramatu zawsze pilnowała, żebym uczył się i odrabiał lekcje, była jednak święcie przekonana, że z jakim intelektem człowiek się urodzi, z takim i umrze.

Pogodziłem się z tą fatalistyczną wizją. Kiedy w wieku jedenastu lat zaprosiłem Sally na *Supermana*, marzyłem, by tak jak on dysponować niezrównaną siłą i nadludzką inteligencją. Choć udawało mi się rozwinąć mięśnie i wzmocnić ciało, nie wierzyłem, że zdołam rozwinąć swoje możliwości intelektualne. Miałem kiepską pamięć, co kładło się cieniem na moich szkolnych osiągnięciach, a szczególnie dawało mi się we znaki podczas egzaminów. Nic nie zapowiadało, że sytuacja może ulec zmianie.

Jak mawiała mama, takie jest życie.

Przyszło mi jednak do głowy, że może właśnie przez swój fatalizm tyle lat borykała się z alkoholizmem. Kiedy Reg wyprowadził się do domu opieki, poszła na odwyk i po pięciu tygodniach wróciła, rzekomo wyleczona. Prawda była jednak inna. W klinice wmówiła sobie, że nie dotyczą jej problemy, z którymi trafili tam inni pacjenci. Gdy na terapii grupowej usłyszała ich historie, od razu uznała, że znalazła się w niewłaściwym miejscu. Uważała, że jej choroba jest dużo łżejsza. Problem w tym, że nigdy nie pamiętała, co robiła po alkoholu. Gdyby wiedziała, nie miałaby wątpliwości, że musi się leczyć.

Kilka tygodni później znów sięgnęła po brandy. Po każdej przerwie w picciu uzależnienie dawało o sobie znać ze zdwojoną siłą. Do tej pory nie nękała mnie telefonicznie, bo nie miałem komórki. W moim nowym domu był jednak telefon, a zatem mogła dzwonić, kiedy tylko chciała. Na początku rozmawialiśmy normalnie, lecz potem znowu musiałem zmagać się z jej pijackimi wybrykami. Często dzwoniła też do jednostki. Po alkoholu nigdy nie pamiętała, kiedy mam dyżur, więc zdarzało się, że zamiast ze mną rozmawiała z moimi kolegami.

Nie wstydziła się ujawniać różnych intymnych informacji dotyczących mojego życia. Następnego dnia niejednokrotnie słyszałem w pracy uszczypliwe komentarze. Coraz bardziej mnie to drażniło.

Dzwonił również Reg. Ilekroć mama się upiła, prosił, żebym przyjechał i zrobił z nią porządek. Czułem się wtedy rozdarty. Chciałem mieć pewność, że nic jej nie jest. Całe życie się nią opiekowałem, dlatego często nie potrafiłem odmówić. Z drugiej strony wiedziałem jednak, że jeśli pojedę, spędzę w domu długie godziny, nim zdołam choć trochę ją uspokoić. Zwykle zdawałem się więc na intuicję. Przyjeżdżałem tylko wtedy, gdy sytuacja wydawała się naprawdę poważna. Niekiedy pijaństwo matki było najmniejszym problemem. Dobrze pamiętam sytuację, kiedy napędziła mi strachu z zupełnie innego powodu.

Właśnie szykowałem się na imprezę bożonarodzeniową, gdy Reg zadzwonił i powiedział, że w domu był mały pożar. Poprosił, bym wpadł i upewnił się, że wszystko jest w porządku.

„Mały pożar” w przypadku mamy mógł oznaczać prawie wszystko. Jako strażak wiedziałem, że to, co na pierwszy rzut oka wygląda na niegroźny wypadek, mogło okazać się zarzewiem dużo groźniejszego pożaru. Stary, osłabiony Reg i pijana matka znaleźliby się wówczas w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Od razu wsiadłem w samochód. To, co zastałem na miejscu, zmroziło mi krew w żyłach.

* * *

Z jakiegoś powodu mama postanowiła użyć lampki turystycznej. W tym celu do obudowy należało wsunąć mały zbiorniczek

z gazem i zapalić palnik. Źle zamontowała butlę, lecz i tak przebiła zawór. Gdy zbliżyła do lampki zapałkę, wybuchł płomień. Jej nocna koszula błyskawicznie zajęła się ogniem, jednak jakoś zdołała ją z siebie zrzucić. Gdy zobaczyłem resztki ubrania, włos zjeżył mi się na głowie.

Na podłodze leżała kupka stopionego nylonu - nie większa od piłki tenisowej. Mama odłożyła zbiornik z gazem i poszła się ubrać. Nie trzeba było pracować w straży pożarnej, by zrozumieć, że miała niesamowite szczęście. Nic jej się nie stało, jeśli nie liczyć sporego oparzenia na nodze.

Wyjąłem z lodówki jakąś mrożonkę, żeby schłodzić ranę. Mama nie mogła usiedzieć na miejscu.

- Leż spokojnie. Próbuję opatrzyć ci nogę.

- Złaż ze mnie! - ryknęła, odpychając mnie z całej siły.

Przytrzymałem ją i przyłożyłem mrożonkę do rany. Kiedy ból zelżał, matka zasnęła. Uznałem, że nie powinna spać na dole, więc obudziłem ją i zaprowadziłem do sypialni. Gdy przykrywałem ją kołdrą, wymamrotała coś pod nosem.

- Co mówisz, mamó? - pochyliłem się, żeby ją lepiej słyszeć.

Znowu coś mruknęła.

- Powtórz, bo nie rozumiałem.

Odezwała się głośniej, wypowiadając trzy dobrze znane mi słowa. Miałem nadzieję, że już nigdy więcej ich nie usłyszę.

- Zerznij mnie, David.

Pamiętne dni

Gofnąłem się jak oparzony. Nie mogłem uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałem.

- Zerznij mnie, David - powtórzyła.

Tym razem jednak byłem przygotowany. Zszedłem na dół i powiedziałem Regowi, że położyłem mamę spać. Kazałem mu zadzwonić, gdyby działo się coś niepokojącego.

Matczyne słowa wciąż brzmiały mi w uszach. Ogarnęło mnie wzburzenie. Jak mogła znowu się tego domagać? Dlaczego to zrobiła? Wprawdzie byliśmy sami, ale nie sądzę, by zdawała sobie z tego sprawę.

Skąd wiedziała, że w sypialni jestem tylko ja?

Skoro się orientowała, to czy zdawała sobie także sprawę, co robiła mi przez te wszystkie lata?

Zostawiłem mamę z Regiem i pojechałem na przyjęcie bożonarodzeniowe. Nie bawiłem się dobrze. Bez przerwy myślałem o ostatnich wydarzeniach. Teraz mamie nic się nie stało, ale następnym razem może nie mieć tyle szczęścia.

Znów piła bez umiaru i stanowiła zagrożenie zarówno dla siebie, jak i dla Rega. Mój koszmar powrócił. W życiu dobrze mi się wiodło; w dużej mierze poradziłem sobie z traumatycznymi wspomnieniami z dzieciństwa. Nigdy nikomu nie powiedziałem o molestowaniu, a teraz nie widziałem już takiej potrzeby. Mama wyprowadziła mnie jednak z równowagi, sprawiając, że znów poczułem się słaby i zagubiony. Łudziłem się, że ten etap mojego życia mam już za sobą.

Przez kilka następnych dni myślałem o mamie i o tym, jak przez lata zamieniała moje życie w piekło. Uznałem, że raz na zawsze trzeba z tym skończyć. Gdy zrozumiałem, że ona już się nie zmieni, podjąłem najważniejszą decyzję w swoim życiu.

Pojechałem do Ludden Vale.

Kiedy mama otworzyła mi drzwi, od razu poznała po mojej minie, że nie jest to zwykła wizyta. Nie zapytała jednak, o co chodzi.

– Usiądźmy, mamó. Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

Oznajmiłem jej, że zrywam z nią kontakt. Słuchała w milczeniu.

- To się nigdy nie skończy, mamó. Nie mam już siły. Całymi latami niszczyłaś mnie psychicznie i wciąż to robisz. To, co stało się w zeszłym tygodniu, przelało czarę goryczy. O mało nie podpaliłaś siebie i domu. Mam tego dość.

Powiedziałem jej, że nie zniosę już dłużej ciągłego picia, chaosu i cierpienia, które mi zadaje. Mimo to jednak - tak jak przez całe życie - nie zdołałem jej wyznać, co naprawdę się działo, gdy piła.

Mama spokojnie słuchała. Po krótkiej chwili odezwała się:

- Rozumiem, David. Rób to, co uważasz za słuszne. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Uściskałem ją i wyszedłem.

Gdy po raz ostatni na nią spojrzałem, myślałem, że pęknie mi serce. Odwróciłem się i odszedłem. Zrobiłem coś, co wcześniej wydawało mi się niewykonalne. Całkowicie odciąłem się od matki. Choć sam zerwałem z nią kontakt, wcale nie miałem pewności, czy rzeczywiście zniknie z mojego życia. Przypuszczałem, że po pijaku wciąż będzie do mnie wydzwaniać. Ku mojemu zaskoczeniu nigdy tego nie zrobiła. Oznajmiłem, że nie chcę mieć z nią do czynienia i - choć to niewiarygodne - uszanowała moją decyzję. Nigdy więcej nie dzwoniła ani do domu, ani do pracy.

Na początku czułem się z tym dziwnie. Do tej pory matka zawsze była częścią mojego życia. Jej „zabawa” to moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Ostatnie - to prośba, żebym się z nią pieprzył. Zrobiła dla mnie jednak również wiele dobrego. Nie raz cieszyłem się, że to właśnie ona jest moją matką, i za te chwile zawsze będę jej wdzięczny. Nigdy jednak nie wybaczę jej ogromnej krzywdy, którą mi wyrządziła. Po raz pierwszy w życiu czułem się naprawdę wolny. Choć na początku nie mogłem się odnaleźć w nowej sytuacji, instynktownie wiedziałem, że postąpiłem słusznie.

Odcięcie się od matki nie sprawiło jednak, że natychmiast poczułem się szczęśliwy. Wciąż była moją matką i mimo że nękały ją demony, a ja doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, co mi zrobiła, nigdy nie przestałem jej kochać. Tęskni-

łem, lecz wiedziałem, że do niej nie wrócę. Nie mogła ponownie stać się częścią mojego życia. Gdy pewnej nocy zadzwonił telefon, uświadomiłem sobie, że podjąłem właściwą decyzję.

Mama miała wielu przyjaciół, lecz jej znajomości zawsze kończyły się w ten sam sposób. Dotyczyło to również ludzi ważnych tak dla mnie, jak i dla niej, na przykład córki Rega czy też mojego dziadka. Raz zerwany kontakt nigdy nie był odnawiany. Kolejną „ofiara” matki stała się recepcjonistka z kliniki weterynaryjnej.

W domu oprócz mamy i Rega mieszkaly także zwierzęta, dwa psy, trzy koty i żółw, więc często bywali z nimi u weterynarza. Matka znała wszystkich pracowników kliniki i zaprzyjaźniła się nawet z recepcjonistką. W końcu zdobyła jej numer i zaczęła do niej wydzwaniać. Z czasem chwyciła za słuchawkę po alkoholu. W końcu kobieta tak bardzo miała jej dość, że pewnego wieczoru zadzwoniła do mnie.

- Witam, mówi recepcjonistka z kliniki w Ludden Bridge. Czy pan jest synem Carol Brownstone?

- Tak. O co chodzi?

- Ostatnio pańska matka bez przerwy do mnie wydzwania. Czy mógłby pan coś z tym zrobić?

Był to wprawdzie niezwykle telefon, jakkolwiek spodziewałem się, że prędzej czy później do tego dojdzie.

- Przykro mi, zerwałem kontakt z matką. Nie mogę pomóc.

Słyszałem zdenerwowanie w głosie mojej rozmówczyni, ale nic nie mogłem poradzić.

- Szkoda. Prawdę mówiąc, jestem już u kresu wytrzymałości - ciągnęła - i rozważałam nawet zgłoszenie tej sprawy na policję.

- Szczerze mówiąc, uważam, że tylko to mogłoby coś dać - odparłem. - Nie sądzę, żeby zadziałały na nią jakieś delikatniejsze sposoby.

Od dłuższego czasu nie odzywałem się do matki, więc prawie wcale o niej nie myślałem. Gdy usłyszałem, do czego doprowadziła tę nieszczęsną kobietę, wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Recepcjonistka więcej nie zadzwoniła, uznałem zatem, że udało jej się uporać z problemem. Sprawiała jednak, że matka wróciła do mojego życia. Chciałem się z nią zobaczyć, chociaż wiedziałem, że nie powinienem. Trzymałem się więc od niej z daleka.

* * *

Odwrócenie się od matki to najtrudniejszy krok, jaki kiedykolwiek musiałem uczynić. Nauczyłem się radzić sobie z jej oczekiwaniami i potrafiłem ją uspokoić. Wiedziałem jednak, że moja decyzja mogła ostatecznie zniszczyć jej życie.

Samotne wychowywanie dziecka, i to w tak trudnych warunkach, z pewnością stanowiło dla niej nie lada wyzwanie. Widziała, jak jej syn dorósł, zdobył dobry zawód, a potem odwrócił się od niej. Zadałem jej bolesny cios i nie było dnia, żebym nie myślał o jej cierpieniu. Często chciałem do niej zadzwonić. Ponadto bałem się także o Rega i jego bezpieczeństwo - od dłuższego czasu on również nie dawał znaku życia.

Nie miał nikogo, kto mógłby mu pomóc, więc obawiałem się, że pewnego dnia zobaczę w gazecie nagłówek informujący o kolejnym pożarze lub po prostu nekrolog Rega. Może za bardzo się przejmowałem, wiedziałem jednak, co matka wypra-

wiała pod wpływem alkoholu. W dodatku jako strażak poznałem kruchość ludzkiego życia. Uważałem więc, że mam powody do niepokoju.

Martwiłem się nie tylko o mamę i Rega, ale i o to, dokąd zmierza moje życie. Któregoś wieczoru ogarnęło mnie przygnębienie. Nie miałem ochoty na spotkanie ze znajomymi, więc - choć dawno już nie piłem sam - poszedłem do pubu. Mimo że rzadko bywałem w takich lokalach, tym razem zaszyłem się w ciemnym kącie i pochłaniałem jeden koktajl za drugim.

Nie wiedziałem, co począc ze swoim życiem. Byłem w dołku. Czułem się zagubiony i porzucony. Zerwałem kontakt z dwójkiem najbliższych mi ludzi - z matką i z najlepszym przyjacielem - i nie miałem nikogo, komu mógłbym się zwierzyć. Brakowało mi wsparcia i miłości. Nie zdołałem zatrzymać przy sobie żadnej kobiety: albo spotykałem się z nimi na jedną noc, albo - gdy już zdawało się, że związek przetrwa - rozpadał się on jak domek z kart.

Czułem, że i ja się rozpadam. We wspomnieniach widziałem wyłącznie chaos, cierpienie i przemoc. Teraźniejszość - zarówno sfera zawodowa, jak i osobista - jawiła mi się jako zakłęty krąg. Z wyjątkiem umiejętności, które posiadał każdy strażak, nie miałem żadnych specjalnych zdolności - ani fizycznych, ani intelektualnych - dzięki którym wyróżniłbym się z tłumu.

Moje związki zawsze kończyły się porażką. Może dlatego, że w głębi duszy uważałem, iż nie jestem dostatecznie dobry ani godny tego, by ktokolwiek pragnął mnie i zdołał pokochać. Tylko matka obdarzyła mnie miłością. Jej uczucie

było jednak chore. Na myśl o nim czułem wstyd i upokorzenie, równie silne jak wtedy, gdy Karen znęcała się nade mną w podstawówce.

Przyszłość jawiła mi się jako pasmo klęsk. Jak mogę cokolwiek osiągnąć." Jak stać się kimś więcej niż przeciętnym strażakiem, który odejdzie na emeryturę, gdy zabraknie mu sił do pracy? Jak znaleźć kogoś, kogo pokocham całym sercem? Jak kiedykolwiek mógłbym zdecydować się na ojcostwo?

Nie miałem nikogo, kto pokazałby mi, jak to wszystko osiągnąć. W głębi duszy wciąż byłem dzieckiem - do tego skrzywdzonym. Brakowało mi poczucia własnej wartości i straciłem nadzieję, że kiedykolwiek będzie lepiej. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem nawet, po co żyję.

Siedziałem w pubie aż do zamknięcia, targany mrocznymi myślami, a potem powlokłem się do domu. Wrzuciłem coś do mikrofalówki i usiadłem przed telewizorem. Na wpół przytomny patrzyłem na jakiś głupi nocny program. Już miałem wyłączyć telewizor, gdy zobaczyłem faceta, który zapamiętywał kolejność kart w talii. Nie tylko pamiętał ich porządek - co już jest niezwykłym osiągnięciem - ale wiedział też, gdzie dokładnie znajduje się każda karta.

W jednej chwili zapomniałem o smutkach. Zachwyciła mnie ta sztuka i zapragnąłem nauczyć się jej. Wiedziałem, że to nie czary - wystarczył tylko odpowiedni proces myślowy. Wariantów ułożenia kart było jednak tak dużo, że uznałem gościa z programu za geniusza. Musiał mieć wyjątkowy dar.

Niestety, ja go nie miałem. Jak ujęłaby to mama, musiałem grać takimi kartami, jakie otrzymałem od losu.

Nie dawało mi to jednak spokoju. Czy to na pewno prawda? Przecież dzięki lekcjom karate, bieganiu i treningowi na siłowni moje ciało zmieniło się nie do poznania. Może praca nad umysłem przyniosłaby równie głębokie zmiany? Może mam lepszą pamięć, niż mi się wydaje? Pokrzepiony tą myślą położyłem się spać.

Kilka miesięcy później znalazłem w „Sunday Times” artykuł o człowieku, którego widziałem w telewizji. Nazywał się Dominic O'Brien. Wyjechał do północnej Francji, żeby grać w blackjacka. Wykorzystywał do tego techniki zapamiętywania i - jak się okazało - był samoukiem. W artykule wspomniano również o jego książce. Wkrótce w księgarni w Leeds znalazłem regał z publikacjami na temat ćwiczenia pamięci. Na górze leżał podręcznik O'Briena. Kupiłem go i w domu oddałem się lekturze.

Wystarczyło kilka stron, żebym poznał technikę pozwalającą wyrecytować dziesięciopunktową listę - od początku 1 od końca. Wprawiło mnie to w zdumienie. To było wspaniałe! Choć książka wywarła na mnie ogromne wrażenie, nie sądziłem, że kiedyś wykorzystam opisane w niej metody w praktyce, więc odłożyłem ją na półkę. Jednakże już po kilku tygodniach sięgnąłem po nią ponownie. Opanowałem wszystkie opisane w podręczniku techniki i wciąż je trenowałem. Odkryłem, że posługiwanie się nimi przychodzi mi bez trudu. Nauczyłem się zapamiętywać układ talii kart, a wkrótce potrafiłem odtworzyć przebieg całego występu telewizyjnego O'Briena. Nigdy nie sądziłem, że drzemie we mnie taki potencjał.

Nauczyłem się też zapamiętywania liczb. Z łatwością radziłem sobie z ciągami składającymi się ze stu cyfr. Dzięki tym

samym metodom zapamiętałem nazwy wszystkich stolic świata i potrafiłem je wyrecytować jednym tchem. Odkryłem w sobie niesamowity talent - nigdy wcześniej nie uwierzyłbym w coś takiego. W miarę lektury dokładałem do swojego repertuaru kolejne techniki i łączyłem je, wciąż doskonaląc pamięć. Robiłem tak szybkie postępy, że już po tygodniu ćwiczeń zapamiętanie całej talii kart zajmowało mi dziesięć minut. Dwa tygodnie później wystarczyło zaledwie pięć.

Odkrycie tego wyjątkowego talentu sprawiło mi ogromną radość. Kiedy pochwaliłem się nim w pracy, jedni śmiali się, innych ogarniało zdumienie. Niektórzy chcieli dowiedzieć się, jak to zrobiłem, więc pokazałem im, ale nikt nie potrafił dorównać mi prędkością. Wkrótce zrozumiałem, że to prawdziwy dar - i to taki, który przyda się nie tylko do zabawiania znajomych. Pochwaliłem się nim wprawdzie paru kolegom, lecz nie szukałem rozgłosu. Strażacy lubią sobie dogryzać i pewnego wieczoru ponownie się o tym przekonałem.

Wszyscy koledzy z jednostki oglądali telewizję na piętrze, a ja siedziałem przy stole i zapamiętywałem karty. Jeden z kumpli zszedł do kuchni i przechodząc obok, zajrzał mi przez ramię.

- Przecież to gówno do niczego ci się nie przyda - rzucił pogardliwie.

Zignorowałem go, ale w głębi duszy bardzo mnie to ubodło. Taki już strażacki zwyczaj - jeśli czegoś nie rozumiesz, musisz to wyśmiać. Postanowiłem udowodnić mu, jak bardzo się myli.

Istniała pewna możliwość wykorzystania moich nowych umiejętności. Chciałem się przekonać, czy zdołam zdać egzamin zawodowy, który poprzednio oblałem. Zmodyfikowałem

technikę zapamiętywania szeregów, by wykorzystać ją do nauki. Zauważyłem, że moja metoda się sprawdza i w głowie zostają mi kolejne informacje. Obawiałem się, że na samym egzaminie na nic mi się to wszystko nie przyda, jednak z biegiem czasu nabrałem pewności siebie. Przed wejściem na salę egzaminacyjną byłem już zupełnie spokojny. Zamiast martwić się, czy zdam egzamin, zastanawiałem się tylko, jak dobrą dostanę ocenę.

Bez trudu odpowiedziałem na większość pytań i osiągnąłem świetny wynik. Moje myśli mknęły z prędkością światła. Odkryłem w sobie wyjątkową zdolność, z której istnienia nie zdawałem sobie dotąd sprawy, i wykorzystałem ją w praktyce z doskonałym skutkiem. Moje poczucie własnej wartości znacznie wzrosło.

Cały czas bawiłem się technikami zaczerpniętymi z różnych książek i doskonaliłem je. Poszerzałem swoją wiedzę, ucząc się szybkiego czytania i tworzenia map myśli.

Wciąż robiłem olbrzymie postępy i uzyskiwałem rezultaty, które pozwalały mi na udział w konkursach pamięci. Gdy zapoznałem się z wynikami uczestników Światowych Mistrzostw Pamięci, ku swej wielkiej radości odkryłem, że mam realne szanse na zwycięstwo. Postanowiłem stanąć w szranki.

Sierpień 1996 roku na zawsze odmienił moje życie - wystartowałem w mistrzostwach organizowanych w Londynie. Zarezerwowałem nocleg w najtańszym hotelu na Strandzie i kupiłem bilet na pociąg. Konkurs odbywał się w weekend, w Simpson's-in-the-Strand, londyńskiej restauracji o wspaniałych tradycjach. Mistrzostwa organizowano tam już na początku XX wieku. Zawodnicy brali udział w jedenastu

konkurencjach indywidualnych, w tym na przykład w zapamiętywaniu talii kart na czas i recytowaniu najdłuższej liczby w systemie dwójkowym, opanowywanej w pół godziny. W sumie pięć razy znalazłem się na podium, przy czym raz doszedłem aż do drugiej pozycji. Po pierwszym dniu mistrzostw zajmowałem trzecie miejsce w klasyfikacji ogólnej. Byłem zachwycony.

Drugi dzień zmagania rozpocząłem z wysoko uniesionym czołem i długo utrzymywałem trzecie miejsce. Dopiero w ostatniej konkurencji popełniłem błąd, spadając tym samym na czwarte. Doznałem wielkiego zawodu. Gdyby przed rozpoczęciem konkursu ktoś zaproponował mi czwarte miejsce, przyjąłbym je z pocałowaniem ręki, ale po starcie obudziły się we mnie dawno zapomniane uczucia: uwielbiałem rywalizować i wygrywać.

Zdarzyło się wtedy coś jeszcze. Zaledwie po ośmiu miesiącach ćwiczeń zdobyłem tytuł Światowego Arcymistrza Pamięci.

* * *

Dotąd udało się to zaledwie trzem osobom. Przed rozpoczęciem zawodów przewidywałem, że mogę zająć siódme, może szóste miejsce. Nie śmiałem nawet marzyć o czwartym. W końcu mistrzostwa dotyczyły dziedziny, którą poznałem z książek w niecały rok. Trudno było mi uwierzyć w taki sukces.

Całe życie starałem się wtopić w tłum. Zazwyczaj, jeśli się już wyróżniałem, to negatywnie - ruda czupryna, kłopoty z policją, problemy w pracy. Czasem odnosiłem sukcesy - wygrałem na przykład szkolny bieg przełajowy. W ogólnym rozrachunku jednak miałem niewiele okazji, żeby zabłysnąć. Teraz zdarzyło się coś wyjątkowego. Zupełnie przypadkowo

odkryłem w sobie niespotykany talent i wykorzystałem go. Przekonałem się, że niezaprzeczalnie posiadam pewne zalety oraz że potrafię walczyć.

Odkryłem też, że mogę czerpać zyski ze swojego sukcesu. Postanowiłem wypromować się w mediach. Zadzwoiłem do „Halifax Evening Courier” - lokalnej gazety, która na pierwszej stronie zamieściła wywiad ze mną oraz moje zdjęcie, na którym z dumą prezentuję wszystkie medale. Zaproszono mnie też do programu w Calendar Television, regionalnej sieci telewizji publicznej. Pojawiłem się tam na prawie sześć minut, i to w najlepszym czasie antenowym. Najpierw opowiadałem o swoich umiejętnościach, a następnie zostałem „przepytany”. Ani razu się nie pomyliłem i producenci byli bardzo zadowoleni.

Bez względu na to, co uda mi się osiągnąć w przyszłości, odniosłem wtedy spektakularny sukces. Cały czas jednak pewna myśl nie dawała mi spokoju. Co na to mama? Zanim się rozstaliśmy, wspominałem jej o ćwiczeniu pamięci, ale ona stwierdziła, że to kompletna strata czasu. Zdziwiłem się, bo przecież jej ojciec był dość znanym szachistą, ja zaś ćwiczyłem umysł, tak samo jak on.

Mimo braku wsparcia z jej strony zająłem czwarte miejsce na mistrzostwach świata i zaistniałem w mediach. Mama często oglądała telewizję i prenumerowała „Halifax Courier”, więc z pewnością mnie widziała. Bardzo chciałem do niej zadzwonić i dowiedzieć się, co myśli o moim sukcesie, jak zawsze bowiem pragnąłem jej aprobaty.

Nie sięgnąłem jednak po słuchawkę. Było mi smutno, lecz wiedziałem, że muszę wytrwać.

W końcu odnalazłem się jako strażak i odzyskałem pewność siebie. Byłem zawodowcem w każdym calu. Nigdy nie zostałem strażakiem roku, jednak szło mi całkiem nieźle, a w niektórych kwestiach stałem się prawdziwym ekspertem. Służba w dużej jednostce straży pożarnej utwierdziła mnie w przekonaniu, że potrafię sobie radzić w ekstremalnych sytuacjach. Umiejętność ta przydała mi się podczas mistrzostw. Zaskoczyło mnie moje opanowanie, zwłaszcza że pod tym względem byłem zupełnym przeciwieństwem matki.

Wkrótce odkryłem w sobie kolejny talent. Wziąłem udział w kilku kursach, a potem przekazałem zdobyte informacje strażakom ze swojej jednostki. Rola nauczyciela bardzo mi odpowiadała. Naszym posterunkiem dowodził John Winton. Nie wiedziałem o nim nic prócz tego, że był dowódcą i miał opinię surowego, lecz sprawiedliwego zwierzchnika. Wszyscy go lubili i ja także miło wspominałem naszą współpracę.

Pewnego dnia, już po konkursie, wziął mnie na stronę i zapytał, czy mógłbym mu pomóc. Rzadko się zdarzało, że wysoki oficer zwracał się z taką prośbą do szeregowego strażaka. Johnny jednak nigdy nie przejmował się konwenansami. Wyznał mi, że nie daje mu spokoju egzamin z BHP, który zazwyczaj oblewała połowa uczestników. Chciał, żebym nauczył go zapamiętywać duże ilości informacji, których wymagano do zdobycia zaliczenia.

Pokazał mi materiały, a ja nauczyłem go, jak zrobić mapę pamięci jednej ze stron. Wziąłem podręcznik do domu i zapamiętałem kolejne dwadzieścia. Gdy rano pochwaliłem się swo-

imi wynikami, wywarłem na nim tak duże wrażenie, że postanowił wykorzystać moją metodę. Egzamin zdał z wyróżnieniem.

Nauczanie Johnnynego stało się dla mnie punktem zwrotnym. Zrozumiałem wtedy, że moje umiejętności mają praktyczną wartość - mogłem dzięki nim pomóc innym ludziom w realnych, życiowych sytuacjach. Otwierał się przede mną nowy świat.

* * *

Pewnego wieczoru w pubie poznałem Alison. Była wesoła i bezpośrednia. Miała dwoje dzieci. Od początku między nami iskrzyło. Wkrótce zauroczenie przerodziło się w uczucie, które nie łączyło mnie wcześniej z żadną inną kobietą. Po tygodniu zamieszkaliśmy razem.

Było to na tydzień przed Bożym Narodzeniem 1996 roku. Pomogłem Ally przygotować i zapakować prezenty dla jej pociech - trzynastoletniej Corinne i pięcioletniego Matthew. W świąteczny poranek razem je otwieraliśmy. Wcześniej zawsze unikałem dzieci, teraz jednak zostałem rzucony na głęboką wodę. Ta dwójka szybko mnie polubiła. Wiedziałem, że chcę być z Ally. W te Święta zrozumiałem, jak powinna wyglądać prawdziwa, normalna rodzina.

* **rt** *

W 1997 roku zdobyłem trzecie miejsce w mistrzostwach pamięci, a w kwietniu 1998 osiągnąłem coś, co wcześniej wydawało się niemożliwe: bezbłędnie wyrecytowałem 22,5 tysiąca cyfr liczby pi, ustanawiając tym samym nowy rekord Guinnessa.

Ciągle jednak nie opuszczała mnie jedna myśl: czy mama wie, jaki odniosłem sukces? Rozpaczliwie pragnąłem podzielić się z nią swoimi osiągnięciami. Podjąłem więc kolejną ważną decyzję w swoim życiu.

Iskry i popioły

CP a początku 1999 roku moje życie zmieniło się na lepsze. Kilka lat *wcześniej*, gdy upijałem się na smutno w pubie, wydawało mi się to nie do pomyślenia.

Oto zostałem rekordzistą Guinnessa w zapamiętywaniu, zdobyłem medal na mistrzostwach świata i tytuł Światowego Arcymistrza Pamięci, a media wciąż się mną interesowały. Często występowałem w radiu i telewizji, udzielałem wywiadów dla prasy. Oprócz tego uczyłem starszych oficerów straży pożarnej technik zapamiętywania oraz - wciąż będąc strażakiem - rozpocząłem karierę trenera motywacji.

Ally przez cały czas bardzo mnie wspierała. Od dwóch lat mieszkaliśmy razem: ja, ona i jej dzieci. Cori skończyła już piętnaście lat i była cudowną dziewczyną - spokojną i nieśmiałą, a do tego śliczną. Dzięki wzajemnemu szacunkowi i zaufaniu bardzo się zżyliśmy. Wciąż widywała się ze swoim ojcem, a ja uważałem, że jest to dla niej bardzo korzystne. Mówiła do mnie „David”, ale traktowała mnie jak ojczyma.

Moje stosunki z Mattem wyglądały nieco inaczej, lecz szło nam całkiem dobrze. Był zupełnym przeciwieństwem Cori - zadziwiał pewnością siebie i często uśmiechał się z przekorą. Miał krótkie włosy w mysim kolorze. Nie widział ojca, od kiedy skończył dwa lata. Zajęło nam to trochę czasu, ale w końcu zdaliśmy sobie z czegoś sprawę: ja chciałem być jego ojcem, a on - moim synem. Zapamiętałem to jako niezwykle doświadczenie. Powoli wytworzyła się między nami więź, jaka powinna łączyć rodzica z dzieckiem. Kochaliśmy się, jakbyśmy żyli razem od dnia jego narodzin. Był dla mnie wymarzonym synem: radził sobie w towarzystwie, potrafił bawić się z innymi dziećmi, jego ciekawość nie znała granic, a do tego był bardzo bystry. Uwielbiałem go.

Z czasem pojąłem, że bycie ojcem Cori i Matta to prawdziwy dar, najwspanialsze uczucie na świecie. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo musiała cierpieć moja mama. Wychowała mnie praktycznie sama. Nie umiała poradzić sobie z dręczącymi ją problemami, przez co dopuściła się niewybaczalnych czynów, lecz wciąż wierzyłem, że gdy przychodził ranek, nie zdawała sobie sprawy z tego, co mi robiła.

Rozmawiałem o niej z Ally, choć nie wspominałem o molestowaniu. Powiedziałem, że piła i niejedną noc spędziłem na pilnowaniu, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Opowiedziałem o przemocy i o tym, dlaczego się od niej odwróciłem. Wyznałem też, że bardzo za nią tęsknię i chciałbym wiedzieć, czy nic jej nie jest. Ally stwierdziła, że skoro to dla mnie takie ważne, powinienem odnowić kontakt.

* * *

Zanim sięgnąłem po telefon, bardzo długo się wahałem. Nawet po podjęciu decyzji ociągałem się *jeszcze* przez jakiś czas. Postanowiłem jednak zadzwonić. Gdy wykrecąłem numer, Ally siedziała tuż obok.

- Wszystko w porządku? - zapytała, trzymając mnie za rękę.

- T a k .

Odebrała mama.

- Halo?

- Cześć mam, tu David - powiedziałem cicho.

Matka milczała.

- Chciałem zapytać, czy mogę do ciebie wpaść.

Cisza w słuchawce trwała całą wieczność. Sądziłem już, że matka się rozłączy. Byłaby to nasza najkrótsza rozmowa w życiu. W końcu jednak odpowiedziała.

- Pewnie, wpadnij. Kiedy chcesz przyjść?

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, uzgadniając termin wizyty. Gdy się rozłączyłem, przez jakiś czas siedziałem zupełnie oszołomiony.

Obyło się bez hysterii, płaczu, krzyku i oskarżeń. Rozmowa przebiegła bardzo kulturalnie. Poszło jak z płatka, a mimo to poczułem się dziwnie.

Kilka dni później odwiedziłem matkę.

* * *

Otworzyła mi drzwi. Nie do końca wiedziała, jak się zachować, podobnie jak ja. Bez przywitania przeszedłem do salonu.

Reg siedział w fotelu. Bardzo zaskoczył mnie jego wygląd. Zbliżał się do dziewięćdziesiątki, a wydawał się jeszcze starszy - był wychudzony i miał zapadnięte oczy. A jeszcze pięć lat temu trzymał się całkiem nieźle.

- Cześć, Reg - powiedziałem niepewnie, nie wiedząc, co mógłbym dodać.

Spojrzał na mnie, jakby zupełnie się mnie nie spodziewał.

- Witaj, David.

Usiadłem z mamą przy stole i zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałem jej o mistrzostwach pamięci i o swoich publicznych wystąpieniach. Mówiłem o Ally, dzieciakach i o pracy w straży.

Słuchała z przejęciem. Widziałem, jak bardzo się stara. Nigdy nie była dobrym słuchaczem, czasem w ogóle nie interesowało jej, co rozmówca miał do powiedzenia, ale tego dnia chciała się dowiedzieć wszystkiego. Zapytałem, jak się trzymają z Regiem. Odparła, że wszystko po staremu. Rzeczywiście, po pokoju kręciły się nawet wciąż te same zwierzaki. Dom nie zmienił się ani najotę.

Umówiliśmy się, że mama i Reg przyjadą do mnie, żeby poznać Ally i dzieci. Jadąc do domu, byłem już pewien, że podjąłem właściwą decyzję. Dopiero po jakimś czasie miałem się przekonać, czy postąpiłem słusznie, czy też w moim życiu znów zawita chaos.

Po powrocie do domu opowiedziałem Ally o spotkaniu. Na kolejne odwiedziny zabrałem całą rodzinę. Wizyta udała się i wyglądało na to, że mama diametralnie się zmieniła. Od tego czasu spotykaliśmy się regularnie, ale nie chciałem, żeby do nas dzwoniła. Nie zamierzałem narażać Matta na rozmowę telefoniczną z pijaną babcią. Nigdy jednak do tego nie doszło.

Nie rozmawialiśmy o jej nałogu. Nie wiedziałem, czy nadal piła, a jeśli tak, to ile. To zawsze był temat tabu, nawet teraz. Oboje zdawaliśmy sobie jednak sprawę z istnienia problemu. Jej alkoholizm już raz nas podzielił, ale ona uparła się, żeby radzić sobie z nim po swojemu, i w żaden sposób nie mogłem wpłynąć na jej wybór. Zgodnie z niepisaną zasadą ja nie pytałem o nałóg, a ona nie dzwoniła po alkoholu. Tym razem dotrzymała warunków umowy.

Nagle, 16 lutego 1999 roku, w niespełna dwa miesiące po naszym ponownym spotkaniu, stało się coś, przez co mogła całkowicie się załamać.

Zmarł Reg.

* * *

Jego śmierć nie miała nic wspólnego z matką ani z jej pićciem. Umarł ze starości. Kiedy spotkaliśmy się po raz ostatni, wyglądał na bardzo osłabionego. Jego odejście było dla mamy drugoczącym ciosem - otworzyło w jej sercu ranę, której czas nie zdołał wyleczyć.

Mama zupełnie straciła chęć życia. Wiedziałem, że muszę mieć na nią oko i sprawić, by poczuła się częścią mojej nowej rodziny. Dzięki mnie była w stanie kontaktować się ze światem zewnętrznym. Codziennie dzwoniłem do niej i pytałem, jak się czuje. Nie miała mi wiele do powiedzenia, ale chętnie słuchała. Opowiadałem jej o sprawach związanych z moimi osiągnięciami i o dzieciach. Raz w tygodniu zabierałem ją do miasta. Jedliśmy tam razem obiad, a potem kupowałem jej różne rzeczy. Czasem wychodziliśmy całą

rodziną. Kiedyś nawet pojechaliśmy do Liverpoolu i zwiedziliśmy doki. Lubiła spacerować na świeżym powietrzu.

Pewnego dnia wybraliśmy się na targ do Halifaxu. Wspominała, że potrzebuje nowej kurtki, więc ją kupiliśmy. Była tania, lecz całkiem porządna. Ze wzruszenia matka rozplakała się na środku sklepu. Tak bardzo przywykła do kupowania używanych rzeczy, że chyba sama nie pamiętała, kiedy ostatni raz miała w rękach coś nowego. Cieszyłem się, że mogłem być wtedy przy niej.

W drugiej połowie 1999 roku jeszcze bardziej się do niej zbliżyłem. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, mimo że alkohol wciąż pozostawał tematem tabu. Bardzo zainteresowała się moimi dokonaniem, więc sprawiłem jej kopię mojego dyplomu z Księgi Rekordów Guinnessa. Powiesiła ją na honorowym miejscu w salonie, nad kominkiem.

Dużo czasu spędzała ze swoją przyjaciółką, Laurą. Były rówieśniczkami. Laura miała dwóch synów, mniej więcej w moim wieku. Razem jeździły do teatru w Halifaxie. Mama uwielbiała te wycieczki, więc pewnego dnia zawarła z Laurą umowę. Jej przyjaciółka wiedziała o nałogu, ale nie chciała spotykać się z pijaczką, matka obiecała więc, że przed wycieczką nie weźmie alkoholu do ust. Wcześniej zniszczyła już wiele znajomości, ale tym razem wytrwała - uszanowała życzenie Laury i nigdy nie złamała danego słowa.

Poznała też Teda. Choć wiedział o jej chorobie, polubili się i często spędzali razem czas. Był to platoniczny związek, ale mieli na siebie dobry wpływ. Cieszyłem się, że spotyka się nie tylko ze mną, ale również z przyjaciółmi. Wyglądało na to, że na stare lata - wbrew ciężącemu nad nią fatum - matka zmieniła się.

Pewnego wieczoru pojechaliśmy z Ally do miasta. Za dużo wypiliśmy i zaczęliśmy się kłócić, bo nasz związek przechodził wówczas pewne zawirowania. Ally ciągnęła mnie za język, chciała, żebym się przed nią otworzył. Nigdy wcześniej nie odważyłem się na taką szczerość.

W końcu powiedziałem to.

- Matka mnie molestowała.

Ally osłupiała.

Zacząłem opowiadać o swoim dzieciństwie, lecz wkrótce zamilkłem. Alkohol sprawił, że po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat chciałem opowiedzieć o swoim koszmarze, lecz po chwili słowa uwięzły mi w gardle. Oboje byliśmy pijani. Rozmowa się nie kleiła, więc szybko zmieniliśmy temat.

Wróciliśmy do niego rano, tym razem na trzeźwo. Znów zamknąłem się w sobie i stwierdziłem, że nie chcę o tym mówić. Czułem, że zdradziłem coś, co powinno na zawsze pozostać w ukryciu. Była to moja - wyłącznie moja - tajemnica. Czułem się wręcz dumny z tego, że potrafiłem to wszystko zepchnąć na margines i całkowicie odciąć się od przeszłości. Ponadto wydawało mi się, że matka wciąż nie wiedziała, co mi zrobiła. Uznałem zatem, że jestem jedynym na świecie powiernikiem tego sekretu.

Aż do tamtej nocy.

Ally przyznała, że martwi się nie tylko tym, co mnie spotkało - bała się o Matta. Uzgodniliśmy, że nie będziemy go zostawiać sam na sam z moją mamą.

Wciąż obawiałem się, że matka o wszystkim się dowie. Po tym, jak odnowiliśmy kontakt, nasze relacje uległy znacznej

poprawie. Chwiejna równowaga mogła jednak zostać zaburzona przez jedno nierozważne słowo. Potrafiłem utrzymać tę tajemnicę przez prawie trzydzieści lat. Ufałem, że Ally się nie zdradzi, lecz jednocześnie bałem się, że przypadkiem któreś z nas może powiedzieć za dużo. Skutki byłyby dla mojej matki katastrofalne. Sama myśl o tym przerażała mnie.

* * *

W listopadzie odezwał się do mnie znajomy, którego poznałem podczas konkursów. Chciał założyć firmę internetową, zajmującą się edukacją, i namówił mnie do udziału w tym przedsięwzięciu. On i jego szef zajęliby się finansami, a ja resztą - poszukiwaniem współpracowników, uruchomieniem strony i prowadzeniem interesu. Byłaby to praca na cały etat i to za niemałe pieniądze.

Po spotkaniu z inwestorami i naradzie z Ally postanowiłem podjąć wyzwanie. Wjednostce poprosiłem o roczny urlop. Kilka tygodni później, tuż przed Bożym Narodzeniem, otrzymałem zgodę i praktycznie zakończyłem karierę strażaka. Przez jedenaście lat służyłem na siedmiu zmianach w pięciu jednostkach i pracowałem z ponad setką ludzi. Gdy wstąpiłem do straży, byłem młokosem bez planów na przyszłość, ze służby odchodziłem zaś jako spełniony mężczyzna i doświadczony człowiek.

Przez ponad dekadę nauczyłem się też radzić sobie z nocnymi pobudkami w ostrym świetle. Oswoiłem tym samym koszmar, który nękał mnie w dzieciństwie.

Tak zakończył się pewien etap mojego życia.

Tego roku Boże Narodzenie było dla mnie czasem prawdziwej radości. Przygotowaliśmy świąteczną ucztę i zasiedliśmy do stołu w gronie najbliższych. Zaprosiliśmy Johnniego, mojego dawnego dowódcę, a teraz przyjaciela, oraz najlepszą przyjaciółkę Ally. Dołączyła do nas również mama.

Nie mogło być lepiej. Otaczała mnie rodzina. Matt stał się dla mnie jak syn, Cori kochałem jak córkę. Z Ally układało mi się doskonale, miałem nową pracę i dobrze zarabiałem. Przyszłość malowała się w jasnych barwach. Mama pilnowała się, a dzięki wzajemnemu zaufaniu po raz kolejny zbliżyliśmy się do siebie. Po raz pierwszy w życiu czułem się szczęśliwy, spokojny i zadowolony.

W roku 2000 zostałem dyrektorem zarządzającym firmy internetowej, działającej w dziedzinach szczególnie mi bliskich – sztuki zapamiętywania i edukacji. Regularnie widywałem się i rozmawiałem z mamą. Czasem mówiła jak najęta, a czasem wołała słuchać. Najważniejsze było to, że zapanowała nad sobą i nigdy więcej nie słyszałem o jej pijackich ekscesach. Bardzo się z tego cieszyłem.

W sobotę, 18 marca 2000 roku, wybraliśmy się z rodziną na koncert do Bradford. W przerwie zadzwoniłem do mamy, ale nie odbierała. Następnego dnia mieliśmy wszyscy pojechać do Blackpool. Wciąż nie mogłem dodzwonić się do matki, więc uznałem, że źle się czuje. Kiedy jednak wieczorem nadal nie podnosiła słuchawki, zaniepokojony postanowiłem do niej zajrzeć.

* * *

Ally pojechała ze mną. Gdy dotarliśmy na miejsce, zobaczyłem, że w domu pali się światło. Wtedy trochę się uspokoilem.

- Pewnie znów piła - powiedziałem do Ally. - Na pewno jest w domu.

Zapukałem, lecz nikt nie otwierał. Gdy nacisnąłem klamkę, okazało się, że drzwi są otwarte. Wszedłem do środka.

- Mamo? - zawołałem kilka razy, lecz nikt mi nie odpowiedział.

Poszliśmy do salonu. Były tam tylko koty i pies mamy, Timmy. Na mój widok zamerdzał ogonem, bo często go wyprawdzałem, gdy przychodziłem do niej z wizytą.

Ally poszła do kuchni, a ja za nią. Nie zauważyłem nic szczególnego. Sądziłem, że mama po prostu upiła się i zasnęła. Sprawdziłem kuchenkę. Zawsze bałem się, że zapomni zakręcić gaz i wysadzi dom w powietrze. W końcu poszliśmy na górę. Ally zajrzała do jednego z pokoi. Nie było tam już łóżka, ale mama mogła przecież zasnąć na podłodze. Kiedy jeszcze tu mieszkałem, często się to zdarzało.

Nie znaleźliśmy jej tam, więc sprawdziłem swoją sypialnię. Gdy otworzyłem drzwi, wróciły wszystkie wspomnienia. Zobaczyłem łóżko i pościel - te same, które były tu piętnaście lat temu. Przypomniałem sobie krzyki, przemoc, próbę gwałtu, szukanie kryjówki po kątach, gdy domagała się seksu.

Otrząsnąłem się.

Razem z Ally ruszyliśmy korytarzem do ostatniego pokoju. Drzwi były otwarte, więc weszliśmy.

Mama leżała na łóżku. Miała na sobie tylko sweter. Jej nogi były posiniaczone od upadków na schodach. Jedną rękę wsunęła pod sweter, jakby trzymała się za serce.

Podszedłem, chcąc ją obudzić, ale szybko zrozumiałem, że nic już nie można zrobić.

Odeszła.

Epilog

Tuż przed pogrzebem kazałem wystawić otwartą trumnę. Cori i Matt przyszli na nabożeństwo. Powiedziałem im oraz pozostałym gościom, że mogą pożegnać się z moją matką.

Po wyjściu ostatnich żałobników sam wszedłem do sali. Pamiętam, w jakim stanie zastałem matkę, teraz jednak wyglądała zupełnie inaczej. Wreszcie odnalazła spokój.

Nie płacze, ale w moim sercu kłębią się najróżniejsze uczucia.

Żal, że odebrano mi ją tak prędko, zaledwie piętnaście miesięcy po tym, jak wróciła do mojego życia.

Poczucie winy, że bawiłem się w najlepsze, gdy ona konała w samotności; że cały dzień spędziłem na uciechach, a tymczasem ona gniła w swoim łóżku.

Wdzięczność losowi za to, że odeszła w taki sposób. Bałem się, że umrze na raka, który zabrał już kilka osób z jej rodziny. Szybka i niespodziewana śmierć bez wyniszczającej choroby to w istocie błogosławieństwo. Mogło ją spotkać coś znacznie gorszego.

Jestem też zdezorientowany.

Dlaczego to właśnie ja musiałem znaleźć ją martwą? Przecież dla syna był to największy cios. Gdybym wyjechał na urlop lub w delegację, nie zobaczyłbym jej w takim stanie.

Wszystkie te emocje sprawiają, że czuję się, jakbym stąpał po linie. W jednej chwili nad wszystkim panowałem, w drugiej zupełnie traciłem równowagę. Matka doprowadziła się na skraj przepaści i wreszcie rzuciła się w otchłań.

Czuję, jakbym był do niej przykuty i jakby za chwilę miała mnie pociągnąć za sobą. Tak się jednak nie stało, ponieważ na to nie pozwoliłem.

Matka zawsze była podatna na uzależnienia. Ja odziedziczyłem po niej tę skłonność i sam musiałem zdecydować, co z nią zrobić. Odkryłem sposób, by przekuć ją w sukces. Jeszcze pięć lat wcześniej nie podejrzewałem nawet, że może mi się udać, dziś jednak za nic nie zrezygnowałbym ze swojego życia. Zwyciężyłem w walce, którą matka przegrała.

Jej odejście przyniosło mi również ogromną ulgę. To niepokojące uczucie, lecz wiem, że po śmierci Rega straciła chęć do życia. Potrzebowała czegoś, co wypełniłoby pustkę w jej sercu. Staralem się, jak mogłem, ale to nie wystarczyło. W śmierci odnalazła wreszcie spokój, którego nie zaznała przez całe swoje życie. Wciąż jednak w mojej głowie kłębią się kolejne pytania.

Mamusiu, dlaczego? Powiedz mi, dlaczego. Czemu robiłaś mi te straszne rzeczy? Czemu nigdy się do tego nie przyznałaś? Czy rzeczywiście nie pamiętałaś, co działo się w nocy? Czy gdy przychodziłaś do mnie, naprawdę nie wiedziałaś, co robisz? Dlaczego wybrałaś mnie, a nie Rega? Dlaczego pozwoliłaś, żeby mężczyły mnie pytania, na które nigdy nie poznałem odpowiedzi?

Epilog

Zawsze marzyłem, że któregoś dnia odkryję prawdę, lecz dziś wiem, że tak się nie stanie. Muszę o tym zapomnieć. Muszę żyć dalej. Stoję nad trumną i patrzę na oblicze matki. Czuję, jak po raz pierwszy w życiu moje serce napęlnia się pokojem. Wiem, że nie muszę dłużej zadrećzać się pytaniami o to, co się stało. Matka i cierpienia z dzieciństwa należą już do przeszłości. Nie mogę tego zmienić, mogę jednak ugasić płomień i sprawić, by rozżarzone węgle minionych wydarzeń obróciły się w popiół zapomnienia. Patrzę na matkę po raz ostatni i uwalniam nas oboje z okowów przeszłości.

Przyszłość otwiera się przede mną powoli, delikatnie, jak wnętrze rozkręcanego przez ojca silnika. Koszmar odpuszcza stopniowo, jak rowerowy hamulec, którego obsługi nauczył mnie Reg, gdy jeszcze był dla mnie dobry. Ponownie przychodzę na świat, jak ziarnko grochu wyłuskane ze strąka, gdy tamtego słonecznego dnia siedziałem z mamą w ogrodzie.

Tkwiące we mnie skrzywdzone dziecko cichutko szlocha, a ból i ciężar pękają na drobne kawałeczki, uwalniając mnie od przerażających pytań.

Długo jeszcze wpatruję się w twarz matki. W końcu pochylam się nad jej ciałem, by wyszeptać:

- Zegnaj, mamusiu.

Odwracam się i wychodzę, pożegnawszy się z nią po raz ostatni.